ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/536 1992

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

St. LEM: **ŚWIAT I POLSKA**

R. KACZMAREK: **CZY NOWY PLAN MARSHALLA JEST MOŻLIWY?**

L. UNGER: **POCZĄTEK HISTORII**

K. CHYLIŃSKA: **EKSCESY, POKUSY i SYGNAŁY**

K. WOLICKI: **ZABAWA W WOJSKO**

SPIS RZECZY

Stanisław Lem: *Świat i Polska* 3
Robert Kaczmarek: *Czy nowy Plan Marshalla jest możliwy?* 19

WIERSZE

Jacek Bierezin: *Motyw żartobliwy z Brunona Jasieńskiego; – Motyw z Préverta* 31

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger: *Widziane z Brukseli* 33

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski: *Powrót na Syberię (rozmowa z bp. J. Werthem, administratorem apostolskim w Nowosybirsku)* 42
Dominik Morawski: *Watykan i Ukraina* 46

KRAJ

Smecz: *Z ukosa* 49
Krzysztof Wolicki: *Zabawa w wojsko* 60

SĄSIEDZI

Kamila Chylińska: *Ekscesy, pokusy i sygnały* 66
Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 79

KRONIKA KULTURALNA

Czesław Miłosz: *Dostojewski teraz* 85
Gustaw Herling-Grudziński: *Nicola: profil włoskiego przyjaciela* ... 94
Krzysztof Zawrat: *Asymetria* 100

CI, CO ODESZLI

Przyjaciele: *Roman Zimand („Leopolita"), 1926-1992* 104
Róża Nowotarska: *Jan Leszcza (1918-1992)* 105

KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA

M. Broński *Detektywi* 107
Bohdan Strumiński: *Sučasnist' (1961-1991)* 120
Hanna Świderska: *Wydawnictwa emigracyjne 1945-89* ... 132
Leszek Szaruga: *Nowa bibliografia wydawnictw podziemnych* 142
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 144

•

— *Wydarzenia miesiąca i Kronika norweska* 146

•

T. Czechowski, J. Garliński, J. Hejnar, K.J. Krótki, K. Migoń, J. Mondry, W. Urban: *Listy do Redakcji* 152
A. Lebiedziński, J. Tallat: *Oświadczenie* 158
J. Boniecki, R. Kaczmarek: *Sprostowania* 159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1992

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna w jedenastą rocznicę Jego śmierci — żona i syn z rodziną (Manchester, Londyn) ..... **F. 400,00**

Julia Juryś, Paryż — dla uczczenia pamięci Romana Zimanda, człowieka dużej miary ..... **F. 200,00**

Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) — dla uczczenia pamięci Żony, Alicji Kotlickiej, w czwartą rocznię Jej śmierci ..... **F. 300,00**

Romuald Quas de Penno, Hockessin, DE (USA) — zamiast kwiatów na grób Lydii Savoyki — dol. 25,00 ..... **F. 140,00**

(Jednocześnie przepraszamy p. Quas de Penno za podwójny błąd w jego darze na Fundusz *Kultury* odnotowany w marcowej *Kulturze*. Nie z naszej winy „daliśmy" mu imię Robert zamiast *Romuald* i zniekształciliśmy nazwisko jego zmarłego przyjaciela — *Jerzego Proniewskiego*, a nie Broniewskiego. Redakcja).

Julitta Szylar, New York, po raz 5-y — dol. 100,000 ..... **F. 560,00**

W jedenastą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, — syn, synowa i wnuczka z Paryża ..... **F. 150,00**

DZIĘKUJEMY!

●

Zamiast kwiatów na grób Henry Rolleta, uczonego i przyjaciela — Józef Lewandowski — na Fundusz im. Jana Strzeleckiego ..... **F. 200,00**

Świat i Polska

I

1. Rozziew między oboma członami tytułu jest oczywiście ogromny. Sama liczebność nie decyduje wprawdzie o roli, jaką państwo odgrywa na świecie, niemniej związek dodatni istnieje. Aktualnie stanowimy z grubsza jedną stuczterdziestą cząstkę ludności ziemskiej. Ma być wnet 40 milionów Polaków i jest już 5,5 miliarda ludzi na ziemi. Jest rzeczą nieprzypadkową, że całoziemskimi, np. demograficznymi zagadnieniami w tym wieku zajmują się głównie astronomowie: zapewne dlatego, że „bliskie obcowanie" z potwornością rozmiarów Kosmosu lepiej ich przygotowuje do względnie flegmatycznego obiektywizmu. W przedostatnim dniu 1991 roku jeden z nich wyliczył następujący bieg przyrostu ludności ziemskiej:

2. Stopa przyrostu jest globalnie wysoka, a liczni politycy, także przedstawiciele wiar oraz ekonomiści uważają ten stan rzeczy za pożądany i niewątpliwie — w ich mniemaniu — za „naturalny". Jakoż, w samej rzeczy, przyrost ludności może wspomagać wzrost ekonomiczny i gdy liczyć w latach, do kilku lub kilkunastu, albo patrzeć wedle czasowych rozmiarów politycznych, czyli udziału w rządach, korzyści ze wzrostu bywają spore. Jednak społeczeństwa nie żyją jedynie „kilkanaście lat", a kadencje rządów, a nawet form ustrojowych, są znikome w zestawieniu z wiekiem ludzkości. Nadto wiek ten, rzędu miliona lub dwu milionów lat, jest malutką cząsteczką prawie czteromiliardowego trwania życia na Ziemi. W tej skali skok wzrostów ludzkości na przestrzeni ostatnich stu lat nie jest już całkiem „naturalny", przeciwnie, jest wyjątkiem z reguły planetarnej. Nasz astronom obliczył, że gdyby aktualny przyrost roczny — 2% — trwał do roku 3400, to każdy żyjący dziś człowiek miałby

jeden TRYLION potomków, ziemska populacja wyniosłaby dziesięć SEKSTYLIONÓW, a rozmiary suszy na jednostkę wyniosłyby ok. 2 centymetry kwadratowe. W roku 2100 Ziemia liczyłaby (w tym założeniu) 50 miliardów ludzi, a w roku 2200 — 500 miliardów. Gdyby przyjąć za dobrą monetę szanse „masowej astronautyki" i jakichś kolonii pozaziemskich, należałoby OBECNIE, dla ustabilizowania liczby żywych, wysyłać w Kosmos 10.000 ludzi na godzinę! Tymczasem Ameryce, przodującej kosmonautycznie, trudno wysłać więcej niż kilkanaście osób rocznie na okołoziemską przejażdżkę. Podług badań, przeprowadzonych na uniwersytecie kalifornijskim, wiek XXI będzie stuleciem zagłady biologicznej na skalę nieznaną w dziejach Ziemi. Co najmniej *połowa* z 30 milionów żyjących dziś gatunków ulegnie wymarciu. Już dziś co dzień ginie jeden gatunek. Zero wzrostu populacji zakłada dwoje, a dokładnie 2,1 statystycznych dzieci na jedną rodzicielską parę. Załamanie bytu ludzkości jest nieuchronne, choć dostrzeganie go jest bardzo źle widziane przez Kościół katolicki, przez ogromną większość polityków i ekonomistów. Walka z antykoncepcją jest nie tylko sojuszem z wirusami, powodującymi w 100% śmiertelne zejście (bo nic nie zapowiada leku zapobiegającego czy leczącego immunologiczną zapaść, wywołaną przez HIV, a zwaną AIDS). Walka ta jest przyspieszeniem wybuchu „bomby demograficznej", nawet gdyby wirusa w ogóle nie było. Optymiści spośród demografów liczą na to, że przyrost ludności wyhamuje się sam. Istotnie widać to w krajach bogatych (Niemcy np.). Jednak globalnie wzrost ludności idzie w parze z ubóstwem i nędzą. Jak niedawno rzekł nowy sekretarz ONZ, MILIARD ludzi, czyli jedna piąta żyjących, żyje w biedzie i głoduje. W III świecie dziennie umiera z głodu 40.000 dzieci. Śmierć ta zajmuje mało miejsca w mediach, ponieważ można ukazać kilkadziesiąt półtrupków, po których szkieletowatych ciałkach łażą muchy, ale nie pokaże się dziesiątków tysięcy naraz. To jest obraz poza granicami ludzkiej wyobraźni, a to, co jest poza granicami wyobraźni, właściwie jako bodziec, zniewalający do działania nie istnieje. Tendencja zdaje się zgubna nieodwracalnie — i już rychło. Dlaczego?

3. Człowiek (*homo sapiens*) powstał około dwu milionów lat temu jako gatunek o wieku przeciętnym jednostek, NIE przekraczającym okresu płodności. Przeciętnie ludzie nawet i tego kresu (kobiety) nie dożywali. Obecnie liczba ludzi starych, niezdolnych do pracy, rośnie we wszystkich zamożnych państwach. Tylko biedacy umierają raczej przed wyczerpaniem sił prokreacyjnych. Postępy medycyny i biologii sprzyjają starzeniu się populacji państw zamożnych. Ten trend nie może trwać dowolnie długo, ponieważ nawet przy niewielkim ujemnym przyroście,

tj. gdy więcej ludzi umiera, niż się rodzi, społeczeństwo musi zginąć. Niemcy przy obecnej stopie swojego przyrostu, a jest ujemna, nie przeżyliby XXI wieku. Dziwne, jak mało o tym sami mówią i jak wyraźnie przeciwstawiają się dopływowi imigrantów (to problem zawiły i osobny, którego tu nie poruszam).

4. Skoro nieosiągalnym życzeniem stabilizacji ludnościowej zajmują się niestety utopiści — należy się liczyć w XXI wieku z koszmarem, który w skrócie nazywam, przez analogię do STAR WARS — SEX WARS. „Wojny gwiezdne" nie są ani wojnami wśród gwiazd, ani przeciw gwiazdom. To metafora i taką samą są moje SEX WARS. Ludzkość (oczywiście na pewno nie CAŁA) zmuszona zostanie do poszukiwania środków hamujących eksplozję demograficznej bomby. Podobnie, a nawet *a fortiori* bardziej skrycie, niż działa wirus, przyczyny i skutki płodności rozdziela duży interwał czasu. Przecież nie padają wokół całe legiony ludzi po prostu od przeludnienia. Owo powolne i rozciągnięte w czasie umieranie ma więcej przyczyn, niż chcę i mogę tu wyliczyć. Zadanie będzie wyrażalne prosto: wyhamować płodność gatunkową *homo sapiens*. Powstała ona w swojej do dziś aktywnej i nawet postępami biomedycyny wspieranej postaci, bo takie warunki ukształtowały w zaraniu antropogenezy nasz gatunek, i śmiertelność noworodków była w owym zaraniu wysoka. Obecnie wiemy, że prawie 40% wszystkich jajeczek, zapłodnionych w organizmie kobiecym *post coitum*, ulega fizjologicznie naturalnemu wydaleniu z ciała. Gdy doliczyć śmiertelność przyporodową, średnia wynosi już 41% dla *homo sapiens*. Rzecz w tym, że samo zapłodnienie, czyli połączenie główki plemnika z jądrem jajeczka, to proces wielostopniowy i zawiły. Błona, okalająca jajeczko, ma przepuścić *jeden* z plemników i żadnego więcej, bo ulega *post conceptionem* natychmiast „zamknięciu" (nie piszę dla biologów, więc posługuję się niebiologicznym terminem). Krótko ująwszy rzecz, owe 40% (z grubsza) wydalonych a już zapłodnionych jajeczek to „błędne, kiepskie" zygoty, które gatunek winien usunąć jak najwcześniej ze swego obrębu. Musi, inaczej by zginął. To jest tak zwana „selekcja oczyszczająca". Mimo to pozostaje dość zygot z „błędami", aby istniało około 2.000 ułomności, z jakimi dzieci na świat przychodzą, a ich ogromna większość nie podlega skutecznemu „wyprostowaniu" terapeutycznemu. Kiedy postępy medycyny umożliwią procentowo znaczniejsze odwracanie dziedzicznych ułomności, sytuacja upodobni się do panującej już na szerszym terenie neomedycyny: jest to sytuacja „krótkiej kołdry". Albowiem istnieje pozytywna korelacja między skutecznością najnowszych zabiegów leczniczych i ich kosztem. Wybuch kosztów zdaje się przerażać lecznictwo także najbogatszych krajów, bo

czyni ludzi nierównymi wobec medycyny. Niewielu ludzi stać na osobiste opłacenie nowych terapii, a i najbogatsze państwa stać na to tylko wobec „wybranych". To nie ma wprost żadnego związku z zagadnieniami natalistycznymi, to jest problem szerszy i osobny. Można rzec, już dla globu jako całości, że mniej lub bardziej wspaniałych owoców rozpędzonych modernizacyjnie i rewolucyjnie technologii wszyscy żyjący spożywać nie mogą i że nierówność ta, wbudowana (jako nieuchronna składowa) w postęp, razem z postępem wszystkich umiejętności opanowywanych przez gatunek nasz rośnie w sposób (niestety) wykładniczy. Spaść z bryczki lub konia to nie jest konieczny i nieuchronny powód śmierci. Spaść z samolotem, to śmierć (statystycznie) pewna.

5. Jakkolwiek nieraz zajmowałem się etycznymi aspektami ewolucji naszych (ludzkich) sprawności działania, tu, w sferze centralnej, życia dla przeżycia, o etycznej stronie raczej pomilczę. Niewojenna operacja, którą nazwałem SEX WAR, będzie nieuchronnie konieczna, o ile gatunek *homo* ma przeżyć, chociaż nie wiadomo ani JAK, ani KIEDY, ani W JAKI SPOSÓB zostanie przeprowadzona (czy tylko wszczęta). Operacja taka jako zupełnie jawna raczej nie mogłaby być prowadzona dziś, ponieważ jest drastycznie sprzeczna z moralno-politycznym kanonem świata współczesnego. Prawdopodobnie więc strona zdolna technologicznie do rozpoczęcia SEX WAR, uczynić by takiego kroku nie śmiała ze względu na opory moralne, na społeczną reperkusję nie tylko strony „zaatakowanej", ale i strony „własnej". Na razie byłoby to więc niemożliwe, niezależnie od tego, iż skuteczniejszych a niemorderczych środków dekompresyjnych nie posiadamy. Jest to jednak kwestia dalszych „postępów", zachodzących obecnie w akceleracji. Środki znajdą się na pewno. Oczywiście „bolesność moralna" ich stosowania będzie uzależniona od charakterystyki działania, od zmiany, zachodzącej stopniowo w opinii powszechnej, jako też od stopnia przynaglania demograficznym stanem rzeczy. Na spacerowym statku wykrytych pasażerów na gapę nie wrzuca się do morza. Na statku fizycznie mogącym wziąć na pokład jakichś (dryfujących łodziami) uciekinierów (por. *boat people*) można ich już pozostawić własnemu losowi (= śmierci). Na statku tonącym może dojść do gwałtownych walk o środki ratownicze. Na łodzi ratunkowej może już dojść do obcinania rąk tonących, uczepionych burty. Taka stopniowalność jest typowa w ludzkim świecie. Matki wyrzekały się dzieci przed progiem komory gazowej. Ludzkość nie będzie chciała SEX WAR. Nikt ich nie zechce, ale okażą się konieczne, chyba, że inna ludobójcza masakra lub katastrofa, której szansami tu się nie zajmuję, sprawę SEX WAR zdejmie z wokandy, nim dojdzie do jej rozpatrywania.

6. Nie zajmuję się tu ani *science fiction* ani zabawą w futurologa. Kto głosi, że każdy człowiek umrze na pewno, nie może być logicznie biorąc nazwany „badaczem przyszłości". To byłoby niepoważne, a rzecz jest poważna. Aż nadto. Łańcuch procesów, wiodących od kopulacji do porodu, może być przerwany, a może być tylko niejako „nadłamany", „ściśnięty", nadwątlony w bardzo wielu miejscach i można wymyślać hipotetycznie, gdzie i jak dałoby się to uczynić sposobem „najbardziej humanitarnym". Najbardziej humanitarny (i raczej cyniczny) sposób to kryptobiologiczne SEX WAR, np. prowadzone przez dodanie do pokarmu substancji hamujących płodność. Najprościej hormonalnie, aby np. kobieta, do kopulacji jako samica zdolna trwale [w przeciwieństwie do samic ssaków, zdolnych dopuszczać samców do kopulacji tylko w okresie dość krótkiej rui (oestrus)] została oddziaływaniem zespołu chemicznych substancji doprowadzona do stanu permanentnej niepłodności (jakby stale zażywała pigułki antykoncepcyjne), albo do krótkich okresów płodności rozdzielonych periodami bezpłodności. To jest możliwe i to zostanie zrealizowane w dziedzinie biologicznej.

Stronę kosztów pomijam. Wycena po jednej stronie licząca ile kosztuje podtrzymanie życia mas głodujących, a po drugiej licząca, ile trzeba zainwestować w efektywne ubezpłodnienie (naturalnie nie zabójcze ani chorobotwórcze) jest sprawą silnie uwikłaną w etykę, a konkretnie w moralne intuicje i przekonania decydentów, od których by operacja SEX WAR zależała. Optymalne byłoby biologiczne skrócenie okresu płodności kobiet — np. do dekady między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, ani przedtem, ani potem, z jednoczesnym wprowadzeniem odpowiednika fizjologicznej „rui". To nie ma znaczyć, by tak potraktowane hormonalnie niewiasty miały się „gonić". Można z drugiej strony redukować stopę przyrostu, działając na mężczyzn, aby plemnikotwórcza potencja zmalała albo ustała, ale to będzie trudniejsze i bardziej niebezpieczne jako grożące uczynieniem z tak porażonych samców ludzkiego rodzaju — rodzicieli np. jakichś potworków albo potworniaków, bo łatwiej jest plemniki w nowym organizmie *uszkodzić*, niż *powstrzymać ich produkcję totalnie*.

Zresztą sprawa jest (jak zaznaczyłem) biologicznie zawiła i odnalezienie drogi mniejszych czy najmniejszych szkód będzie kłopotliwe, także dlatego, że do kłopotów dorzuci swój wkład panująca religia. Jestem przekonany, że Kościół katolicki łatwiej by się zgodził na poważne osłabienie popędu seksualnego, aniżeli na zasugerowane powyżej działania hormonalne, które czynności

kopulacyjnych w ogóle nie tykają. Ma on seks za zło, bo sprawia uciechę, a nie dlatego, że z jałowego seksu dzieci się nie rodzą. Wielu katolików utrzymuje, iż powodem postawy Kościoła jest po prostu zawiść wywołana celibatem. Tą stroną rzeczy nie chcę się jednak zajmować, bo idzie nie tylko o dowodne dociekanie, ile o insynuacyjne traktowanie sprawy, dla kontynuacji gatunku zbyt poważnej, aby wolno było się w ogóle zajmować jakimikolwiek pomówieniami i domysłami. Kościół w zakresie natalizmu i badań prenatalnych będzie w każdym razie musiał stanowisko swe zmienić: nie w tym sęk, CZY, ale tylko KIEDY.

Powiedziane dotąd jest wstępem do dalszych rozważań, które mam ochotę i nadzieję rozwinąć, ponieważ dwudziesty pierwszy wiek będzie największym historycznym wyzwaniem dla człowieka rozumnego, odkąd powstał. Tak się stało, że samoczynna, niejako pozaludzka aktywność ziemskiej biosfery nas nie uratuje. Albo uratujemy się sami, albo nic nas z matni nie wydobędzie: *tertium*, niestety, *non datur*.

7. Wypada jednak zająć się jeszcze dwiema rzeczami, dopóki nie uznamy, iż jakaś forma antynatalistycznej polityki, którą ochrzciłem mianem SEX WAR, okaże się zniewalająco konieczna. *Primo*, czy nie mylę się wraz z tymi demografami, którzy przewidują wykładniczy wzrost ludzkości: czy jednak jakiś efekt hamowania wzrostu nie nastąpi samoczynnie? Oczywiście jest to życzenie powszechne. Nic jednak (poza naszymi życzeniami) za takim automatyzmem nie przemawia. Prognozy sprzed 30-40 lat przewidywały 6-miliardową ludzkość na rok 2000 w wariantach pesymistycznych. Nic nie wskazuje teraz, w roku 1992, aby pesymistyczne prognozy demograficzne się NIE sprawdziły. *Secundo*, do wzrostu ludności dołączył (nie mogę bezustannie powtarzać słowa „niestety") wyraźny, uniwersalny na Ziemi proces przyspieszenia niekorzystnych zmian środowiska naturalnego oraz tego środowiska sztucznego, które człowiek działalnością własną tworzy. Mamy wszak oznaki zmiany na gorsze klimatu, składu atmosfery (np. „ozonowe dziury"), składu wód oceanicznych (zanieczyszczenia, umieranie wielkich połaci biotopów morskich), powierzchni lądów (zatrucia, wyjałowienia ziemi, śmierci szaty zielonej na nieznaną skalę, np. w pasach przytropikalnych i tropikalnych), mamy oznaki nowozagrażających schorzeń (wywołanych albo zmianami wymienionymi, albo mutacjami istniejących pasożytów oraz zjawianiem się zarazków wirusowych historycznie nieznanych: *nie ma powodu*, aby wirus AIDS uznać za jedyny casus tak nieprzewidywalnej epidemii, mamy rozwój technologiczny, prowadzący pośrednio do

zmian obu już wymienionych rodzajów („zawał" motoryzacyjny metropolii światowych, „zawał" powietrzny lotnictwa już zagrażający, „zawał" okołoziemskiej przestrzeni, stającej się rozwirowanym, gigantycznym śmietniskiem poastronautycznych odpadów, groźnym już dla wszelkich nowych lotów, itd. Listę można by przedłużyć. Z deszczu często przechodzimy pod rynny. Katalizatory dla aut powodują tylko odwlekanie i spowolnienie zatruć. Nieszkodliwej i 100% bezpiecznej energetyki atomowej lub wodorowej być nie może. „Informacyjna gęstość" satelitarnych telewizji jest wyraźnie czynnikiem ogłupiania, bo im doskonalsze systemy transmisji i emisji, tym bardziej monotonnie głupie, sadystyczne rozpasanie i otępiające umysł programy. To nie jest wartościowanie czysto subiektywne, ponieważ np. utrata słuchu powiązana z nagłośnieniem muzyki (walkmeny i koncerty masowe) jest zjawiskiem czysto biologicznym i całkowicie pozaestetycznym. Tak zatem, odporność biosfery ulega naruszeniu przez przeciążenie. Ani wody powierzchniowych stoków, ani atmosfera, ani oceany, ani lądy, ani zieleń „same" już się w pełni (obecnie) odnawiać i odżywiać nie są w stanie, a co dopiero nastąpi, gdy wzrost ludności będzie nadal trwał? Tym samym widać, z jednej strony, zasadność nawoływania do „zerowego wzrostu", o jaki zabiegał kilkanaście lat temu Klub Rzymski, z drugiej widoczna jest powszechna daremność takich programów, bo wzrastająca ludzkość utrzymać nawet swego stanu nierówności bytowej przy niewzrostowej (*Zero Growth*) ekonomii NIE może.

8. Pozostaje mi jeszcze ostatnia część tego artykułu, mianowicie nazwanie istniejącego potencjalnie „trzeciego wariantu". Byłby to czysty leseferyzm bogatych egoistów, prowadzący do ulubionej, katastroficznej wizji pewnych pisarczyków *science fiction*: Ziemia wymarła, z konającymi od wszelkich zatruć ostatkami III świata i z pancernymi, szklanymi kopułami „wysp" mniejszej, najzamożniejszej, wyposażonej w technologiczne narzędzia przetrwania, cząstki ludzkości. Bogacze samouwięzieni mogliby się tak od konających miliardów nędzarzy odizolować, ale wydaje mi się, że cokolwiek będzie z jakąkolwiek *quasi*-hormonalną wersją SEX WAR, okaże się ona złem na koniec mniejszym od dwuczęściowego świata ogromnych cmentarzysk i „wysypki" szklanych bąbli — przetrwalników milionerskich. Jak można sądzić, istnienie pojęć „większego" i „mniejszego" zła, to nie jest żadna fanaberia etykofilów. Tendencje do budowania „zamkniętej przed nędzarzami twierdzy bogatych" JUŻ są widoczne w roku Pańskim 1992. Problem „azylantów" jest zapowiedzią, znamieniem czasu, a nie tylko racją stanu. Państwa, wyzwolone spod sowieckiego totalitaryzmu, pragną uczestniczyć w

pogoni za uciekającą przed nimi, zresztą raczej z rozpędu „panprogresywnego" niż z rozmysłu, światową czołówką. Warto tedy rozważyć: 1) Czy w ogóle można dogonić czołówkę? 2) Czy wszyscy będą zdolni ją dogonić, a jeżeli nie, to kto okaże się w tych biegach pokonany? Czy Polska? Na tym urwę tę część rozważań wstępnych...

II

1. Sugerowane przeze mnie w poprzedniej części artykułu SEX WAR były wynikiem różnozakresowych przemyśleń. Najpierw zastanawiało mnie to, iż większość luminarzy tak zwanej futurologii uznawała wybuch ludnościowy („bombę demograficzną") za zjawisko przejściowe, bardzo krótkotrwałe, które — tak sądzono w latach 1965-1975 (z grubsza biorąc) — samo wygaśnie, albowiem ponad 2% stopa globalnego przyrostu pocznie u progu XXI wieku dość rychło spadać. Już 30-miliardową ludzkość uznawali na ogół za fantastyczną niemożliwość i na próżno szukałem (u owych futurologów z Rand Corporation i z Hudson Institute, powiedzmy) innego demoskopijnego hamulca niż zakładana jako pewnik nieustająca poprawa warunków życiowych dzięki wzrostom dochodów narodowych. O samej dynamice demograficznej było tam z reguły nieporównanie MNIEJ aniżeli o tym, iż już w TYM stuleciu państwa Układu Warszawskiego prześcignął ekonomicznym tempem przyrostów Europę Zachodnią, że rej będzie wodzić NRD, że tuż za rokiem 2000 dochód narodowy ZSSR okaże się drugi co do wielkości za amerykańskim, itd. Nadzwyczajne wysiłki rozpędzenia pomysłowości doprowadziły do tego, że nieboszczyk H. Kahn w „The Year 2000, a Frame for Speculations" za jakoś jeszcze prawdopodobny uznał w prognozach KONTAKT z pozaziemskimi cywilizacjami! To tak. Natomiast antagonizm centralnie planetarny na osi Wschód (komunistyczny) — Zachód (kapitalistyczny) uznawał za stałą, za *constans*, za stan rzeczy wmrożony nieodwołalnie i bezapelacyjnie w obręb naszego świata, jak gdyby na zawsze. Ponieważ *post factum* bardzo łatwo jest stawiać „uargumentowane retrognozy" podkreślę, iż nie chcę się wcale znęcać nad padlinami futurologii — i nie nawiązuję do rozchodzącego się dosyć szeroko u nas powiedzenia generała Dubynina (że i małpa może zdechłego lwa za ogon ciągnąć). Zajmuje mnie strona czysto rzeczowa: *rozmiary* popełnianego regularnie błędu. Owszem, Kahn miał przeciwników, którzy z kolei zapowiadali katastrofę ekologiczną, ale nikt nie przewidział tego, co zaszło w latach 1989-1990. Nikt z liczących się eksper-

tów. Francis Fukuyama z pilnością, godną lepszej sprawy, głosi na lewo i prawo „koniec historii". Być może jako zbyt młody nie wie, że Raymond Aron już czterdzieści lat temu napisał był „Koniec wieku ideologii", a Fukuyamowe orzeczenie jest w pewnej mierze kontynuacją tego tematu: skoro marksizm zawiódł, to liberalizm rynkowy zwyciężył. Jakże miła jest taka prostota. Niestety, ani świat badany przez nauki ścisłe, ani tym bardziej świat badany przez politologów proste być nie chcą. Ponieważ NIE nastąpił w większości krajów Trzeciego Świata wzrost gospodarczy; ponieważ sytuacja bytowa w Azji i w Afryce oraz w Ameryce Południowej raczej się pogorszyła, do przepowiadanego uporczywie spadku stopy przyrostu ludności NIE doszło. Zapowiedzią SEX WAR są koszmary np. chińskie, gdzie się noworodki płci żeńskiej (jakoby nielegalnie) morduje, gdzie kobiety w zaawansowanej ciąży poddaje się przymusowemu jej przerwaniu. Nawiasem mówiąc, nie wiem też, skąd się wziął w polszczyźnie termin ABORCJA. Istnieje łaciński *ABORTUS*, poronienie czyli przedwczesne wydalenie płodu z ciała matki, tak jak *PARTUS* (poród), *MORBUS* (choroba), ale nie istnieją odrzeczownikowe pochodne w rodzaju „Morbia", „Parcja". Obawiam się, iż tym co termin ukuli szło o skrótowość, w propagandzie bardziej skuteczną niż rozwlekłe choć polskie „przerwanie ciąży". Szło też o utożsamienie płodu z człowiekiem, nawet gdy idzie o zapłodnioną jajową komórkę PRZED podziałem. Smutne, kiedy nieprawdą krzepi się określone postulaty Kościoła, podawane za pewniki pozareligijne jakoby, albowiem wynikające z „praw natury". Z „praw natury" nic nie wynika, przynajmniej w zakresie aksjologii, i pomieszanie to nie sprzyja spokojnemu namysłowi nad sprawami TEGO świata. Wszelako dobrze pojmuję całkowitą nieskuteczność i jałowość argumentacji na płaszczyźnie empirii czyli faktów: kto ją w ten przestwór dyskursu wprowadza, zarobi szybko na miano chwalcy mordowania „nienarodzonych Polaków" (jak czytać można w barwnych ulotkach, jakimi kraj jest zasypywany). Tymczasem mordercą takim, prowadzącym (prawda, że nieumyślnie) kampanię uszkadzania i zabijania płodów w łonie kobiet, jest w okręgach śląskich i na całym przyśląskim terenie przemysł (SZKODLIWY i BEZUŻYTECZNY na ogół)) przez całość wydalin i odpadów. Jest to obszar największej ekologicznej katastrofy w Europie i już dziś i TAM należałoby wszcząć działania, mające nieść ratunek zarówno „nienarodzonym Polakom", jak i wszystkim żyjącym tam ludzim. Nic z tego: nie ma pieniędzy.

2. Tak zatem, rozmiarami i specyfiką błędów, systematycznie popełnianych przez jednych futurologów i powtarzanych pil-

nie niecałe trzydzieści lat temu przez drugich, zostałem niejako pchnięty w stronę najbardziej zaniedbaną. Mianowicie nie tyle ekologii nawet, ile diagnoz stawianych ziemskiej biosferze jako pewnej CAŁOŚCI. Rzecz w tym, że gdy (też nieomal trzydzieści lat temu) odbyło się w Biurakanie sowiecko-amerykańskie sympozjum CETI na temat komunikacji z pozaziemskimi cywilizacjami, włączono do książki, prezentującej sympozjum, także moją wypowiedź, w której zwróciłem uwagę na fakt następujący: Ziemia jest swoistym homeostatem, ustatecznionym w zakresach panujących temperatur, pór roku, ilości i składu atmosfery, wód powierzchniowych itp. Wielkości ustabilizowane w pewnych przedziałach zwie się parametrami. Ubocznym, niechcianym rezultatem działań ludzkości jest powolne wypychanie parametrycznych wartości z ich przedziałów o normie wielowiekowej, co czyni z tych „byłych parametrów" zmienne zależne od NASZEJ działalności. Dopóki „sama biosfera" czuwała nad stabilnością głównych parametrów, nic globalnie a raptownie zmienić się nie mogło. Im jawniej jednak parametry dane przez naturę człowiek obraca w zależne od swych poczynań zmienne, tym większą musi ponosić czysto praktyczną odpowiedzialność za zachowanie określonych stanów rzeczy, sprzyjających życiu, a co najmniej życie umożliwiających. Tylem rzekł wtedy. Potem dopiero spostrzegłem, jak fatalnie miałem rację i jak nieznacznie czy zgoła wcale ludzkość troszczy się o te procesy, które parametry obracają w zmienne. Fatalnie dlatego, ponieważ zadanie kontroli i niezbędnych przeciwdziałań z reguły jest ponadpaństwowe, a żadnego światowego rządu wszak nie mamy, gdyby zaś nawet był, to by go doraźne problemy zmuszały do doraźnego działania. Tak jest teraz i będzie nadal. Rozpad ZSSR zmienił dwubiegunowy świat komunizmu przeciw demokracji w świat wielobiegunowy, szarpany konfliktami mniej lub bardziej lokalnymi, w świat, który z innych trochę powodów niż były, dwubiegunowy, ale tak samo jak tamten, „nie ma głowy", a dokładniej „nie ma wolnych środków" dla ratowania ludzkości (= siebie). To, co leży poza horyzontem rządowych kadencji, jest po prostu nieistotne, tak samo jak to, co znajduje się poza horyzontem biologicznym aktualnie czynnej generacji. *Après nous le déluge*, i może to być potop właśnie ludnościowy. Zarazem problemy, które nękają świat, w lwiej części są wywołane przeludnieniem, i znikłyby lub osłabły, jeśli przynajmniej stopę wzrostu ludności dałoby się zredukować globalnie z 2% do 1%, a potem i do 0,3-0,4%. Ponieważ na to się samoczynnie nie zanosi, coraz gorsza biosferyczna autoregulacja koliduje coraz mocniej z nadmiernym przyrostem naturalnym i wypada poszukiwać ogniwa, to jest tej zmiennej, nad którą NAM najłatwiej jeszcze przyjdzie zapanować. Zadanie polega więc na tym, aby wykładniczo rosnącą zmienną demograficzną niejako z powrotem obrócić w parametr, jakim była ustateczniona liczbowo ludzkość przez wczesne swe tysiąclecia (do wieku XVII, z grubsza biorąc). Co się tyczy NASZYCH możliwości skutecznego działania, należy sobie uprzytomnić, że 100 lat temu zaledwie poruszały się pierwsze prototypy śmieszących nas dziś „pra-samochodów", że 50 lat temu ludzkość liczyła DWA miliardy, i że nie tylko osiągnięcie, ale „przebicie" sześciomiliardowego pułapu w roku 2000 jest praktycznie pewne.

Zespół zmienności zjawisk ulega ponadto szerokofalowemu przyspieszeniu. Poważna część owej akceleracji jest „demopochodna", czyli wynika z samego przyrostu ludności, ponieważ wzmaga kryzysy ekonomiczne, kulturowe i *last but not least* nacjonalistyczno-religijne. Jednak przyspieszenie przemian dotyczy też postępów nauki i technologii, które przecież *wprost* nie zależą od demograficznej ekspansji. A ponadto mamy coraz szybsze i ku gorszemu skierowane zmiany całej lądowej i oceanicznej powierzchni Ziemi. O przyspieszeniu paradygmatycznych przemian w kulturze pisałem w nowym rozdziale pt. „Granice wzrostu kultury" nowego wydania „Filozofii i przypadku". Są to TEŻ zmiany na gorsze, wprowadzające coraz większy chaos w przewodnie wzorce twórczości we wszystkich dziedzinach sztuki. Mamy więc tak paradoksalną opozycję: *z jednej strony* coraz świetniejsze, coraz bardziej precyzyjne, ciągle udoskonalane technologie, a *z drugiej* to, czemu owe technologie służą, zwłaszcza w dziedzinie kultury (ale nie tylko tam), staje się coraz bardziej tandetne, kiczowate, nasycone okrucieństwem, sadyzmem, bebechowatą i atawistyczną zwierzęcością w znaczeniu regresu: progres więc został koniem pociągowym, zaprzęgniętym na rzecz regresu. Ale o kulturze dekadencko-schorzałej nie chcę tu mówić, bo i nie miejsce.

3. SEX WARS to oczywiście hasło wywoławcze, silnie przenośne. Chodzi o to, aby powstrzymać płodność, zarazem nie szkodząc nikomu żyjącemu (także jako płód). Substancje hormonalne, zdolne do takiej akcji już znamy (preparaty antykoncepcyjne). Nie chodzi o koszt tylko, ponieważ w najmniejszych nawet dawkach nie mogą ich zażywać wszyscy ludzie. Hormony regulujące owulację np. nie powinny być podawane mężczyznom. Skutki byłyby groźne i tu upatruję najtrudniejszy problem. Zapewne, rządy takich państw jak Indie i Chiny chętnie by (i to bezperswazyjnie) domieszały do wody pitnej (na przykład) preparaty, redukujące „ciśnienie prokreacyjne"... I faktem jest zarazem, że przyrost naturalny przede wszystkim notuje Trzeci Świat. Podawanie dowolnych preparatów po prostu doustnie też nie jest żadnym wyjściem, bo wypadałoby podawać je wiecznie.

W TAKIE przewidywania nie zamierzam się zagłębiać. Po prostu sądzę, że należy ustalić, w jakim czasookresie Polska będzie się jeszcze znajdowała w świecie „dzisiejszym", nie uznającym żadnej dekompresji techno- czy chemopochodnej. Chodzi o to, że stosunek zamożnej czołówki państw „demoeruptywnych" zmieni się, może i okrutnie, a co najmniej zmieni się antyemigracyjnie, w dalszej konsekwencji izolacyjnie (*splendid isolation*) w przyszłości, za jakieś 50-60 lat, już do tego stopnia, że warunki gry o byt, o przetrwanie, o rozwój, ulegną perturbacjom i wyłonią nowe reguły gry. Tych nie przewidzimy: nie byłoby źle, gdybyśmy mogli przynajmniej orzec, *na co Polskę stać*, i co z Polską być może w półwiekowej przyszłości! Sięga to na pewno poza granicę biologiczną dzisiaj nam panujących i wiodących często, niestety, za nos elit politycznych. To zresztą chyba szczęście, ponieważ trudno dać wiarę pesymizmowi sugerującemu, że następne pokolenia wydadzą jeszcze gorsze, jeszcze fatalniej w świecie nie orientujące się, głupio skłócone elity! To jednak, jaka będzie *droga dojścia* do tych jakichś nowopokoleniowych elit, jest naszym, bardzo nas trapiącym zmartwieniem. W ten sposób już nie z wysokiej orbity ani z lotu ptaka trzeba rzucić spojrzenie na Polskę Anno 1992 i kilka lat dzielących nas od roku 2000. Nie z jakowejś pitagorejskiej wiary w magię liczb nazywam ten rok, ale dlatego że ludzie takim liczbom przypisują wagę, której one w świecie pozaludzkim po prostu nie mają...

4. W tym miejscu muszę już dokonać wyraźnego zwrotu. SEX WAR, nazwane tak przeze mnie w sposób jawnie prowokacyjny, żadnej uczciwej prognozy w istocie nie stanowią. Nie jest tak, ażeby pewnego dnia państwa wyżu technicznego miały rzucić na Trzeci Świat jakieś bomby aerozoli deseksualizujących czy też „abortyzujących" (*per analogiam* z preparatami — defoliantami, jakimi Amerykanie istotnie obsypywali dżunglę. *Agent Orange*, stosowany w celu pozbawiania liści drzew Wietkongu, to już nie fantazja). Jest tylko tak, że przybór ludzkości oblegającej twierdze dobrobytu i mrącej w tym tłoku z głodu, *zmusi* w końcu uzbrojonych chemotechnicznie do JAKIEGOŚ działania. Tu winienem być coraz ostrożniejszy, bo sęk w tym jedynie, iż przyszłość bliska a rozległa za grzbietem XXI wieku będzie bardzo odmienna od teraźniejszości. Tak więc, *po pierwsze*, czy w ogóle na tyle dogonimy syty świat, iż będziemy się mogli z nim choć w pewnej mierze utożsamiać (to oznacza wymianę materii i wymianę informacji plus, oczywiście, wymianę ludzi — a wszystko jako krążeniowe obiegi bez przeszkód, nieobecność zatem każdej postaci „muru chińskiego", albo „złotej kurtyny", która by zastąpiła żelazną). Polacy, którzy ten świat

dogonią, będą się zasadniczo różnić od współczesnych jako państwo, jako system gospodarczy, jako społeczny zespół motywacji, aktywności, pracy. To nie może być współczesna Polska po prostu przeniesiona w wiek XXI. Podobnie Francja przedrewolucyjnych monarchów Kapetów nie mogłaby wcielić się ni z tego ni z owego we wiek dwudziesty. A przyspieszenie zachodzących zmian jest faktem nieodpartym.

Po wtóre, skoro zmieni się wszystko, nie tylko technologie (o nich zaraz), erozji ulegnie część granic państwowych, zjawią się (bo muszą) nowe źródła energii, a inwazja technik w ludzkie ciała spotęguje się i może nawet przyjdzie dumać o genetycznym najeździe na podstawy funkcjonowania tych ciał: skoro to wszystko nastąpi, mimowoli trzeba, choć niechętnie, dodać, że ulegnie zmianie i miejsce Kościoła w świecie i przez to w Polsce. Neo-ewangelizacja i „nowe nawrócenie Europy" na pewno nie mogą być dokonane przez Polskę (mogą być co najwyżej karykaturalną próbą), a jawny wysiłek Papieża, by podtrzymać już po jego pontyfikacie „twardą linię" przez mianowanie kardynałami i — szerzej — najwyższą elitą Kościoła głównie ortodoksów, jest czymś na kształt kierowania rzetelnej armii tam, gdzie oczekiwanego antagonisty już nie będzie.

Usiłuję wyjawić ten właściwie prosty fakt, iż świat się coraz szybciej zmienia, w sposób taki, że to czego chcemy, stając się, ubocznie produkuje mnóstwo tego czego i NIE chcemy, i co nam a nawet ziemskiej biosferze już życiowo zagraża. Ani ignorować, ani „zamówić" („odczynić") tych efektów ubocznych nie sposób, bo one wtargnęły nam już zaczątkami w centra bytu. O dalekich konsekwencjach *Human Genome Project* eksperci wolą milczeć, a politycy sferę ignorują. A są to tylko forpoczty biotechnik XXI wieku. Ignorowanie jest polityką. Prezydent Bush musiał udawać iż jego eksperci nie widzą związku przyczynowego między wydalinami potężnych enklaw przemysłu, także USA, a wyraźną już zmianą klimatu, o której uparcie powtarzałem, że nie może dać efektów „statycznych" (podniesienie poziomu wód planetarnych, ocieplenie Syberii, przesunięcia strefy monsunów, zagrożenie Golfstromu itp.), ale że zmiany będą najpierw *dynamiczne*. Mianowicie Ziemia JEST już podgrzewana (Słońce) nierównomiernie, jak baniak z wodą, samym brzegiem dna stojący na płomieniu, co musi wzmóc cyrkulację (stąd śnieżne zamiecie wśród pomarańczowych gajów Małej Azji i Kalifornii, nagłe huragany, ocieplone zimy europejskie, ruchy wielkich stref suszy i opadów). Dostrzeżenie nazwanego wyżej związku musiałoby spowodować zmianę ustaw, stanowić więc (mówię skrótowo) obciążenie finansowe dla bogatych pracodawców, itd. Ale zmiana MUSI zostać dostrzeżona, prędzej przez całkiem docześnie reagującego prezydenta Stanów (ktokolwiek by

nim był) aniżeli przez Papieża (niezależnie od tego kto by nim został).

5. SEX WAR jako nazwa pewnego zespołu działań nieperswazyjnych na rzecz antynatalizmu, to tylko zbiorcze hasło, mające wskazać, gdzie jeszcze najłatwiej o przeciwdziałanie ogólnemu załamaniu, ponieważ zmiany klimatu w XXI wieku JESZCZE skutecznie dokonać nie zdołamy. (My, ludzie, a nie piszący te słowa, rzecz jasna: mówię głównie o zajściach poza moim biologicznym horyzontem, bo takie spojrzenie okazuje się potrzebne).

6. Dzisiejsza Rzeczpospolita znienacka wyzwolona (znienacka, bo solidarnościowy pożar został zdeptany z woli Imperium i ono wpierw musiało zesłabnąć z kretesem, by ogień znów wzbił się z niedopalonych resztek) w żadnym wypadku do „wyścigu o dogonienie Zachodu" nie jest ani gotowa, ani zdolna, ani przygotowana. W tym wymiarze jest dość systematycznie (o ile w ogóle w sprawach polskich o systematyczności można mówić: „Polska NIErządem stoi" to jest porzekadło dawno wymyślone) uprawiane „obrzydzanie" nam Europy, permisyjności, Ameryki, w imię „wartości chrześcijańskich", dziwacznie patronujących ogromnym defraudacjom, chaosowi administracyjnemu, opluwaniu solidarnościowych rządów jako zbrodniarzy lub „tylko" impotentów przez trzeci rząd z kolei, wyraźnie najmniej sprawny, najgorzej dobierający ludzi (p. Najderowi składam tu ukłon), rząd z ambicją odwrotnie proporcjonalną do jego już ośmieszającego *image* itp. To wolę zresztą zostawić p. Smeczowi. Kiedy przyjdzie reorientacja, nie wiem, ale o tyle przyjść musi, że samobójstwa w miłym zatęchłym zaścianku naród popełnić raczej nie powinien, *scilicet* nie będzie chciał. Na razie żadnych zdolnych do przewodzenia partii politycznych nie ma. Wybory 89 były oczywiście wyrazem sprzeciwu, olbrzymim wysiłkiem wyrzucenia komuny za drzwi państwa, ale efekty okazały się, jak to bywa, paradoksalne (jako naśladowanie metod komuny...)

7. Tak oto zstępujemy do współczesności, nic konkretnego nie rzekłszy jeszcze o szansach Polski. Są złe, gdyż tempo światowych zmian wzrosło, a polityczna elita Rzeczypospolitej nie zdaje sobie z tego należycie sprawy, pochłonięta rozgrywkami o władzę. Królują niekompetencja i bałagan. Kościół miejscowy współdziała negatywnie z tą elitą, bo i stanął w wyborach po jednej stronie, i podobnie jak większość pracująca w zakładach państwowych, choć nie tak samo, wykazuje roszczeniowe tendencje całkowicie doczesne: tam zaś, gdzie prym wiodą przewodnie wartości etyki, Kościół optuje za tym, co, jak aborcja, musi być — aktualnie przynajmniej — drugorzędne. Trzeci rząd chce przez zawarte ze związkami zawodowymi umowy zredukować roszczeniowe naciski. Założenia jego programu są wewnętrznie sprzeczne: przeciwdziałać recesji produkcyjnej to wzmagać wytwórczość starej bazy produkcyjnej, czyli więcej niż dotąd wytwarzać, ale zarazem ma być zredukowana konsumpcja wewnętrzna i wzmożony eksport. Eksport niedumpingowy to fikcja, bo nie ma ani jednej dziedziny, w której polski produkt jest naprawdę konkurencyjny z wytworami światowymi, a na modernizację nie ma pieniędzy i żadne ich drukowanie ani przekładanie z jednej kieszeni do drugiej nic nie da. Osłabiony popyt wewnętrzny też prócz spadku spożycia krajowego nic nie da. Sukces gospodarki Hitlera w latach 1933-1938 zdaje się zagadką, gdyż nieprawdą jest, jakoby wszystkie postępy: likwidację bezrobocia, wzmocnienie marki, zawdzięczały Niemcy przestawieniu na zbrojenia. Hitlerowi pomógł po prostu jego totalitarny system: odciął Niemcy od reszty świata (m.in. kontynuacją wojny celnej z Polską) rzucił bezrobotnych w roboty publiczne (autostrady o strategicznym znaczeniu np.), a obozy pracy swoim zagrożeniem też wsparły dyscyplinę. Tych narzędzi Balcerowicz nie miał, więc użył jedynej dźwigni dostępnej natychmiast — monetaryzmu — co samoistnie modernizacji nie mogło spowodować. Zresztą przykład byłej NRD wskazuje, że i miliardy „twardego" pieniądza nie ratują w postkomunizmie przed zapaścią ekonomiczną i bezrobociem. Co zatem? To, co robili np. gospodarczo niesuwerenni Austriacy. Mają oni filie Siemensa i wielu innych molochów (nie tylko niemieckich): przejęli nie tylko kapitał, lecz i technologie dzięki licencjom i po kilkunastu latach wiele osiągnęli (po wyjściu okupujących Austrię mocarstw). Żadne przyspieszenie poprawy nie jest w skali 3-5 lat możliwe: dzielić zaś biedę, to wracać do „real-socjalizmu". Najlepsi niemieccy eksperci mówią o niezbędnych 10 a nawet 15 latach pracy jako minimum. Polacy po prostu nie chcą przyjąć do wiadomości, że za „komuny" WSZYSTKO było sferą budżetową, a gdy się wyczerpało, miliardowymi pożyczkami Gierka (kredyt zawdzięczał wierze Zachodu w ZSSR) zostały zużyte zasoby, pożyczaniem „rozciągnięte". W obecnej „godzinie prawdy" nikt prócz ignorantów lub demagogów żadnej rychłej poprawy dać nie może i nie będzie jej, niestety: wyłącznie kolejne rozczarowania i upadek kolejno wzbudzonych nadziei. Polska, kraj mający połowę węgierskiego dochodu narodowego na głowę, skoku nie dokona, bo to nie jest możliwe przy braku pracowitości. Obrona naiwnych mas przed obcym kapitałem to obrona ludzi przed tlenem, pożywieniem, przed szansami, których i tak nam skąpią. Byliśmy półkolonią, produkującą dla Im-

perium, np. zbrojeniowe zakłady do niczego prócz wyburzenia w większości się nie nadają, zaś popieranie przez związki zawodowe roszczeń, żeby rząd zrekompensował nieodwracalną utratę rynków Iranu, Syrii, Sowietów, NRD — to kontynuacja wiary w świętego Mikołaja. Ponadto elementów nowej ekonomii nikt w zrozumiały, jasny sposób szerokim rzeszom nie wyjaśnia, a po stronie ewentualnych słuchaczy i tak panuje głuchota, gdyż nowe prawdy są okrutne i bezwzględne. Każda anty- i pobalcerowiczowska polityka gospodarcza skończy się fiaskiem i przyjdzie zaczynać od nowa w gorszej sytuacji: pogorszenie sprawi zachodzący w międzyczasie techniczny postęp Zachodu. Wraz z zagrożeniem wschodnim i zachodnim straciliśmy obustronnie także rynki. Surowców, zdolnych załatać tę próżnię, prawie nie mamy. Czemu od trzech lat nikt takiej całości nie wyjaśnia społeczeństwu, pojąć nie mogę — czyżby strach paraliżował kolejne rządy, czy tylko niewiedza, brak rozeznania w nowej rzeczywistości?

Cóż więc będzie? Wzrost od trawy, od gruntu, drobne kiełki „prywatnej inicjatywy", które już powstały, będą dźwigały system, chyba, że „przyspieszacze" i inne „oszołomy" spróbują zabrać im skromne żniwo dla wypełnienia „wszystkich żołądków po równo", co skończy się tylko zgnieceniem i tych kiełków. Będziemy tedy zarazem oblegali twierdze dobrobytu bogatych państw i sami podlegniemy oblężeniu przez biedniejszych od nas. Główne zmartwienia Kościoła (pornografia, aborcja, pozamałżeński seks), te troski zasmuconej ciotki na kanapie, wspierane przez całą hierarchię, rozpłyną się po prostu, bo następne, młode pokolenie nie zechce przyjąć ich za swoje. W świecie rozdzieranym na dwoje przypływem ludnościowym Polska znajdzie się wśród sprzecznych prądów, ale tego, w którą stronę zdecydowanie ruszy, nie przewidzę. W każdym razie nowa generacja zdaje się rokować lepiej, niż ten Sejm, ten Senat, ci bigoci, te banki, ten prezydent, jakich mamy, a to nie jest mało, choć się w niniejszej chwili jeszcze nie liczy...

Luty 92

Stanisław LEM

Czy nowy Plan Marshalla jest możliwy?

Dla skutecznej prywatyzacji polskiej gospodarki konieczne są masowe inwestycje zagraniczne, tymczasem na światowym rynku brak wolnego kapitału. Fachowcy przypisują to niskiemu stanowi oszczędności, wynikającemu ze wzrostu spożycia. Znajdujemy się tu w obliczu jednej ze sprzeczności liberalizmu: produkcja nakręcana jest przez konsumpcję, ta ostatnia jednak drenuje zasoby kas oszczędnościowych i banków. Amerykanie znaleźli na to chwilową radę, porzucając zasadę obrotu zerowego, czyli zrównoważonego bilansu. Od ponad dziesięciu lat rozwój ich produkcji i spożycia odbywa się w dużym stopniu poprzez zadłużenie. Zasada ta rozpowszechniła się wszędzie, obejmując nawet słynących z ascezy Japończyków. Jak świat długi i szeroki zadłużone są rządy, przedsiębiorstwa i gospodarstwa domowe — i nie bardzo wiadomo, gdzie w ogóle jest kapitał. Czy zatem możliwy jest drugi plan Marshalla?

ROZMIARY POMOCY

W roku 1989 państwa zamożne przeznaczyły 47 mld dolarów na pomoc krajom rozwijającym się, w następnym roku kwota ta wzrosła do 54 miliardów. Na czele listy znajdowały się Stany z 11 miliardami, Japonia z dziewięcioma, Francja z sześcioma i pół, Niemcy z sześcioma miliardami dolarów. Podane kwoty sięgają dwóch do pięciu promil produktu narodowego bogatych, przy czym wyjątek stanowią kraje skandynawskie, które przeznaczają na pomoc zagraniczną około jednego procenta PNB. Można zauważyć, że gdyby inne kraje Zachodu też przeznaczały jeden procent na pomoc zagraniczną, wówczas trzykrotnie podniosłaby się jej wartość.

Tymczasem rozpad bloku wschodniego wniósł nowe dane do zachodnich projektów politycznych. W pierwszym rzędzie chodzi o Niemcy, które szybko pojęły szansę bezkonfliktowego zjednoczenia kraju poprzez wykupienie się u Rosjan. W ciągu półtora roku wypłaciły one Moskwie ponad trzydzieści miliardów dolarów, bijąc wszelkie rekordy. Poważnie zwiększył się udział Włochów w akcji pomocy — w tym wypadku chodzi głównie o dożywianie sąsiedniej Albanii, co powinno zapobiec masowej emigracji jej nieszczęsnego społeczeństwa. Innych bogatych krajów — w tym Stanów Zjednoczonych — wszystko to dotyczy w mniejszym stopniu, dlatego też pomoc reszty Zachodu dla byłego imperium nie przekroczyła w tym okresie 18 miliardów.

Z początkiem kwietnia br. agencje doniosły o przyznaniu przez siedem najbogatszych państw 24 miliardów dolarów dla Rosji. Warunkiem było przyjęcie przez parlament w Moskwie programu rygoru gospodarczego, jaki Jelcyn miał przedstawić na posiedzeniu 6-go kwietnia. Wskazuje to na polityczny sens pomocy, której rzeczywiste znaczenie jest skądinąd mniejsze, niż głoszona kwota. Jej połowę może Rosja otrzymać z MFW, pod warunkiem złożenia tam 4 miliardów wkładu własnego. Reszta pokryć ma gwarancje rządów zachodnich na eksport do Rosji i ewentualnie koszty odroczeń spłat rosyjskich długów. Przewidziano także 6 miliardów na fundusz stabilizacyjny, co wydaje się kwotą znikomą w stosunku do ilości rubli, jaką trzeba odprowadzić z rynku i zniszczyć, a reszcie zapewnić wymienialność.

MOTYWACJE MIĘDZYNARODOWEJ SOLIDARNOŚCI

Przypomnijmy w tym miejscu okoliczności powstania Planu Marshalla w 1947 roku. Stany zainteresowane były wówczas odtworzeniem rynku zbytu na zrujnowanym wojną Zachodzie. Rynki te miały umożliwić przestawienie ogromnej machiny wojennej USA na produkcję cywilną. Wcześniej przygotowywały one prawne podstawy dla powojennej ekspansji handlowej, określając w Karcie Atlantyckiej zasadę wolnego dostępu do mórz, a w układzie z Bretton Woods — ramy międzynarodowego systemu finansowego, opartego na sztywnym kursie dolara. W tych warunkach program zakładający wstrzyknięcie 14 miliardów dolarów w gospodarkę Europy Zachodniej był najkorzystniejszą i pełną wyobraźni inwestycją. W ramach planu Marshalla Stany przez pięć lat przeznaczały na pomoc po jednym procencie swego produktu globalnego. Dziś odpowiadałoby to blisko sześćdziesięciu miliardom dolarów rocznie, przez pięć lat.

Czy na zrujnowanym Wschodzie można sobie dziś wyobrazić interes, który wywołałby porównywalną mobilizację Zachodu?

Przez pewien czas za ważny czynnik uchodził wpływ sytuacji w obozie na zakupy w Stanach Zjednoczonych. Wzrost napięcia w ZSSR uważano za jedną z przyczyn wywołujących niepokój amerykańskich konsumentów. Kiedy zaś niepokoi się konsument amerykański, przestaje kupować — i przez świat przechodzi fala kryzysu. W ten sposób zastrzyki podtrzymujące Sowiety przy życiu jeszcze do ubiegłego roku tłumaczone były jako inwestycja zasadniczo korzystna. Koniec roku 1991 wprowadził jednak najgłębsze poprawki do całej prosowieckiej opcji polityki zagranicznej USA. Administracja zorientowała się, że żadne wysiłki nie przywrócą wygodnej sytuacji jednego, i przy tym potulnego, rozmówcy w Moskwie, i że odtąd trzeba będzie układać się z legionem władców. Podobnie stało się jasne, że powściągliwość konsumentów amerykańskich ma swoje źródła wewnętrzne i że na nikim nie robią już wrażenia pogróżki wschodnich polityków, z zapałem stawiających pokój całego świata pod zastaw własnego powodzenia. Wreszcie po latach przekonania o nieograniczonych zasobach własnych i planety Stany ocknęły się z widmem niedostatku w oczach. Ich rozbudowana machina światowego zaangażowania stoi — tak jak po 2-ej wojnie — wobec konieczności przestawienia się na mechanizmy bardziej gospodarcze. I podobnie jak pół wieku temu chodzi o nowe rynki zbytu. Jak dotąd jednak niewiele wskazuje na to, by szukali tych rynków w krajach imperium.

Wiele się mówi o wewnętrznych przyczynach niepowodzeń krajów byłego bloku, gdy chodzi o przyciąganie inwestycji. Konieczna jest rewolucja kulturalna, prowadząca do odpowiedzialności społecznej i zawodowej; zmienić muszą obyczaje politycy, którzy nieumiejętnością i arogancją często zniechęcają kapitał zagraniczny; wreszcie nie może trwać bałagan prawny i polityczny, który w połączeniu z brakiem systemu bankowego i nieprawdziwą monetą sprzyja praktyce kolonialnej raczej, niż rozwijaniu przez wielki kapitał dalekosiężnych strategii gospodarczych.

Są to warunki konieczne, ale niekoniecznie wystarczające. Bez kapitałów na wielką skalę wschodnie reformy mają niewielkie szanse powodzenia i kryzys społeczno-polityczny jest tam w równej mierze przyczyną, co i skutkiem bezradności. Głosząc odłożenie większych inwestycji do momentu, gdy reformy ustabilizują wewnętrzną sytuację bankrutów, Zachód pozornie popełnia ten sam błąd, co wschodni politycy w wysiłkach wewnętrznych, polegający na działaniu nieskoordynowanym. Zapewnia to skutek akurat przeciwny do głoszonych celów.

W gruncie rzeczy nie mamy tu do czynienia z błędem. Za-

chód — rozumiany jako zespół finansowy, przemysłowy i wojskowy — nie znajduje się w stosunku do dyspozycyjnego Wschodu w pozycji przymusowej, która prowadziłaby go do błędów. Chodzi prawdopodobnie o rozbieżność wizji rozwojowych w obu częściach świata w obliczu głębokiego kryzysu, który bynajmniej nie ogranicza się do obszarów kultury postkomunistycznej. Komunizm bowiem upadł, ale nie oznacza to, że kapitalizm zwyciężył. Tymczasem obie strony tkwią na starych pozycjach: wschodnie społeczeństwa podlegają silnym złudzeniom sprawiedliwości społecznej, rozdętym dziś do wymiaru międzynarodowego, a zachodnie bardziej niż kiedykolwiek wierzą w porządkującą moc zysku i wolności indywidualnej, źródło osobistej odpowiedzialności i powodzenia. Porozumieć się w tych warunkach raczej nie sposób.

W gruncie rzeczy konserwatyzm zachodni, podobnie jak jego wschodni odpowiednik, są wyrazem niepokoju w obliczu kryzysu. W ciągu stulecia kapitalizm przeszedł cykliczną przemianę i — przy całej względności porównania — znalazł się w punkcie wyjścia, określonym przez alienację osoby i kryzys wartości. To stan, w jakim trudno myśleć o innych.

KRYZYS KAPITALIZMU

W XIX wieku mieliśmy jeszcze do czynienia z kapitalizmem państwowym, żywionym impulsem państwa i poddanym jego kontroli. Była to epoka imperializmów: *Go West* w USA, europejska ekspansja kolonialna, azjatyckie podboje Rosji — to wspólne wszystkim potęgom kierunki mobilizacji, zapewniające długotrwały popyt na produkty i kapitały oraz gwarantujące dostęp do tanich surowców. Państwo rosło w siłę, ale nieliczni tylko się bogacili; dla większości życie zawodowe i społeczne było beznadziejnym zmaganiem się z niepojętą strukturą kapitału i polityki. To epoka zuchwałej niesprawiedliwości, jawnego gwałtu i nieskrywanej obłudy, bogata w złudzenia, płodna w ideologie.

W wieku XX kapitalizm okrzepł, zwielokrotnił skuteczność. Dopuścił także nowych adeptów. Zwiększyła się liczba zarówno przedsiębiorców, jak i drobnych posiadaczy akcji. Mit pucybuta w Stanach oraz pozór kapitalizmu ludowego w Europie upowszechniały aprobatę liberalizmu w podobnym być może stopniu, co silny wzrost spożycia w szerokich warstwach społecznych na Zachodzie. Szybka odbudowa ze zniszczeń wojennych, rosnąca liczba posiadaczy, choćby tylko mieszkania i samochodu, rozwój komunikacji i innych technologii przyszłości stopniowo doprowadziły do pogodzenia z kapitalizmem dużej części społeczeństw.

W miarę jak rozkładał się komunistyczny Wschód, rosła pokusa przypisania wolnemu rynkowi cech systemu optymalnego, godzącego osobę ze społeczeństwem, jednostkę z systemem, wartość z pieniądzem.

Aż wreszcie Imperium upadło i od razu wyszło na jaw, jak ważną rolę pełniło w dowartościowaniu liberalizmu. Ten ostatni, nagle pozbawiony komunistycznego krzywego zwierciadła, okazuje się znacznie mniej doskonały, niż przypuszczano. Podstawa jego sukcesu, a mianowicie zasada stałego wzrostu, stopniowo doprowadziła do zerwania związku między potrzebami ludzi i ich pracą. Doskonale widać to w stanie obu składowych gospodarki — rolnictwa z jednej, a przemysłu i usług z drugiej strony. Już przed laty zachodnie rolnictwo osiągnęło równowagę podaży i popytu i odtąd, napędzane ogólnym impulsem gospodarowania intensywnego, notuje stałe nadwyżki, które można zahamować jedynie odłogowaniem ziemi. Po prostu nie można zjeść więcej, niż natura wymaga. Trudno jednak odłogować przemysł, zatem w pozostałych dwóch działach sytuację ratuje stałe tworzenie nowych potrzeb, często bez związku z rzeczywistymi dolegliwościami społeczeństwa. Zwykły człowiek niełatwo pojmuje, skąd się bierze problem nadprodukcji, gdy dookoła widzi dotkliwe braki i rosnący przedział między bogatymi i ubogimi, a także dlaczego musi on pracować coraz więcej, gdy maszyny wykorzystywane są tylko w części, a wobec braku zbytu rośnie ilość bezrobotnych. Dlaczego Azjaci z dalekiego Wschodu pracować muszą po 60 godzin na tydzień, z sześcioma dniami przeciętnego urlopu? Dlaczego Amerykanie, którzy już pracują rocznie o sześć tygodni więcej, niż słynni z dyscypliny Niemcy, stoją wobec konieczności zwiększenia wysiłku? Dlaczego Europejczycy nie mogą przejść na 35-godzinny tydzień pracy, mimo że dalecy są od rozrzutności Amerykanów i od dawna już gospodarują oszczędnie? Zwykły człowiek widzi, że postulaty rygoru i powściągliwości adresowane są do niego, natomiast bogaci bogacą się jeszcze bardziej. Reklama i środki przekazu określają jego potrzeby, gdy jest on czynny zawodowo, gdy zaś traci pracę lub przechodzi na emeryturę, wszyscy radzą mu, by podejmował odpowiedzialne decyzje. Niski prestiż polityków, rosnący egoizm społeczny, brak motywacji do rzetelnej pracy, czemu towarzyszy lęk przed jej utratą, nieufność do podawanych informacji, wzrost ksenofobii i nastrojów wykluczenia, poczucie zagrożenia zatrutą naturą, agresją, zaburzeniami w ośrodkach miejskich, bezradnością, samotnością — to kilka z objawów kryzysu w zachodniej kulturze, nadal sprawnej gdy chodzi o stwarzanie możliwości dla zaradnych, lecz korodowanej ukrytą niesprawiedliwością, tajoną obłudą i subtelnymi metodami zniewalania, jakie ujawnia liberalizm w fazie swego rozkwitu. To

faza zaniku złudzeń, niewiary w ideologie i świadomości absurdu licznych mechanizmów gospodarczych i społecznych, do których zresztą większość adaptuje się bez widocznego sprzeciwu. Zwykłego człowieka z pewnością denerwuje sprzedawany mu w błyszczącym opakowaniu szmelc, który wkrótce musi wymienić na inny, ale szybko uznaje on rację tego stanu rzeczy we własnej fabryce, której trwanie może być uzależnione od szybkiej rotacji przedmiotów spożycia w gospodarstwach domowych.

Chyba najgłębszym źródłem wewnętrznych sprzeczności realnego liberalizmu jest umieszczenie człowieka po stronie kosztów procesu pracy, podczas gdy maszyny należą do inwestycji. Stąd liczne są przedsiębiorstwa, które przynoszą zysk i kupują nowe urządzenia, a zarazem zwalniają pracowników. Sprowadzenie człowieka do kosztów procesu podnosi dyscyplinę i wydajność pracy, jest zatem źródłem technologicznego rozwoju. W następstwie jednak wytwarza się sprzężenie zwrotne, kiedy sam pracownik redukuje swoją pracę do źródła zysku. Wkrótce wszyscy rozumują wyłącznie kategoriami cyfr, które nabierają rangi ostatecznej instancji porządkującej wszystko. Kończy się tym, że jedynym lekiem na przygnębienia społeczne staje się wyczekiwana koniunktura ekonomiczna, która z pewnością nadciągnie zza Atlantyku.

Redukcja stosunków społecznych do warstwy wyłącznie ekonomicznej jest oznaką wewnętrznego kryzysu liberalizmu realnego — ale na tym bynajmniej nie kończą się jego kłopoty. Okazuje się ponadto, że w warunkach zachodniego indywidualizmu traci on wiele ze swej skuteczności. Największe sukcesy odnosi kapitalizm w krajach Azji wschodniej, gdzie społeczeństwa są łatwo sterowalne, a jednostka liczy się jedynie jako część składowa grupy. Pomiędzy wizją utraty samodzielności gospodarczej, a koniecznością rezygnacji z własnych wartości dla stawienia czoła azjatyckiemu wyzwaniu Zachód zdaje się tracić zaufanie do swych możliwości dostosowania się — i reaguje odruchem zamknięcia się i wycofania na własne podwórko. Proces ten nie nabrał jeszcze wielkiego znaczenia i być może w najbliższym czasie nie nabierze. Jest to raczej zjawisko z dziedziny psychologii społecznej, wystarczająco intensywne, by wpływać na nastroje. Widoczne jest to zarówno na szczeblu wielkiej polityki, gdzie ustala się cła i stopy procentowe, jak i na poziomie zwykłego człowieka. Wobec licznych zagrożeń, jakich czuje się ofiarą, domaga się on od swoich władz zwrócenia szczególnej uwagi na sprawy wewnętrzne i nie będzie głosował na polityka gotowego do masowej interwencji na rzecz obcej nędzy. 37 milionów Amerykanów — ludność całej Polski — nie posiada żadnego ubezpieczenia; co siódmy mieszkaniec Nowego

Jorku żyje z pomocy społecznej — czy zatem trudno się dziwić, że tak wielu Amerykanów odmawia poparcia dla prezydenta Busha, nazbyt, ich zdaniem, zaangażowanego w politykę zagraniczną?

RYNEK STRUKTURA DELIKATNA

Poza psychologiczną istnieje także i strukturalna przyczyna braku motywacji do olbrzymiego wysiłku na rzecz wschodniej gospodarki. Interwencje na wielką skalę nie należą już do arsenału działań politycznych czy gospodarczych, ponieważ zasada stałego wzrostu doprowadziła zachodnie struktury do stanu napiętej równowagi, gdzie niczego nie załatwia się drogą skokowych zmian. Skuteczność polega dziś raczej na precyzyjnym sterowaniu niż na użyciu masowych środków. Zilustrować to można przykładem z gospodarki wodnej, gdzie zamiast jednej wielkiej wieży ciśnień buduje się trzy małe, za to pracujące na granicy stabilności. W dziedzinie cen niewielka nadwyżka podaży nad popytem prowadzi zwykle do ich głębokiego spadku i trudnych do opanowania zakłóceń w całym mechanizmie rozdziału i wytwarzania. Kilkuprocentowa zmiana kapitału zachodniej firmy może decydować o jej upadku lub przetrwaniu. Dużą rolę kształtującą poglądy odegrało odkrycie delikatnej równowagi środowiskowej, którą zakłócić może nawet niewielki stosunkowo impuls. Szczególnego imperatywu powściągliwości dostarczyła wojskowa technika nuklearna, której zakres przewidywanych skutków użycia wystarczył do pełnego jej unieruchomienia. Z XIX-wiecznych statycznych, najeżonych barierami celnymi fortec państwowych, gdzie rozwój oznaczał fizyczne podporządkowanie sobie coraz to nowych obszarów, Zachód wkroczył w epokę globalnego rynku, na którym ekspansja terytorialna straciła znaczenie, natomiast liczy się precyzja i szybkość sektorowej transakcji. Rynek globalny przypomina pod wieloma względami transportowce ropy, którym zdarza się w momencie opuszczenia portu załadowczego nie znać swego przeznaczenia; już na oceanie otrzymują rozkaz z centrali, która śledzi drobne na ogół i szybkozmienne kursy baryłki. W takim świecie propozycja nagłego anulowania dwustu miliardów dolarów wschodnich długów i zainwestowania tam tysiąca miliardów musi uchodzić za rojenia fantasty.

Rynek jest więc wszechwładny, ale wrażliwy. Dla zdobycia nowych jego skrawków dozwolone są wszystkie chwyty, lecz gwałtowna zmiana jego parametrów stanowi koszmar wielkiego kapitału. W prognozach fachowców często przejawia się nuta tęsknoty za wielkim rynkiem wschodnim — a jednak nie sposób

oprzeć się wrażeniu, że w gruncie rzeczy sfery finansowe nie życzą sobie nagłego przyłączenia Imperium do światowego rynku. Nie bez kozery głównym przeciwnikiem szybkiej integracji obu części Niemiec był Bundesbank. W skali jednego kraju wola polityczna wzięła ostatecznie górę nad konserwatyzmem kapitału. W skali całego Imperium jednak trudno wyobrazić sobie podobny układ — nawet nie dlatego, że w grę wchodzą koszty niewspółmiernie większe w stosunku do ogromnych przecież obciążeń finansowych konwersji NRD. U naszych sąsiadów 60 milionów bogatych wykupiło 17 milionów bankrutów za kwotę rzędu kilkuset miliardów marek, rozłożoną na kilkanaście, może dwadzieścia lat. Pozwoliły na to wielkie rezerwy finansowe zgromadzone dzięki wieloletniej dyscyplinie gospodarczej i monetarnej społeczeństwa RFN. Rozszerzenie scenariusza niemieckiego wymagałoby przyjęcia na długie lata przez cały Zachód podobnego rygoru — co zaliczyć można do życzeń absurdalnych. Przeciwnie, wiele wskazuje na to, że Zachód jest zainteresowany w tym, aby marazm na Wschodzie trwał długo.

ROZWÓJ WSCHODU A INTERES STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Postawienie Wschodu na nogi nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych. W szybkim tempie dostosowują one swoją strategię do roli jedynego w świecie supermocarstwa. Popieranie rozwoju Imperium, podobnie jak samodzielności Europy zachodniej czy wzrostu potęgi finansowej Japonii, byłoby w tych warunkach działaniem na własną szkodę.

ARMIA

Głównym składnikiem tej strategii jest siła wojskowa. W wojnie z Irakiem Stany wykazały, że mogą szybko przerzucić w dowolny punkt globu pół miliona żołnierzy wraz ze skomplikowanym sprzętem. Tego nikt nie potrafi. Umiejętnie przeprowadzona „pokrywa informacyjna" konfliktu — trudno tu użyć sformułowania obsługa informacyjna — utrwaliła w świecie obraz wojny sterylnej, elektronicznej, w której technika i organizacja amerykańska nie mają sobie równych. Taki ton propagandy powinien się długo utrzymać, stanowiąc zasadniczą zmianę w stosunku do ostatnich dwudziestu lat, kiedy obowiązywała zasada wyolbrzymiania sprawności wroga. Pozwalało to wojskowym uzyskiwać w Kongresie stale nowe pieniądze bez wystawiania się na zarzut o nieskutecznym zarządzaniu już otrzymanymi

funduszami. Teraz Pentagon argumentować będzie koniecznością utrzymania zdecydowanej przewagi technologicznej — zatem wyciąganie potencjalnego przeciwnika z upadku zakrawałoby oczywiście na niedorzeczność.

Nie przypuszczam, by Polska objęta była inną logiką, przynajmniej tak długo, dokąd jej rozwój związany będzie z możliwością sojuszu z jednym z rywali USA: Rosją lub Niemcami.

POLITYKA

W ślad za siłą wojskową idzie znaczenie polityczne. W tej dziedzinie Stany wyrosły na bezdyskusyjnego arbitra w skali planety nie tyle wskutek trafności własnych interwencji w świecie, co raczej w wyniku braku konkurentów. Nowe potęgi gospodarcze — Japonia i Niemcy — nie mogą rozwinąć mocarstwowej siły zbrojnej, w pierwszym rzędzie wskutek sprzeciwu własnych społeczeństw. Ponadto są one obarczone resentymentami sąsiadów, co silnie blokuje ich regionalną hegemonię. Z tego punktu widzenia głębokie zbliżenie Polski z Niemcami nie leży w interesie USA. Rosjanie z kolei stracili polityczne znaczenie na długie dziesięciolecia. Natychmiast jednak po odzyskaniu przez Rosję równowagi pojawią się tam skuteczne siły przeciwstawiające się dominacji Stanów Zjednoczonych i znów najpewniej odbywać się to będzie poprzez konflikty zastępcze na odległych rubieżach obu mocarstw. Przybliżając tę chwilę poprzez podźwignięcie gospodarki byłego imperium USA popełniłyby ciężki błąd, ponieważ zaangażowane wszędzie, wszędzie też musiałyby interweniować.

Wreszcie utrzymanie układu atlantyckiego i zarazem formalne stowarzyszenie państw Europy wschodniej w nic nie znaczącym układzie doradczym opóźni powstanie europejskiej siły zbrojnej, w ślad za którą nastąpiłoby przyspieszenie integracji kontynentu i zmiana dzisiejszego rozkładu sił.

DOLAR

Okrzepnięcie pokomunistycznego Wschodu mogłoby osłabić sytuację dolara. Niestabilność tych obszarów stanowić będzie przez długi okres — może dziesięciolecia — główną przeszkodę w zjednoczeniu z resztą kontynentu, opóźniając w szczególności przyjęcie przez wschodnie kraje talara, zawieszonego na marce. Dopóki to nie nastąpi, niemal cały obszar byłego Imperium — może z wyjątkiem Czecho-Słowacji i Węgier — będzie się znajdował pod silnym wpływem dolara, zarówno poprzez fundusz sta-

bilizacyjny — tam, gdzie istnieje — jak również na skutek jego psychologicznej roli jako waluty-schronienia. W przyszłych kleszczach pomiędzy yenem, który może jednak mieć trudności w podporządkowaniu sobie Azji wschodniej, a marką, która ma duże szanse narzucenia swych praw Europie, poddany byłby dolar silnym naciskom na obniżkę, co zmniejszyłoby jego zagraniczną siłę nabywczą i podniosło koszty światowego zaangażowania USA.

GOSPODARKA

W dziedzinie gospodarczej szybki rozwój naszego Wschodu przyniósłby zaostrzenie głównego konfliktu amerykańsko-europejskiego, który od kilku lat blokuje porozumienie w ramach GATT. Stany żądają między innymi zmniejszenia europejskich dotacji dla rolnictwa, szkodzących konkurencyjności produktów amerykańskich. Europa pozostaje głucha, wysuwając zresztą niebagatelne argumenty, i okresami obie strony bliskie są wypowiedzenia sobie ekonomicznej wojny. Złożoność *dossier* może odsunąć porozumienie na długie lata. Otóż kraje pokomunistyczne długo jeszcze utrzymają charakter w dużym stopniu rolniczy. Ich szybki rozwój i przyłączenie do reszty kontynentu miałyby za pierwszy gospodarczy skutek zwiększenie podaży rolniczej, co ograniczyłoby jeszcze bardziej rynki dla produktów amerykańskich.

Interesujące dane wyczytać można ze sporu o ochronę własności intelektualnej. Amerykanie od lat usiłują nakłonić partnerów do jej przestrzegania, by ukrócić powszechną w świecie praktykę piractwa amerykańskiej technologii, programów informatycznych i rozrywki. Obóz, a szczególnie same Sowiety, daleki był od honorowania praw autorskich i patentowych kogokolwiek, a już na pewno nie Amerykanów. Kraje Wschodu z czasem będą musiały uznać, że rynek ma sens wtedy, jeśli się za wszystko płaci. W okresie jednak rozwoju zabiegają one o szczególne warunki, co odnosi się także do bezpłatnego korzystania z zachodniej własności intelektualnej. Jest to towar, jakiego Amerykanie najbardziej nie lubią rozdawać, ponieważ w grę wchodzą losy światowego przywództwa. Tymczasem jednak, w okresie głębokiego upadku wschodniej gospodarki, mamy do czynienia z procesem dokładnie przeciwnym, to jest silnym drenażem wschodniego potencjału naukowego i artystycznego przez Zachód, a głównie Stany. Za śmieszne kwoty sowieckie laboratoria, uczeni i artyści pracują dla programów amerykańskich. W marcu *Time* podał między innymi przykład moskiewskiego Instytutu Energii Atomowej, którego ponad stuosobowy personel

wynajęty został do prac nad syntezą termonuklearną — za 90 tysięcy dolarów rocznie, „z grubsza pensję jednego amerykańskiego fizyka o wysokim poziomie", zauważa *Time*. Za kilkadziesiąt milionów dolarów Stany — pospołu ze Wspólnotą Europejską — zatrudnią cztery tysiące wybitnych uczonych na placówce jaka ma powstać pod Moskwą — oficjalnie do pracy nad programem traktatowej redukcji broni nuklearnej. Jeśli Amerykanie nie kupują, za bezcen, najpotężniejszych na świecie rakiet, reaktorów satelitarnych, kosmicznych usług, ekspertyz i materiałów, to jedynie z powodu — jak twierdzi *Time* — braku wspólnej wizji politycznej rządu, a ściślej Departamentu Stanu. Skłonny jestem dojrzeć tu jednak logiczny rachunek. Po pierwsze sowiecka manna naukowa może zakłócić rynkową równowagę w tej dziedzinie w samych Stanach. Jak dotąd zapobiega się temu poprzez zatrudnianie amerykańskich specjalistów we wschodnich programach restrukturacyjnych, lecz podaż sowiecka bez trudu przewyższy możliwości wchłaniania amerykańskich ekspertów przez wschodnie kanały polityczne. Drugim problemem jest wzajemna przydatność tych usług. Z opisanych powyżej powodów Amerykanie ograniczają znaczenie własnej pomocy, stąd wartość ich ekspertyz bywa wątpliwa. Odpowiada to jednak dwuznacznej wartości najwybitniejszych nawet usług wschodnich uczonych, wobec nieprzystawania ich kultury naukowej do kryteriów Zachodu, zwłaszcza w aspekcie praktycznym. Stąd zapewne u Amerykanów duża powściągliwość w nabywaniu intelektualnej masy upadłościowej Imperium, czemu towarzyszy zresztą ruchliwa propaganda ostrzegająca przed emigracją zdesperowanych Sowietów do Iraku i gdzie indziej.

Tak czy inaczej są to dla Amerykanów kłopoty znacznie mniejsze, niż te, jakie pojawiłyby się w następstwie szybkiego rozwoju wschodnich gospodarek. Wówczas bowiem na czoło wysunąłby się problem ochrony amerykańskiej własności intelektualnej, bez żenady — i nie bez przyczyny — przywłaszczanej wszędzie, a zwłaszcza w krajach rozwijających się.

ROZWÓJ WSCHODU A INTERES EUROPY ZACHODNIEJ

Istnieją również niebagatelne przesłanki przemawiające za utrzymaniem upadku gospodarczego Wschodu z perspektywy Europy Zachodniej. Głównie jest ona zainteresowana tym, by nie wybuchały u nas wojny, mogące spowodować masowe ruchy uchodźców. Pogłębiłyby one konflikty społeczne Zachodu i jego bezrobocie. Ze strony ekonomicznej daje się zauważyć przygotowania do ekspansji Japończyków, którzy w Europie Wschodniej

znaleźć by mogli konia trojańskiego dla swych gospodarczych krążowników: elektroniki użytkowej i samochodów. Stąd w Polsce inwestycje Thomsona w telewizory kolorowe czy europejskiej filii GM w wytwórnię na Żeraniu. Jednak zagrożenie, o jakim mowa, długo jeszcze nie nabierze realnego kształtu, ponieważ Japończycy nie są skłonni do dużego zaangażowania na Wschodzie przy panującym tam bałaganie. Natomiast zasadnicza poprawa doprowadziłaby na naszym terenie do ostrej walki kapitałów, która, wobec przewagi finansowej Japończyków, mogłaby wykończyć liczne firmy zachodnie.

Największym zainteresowaniem Europejczyków cieszą się wschodnie surowce i elektryczność, gdzie Zachód widzi ważne źródło swych uzupełnień. Dla nich zaletą tej opcji jest niski u nas koszt surowców i energii, wynikający ze sztucznego układu cen i płac oraz z upadku gospodarki. Spadek produkcji pozwala bowiem eksportować to, czego przemysł nie był w stanie przetworzyć. Jest to oczywiście sytuacja gospodarki kolonialnej, na którą łatwa koniunktura energetyczna nakłada antyrozwojowe pęta, zmniejszając przy tym zainteresowanie Wspólnoty Europejskiej skuteczną pomocą rozwojową.

Masowa pomoc z Zachodu, rodzaj drugiego Planu Marshalla, wygląda więc w dzisiejszych warunkach na mrzonkę, co silnie obciąża hipotekę wszelkich planów rozwojowych na Wschodzie. A jednak powodzenie obu stron jest wzajemnie uzależnione. Wydarzenia polityczne ostatnich lat wyprzedziły rozwój mechanizmów światowego rynku: ku osłupieniu marksistów nadbudowa wyprzedziła bazę. W interesie samego rynku konieczne są nowe rozwiązania, choć nie należy po nich oczekiwać cudów.

Paryż, 8.04.92

Robert KACZMAREK

Wiersze

Jacek BIEREZIN

MOTYW ŻARTOBLIWY Z BRUNONA JASIEŃSKIEGO

Wypraszam sobie Pani E.,
Pani przechodzi obok mnie
I nawet mnie nie zauważa,
A to naprawdę mnie obraża.

Czyżby już Pani zapomniała
Hotel, Sekwanę i Neuf-Pont?
A może Pani by zechciała
Raz jeszcze nie jak comme il faut?

Wypraszam sobie Pani K.,
Czy w listach też już Pani gra?
Czy to Poetka i Kochanka,
Czy też Aktorka-Szarlatanka?

Ja w nocy błądzę nad Sekwaną.
Siadam w alei pośród drzew.
A między nami ciągle rośnie
To oddalenie złe jak gniew.

Nie chcę już Pani niepokoić,
Lecz byłem dzisiaj w Odéon.
I gdzieś na scenie lub w kulisach
Błąkał się dziwny, niski ton,

Którego nie ma, bo nie wszyscy
słyszeli ton ten — tylko ja.
I z tego wniosek oczywisty,
Że mi się tylko w duszy gra.

A może Pani wcale nie ma,
A ja tak sobie tylko śnię?
A może Pani odpłynęła
Aeroplanem w białą mgłę?

Paryż, styczeń 1992

MOTYW Z PRÉVERTA

Tak, to są Twoje ulubione piosenki.
Tekst Préverta, muzyka Kosmy i Yves Montand.
Tu panuje czas przeszły i martwe liście.
Trwa życie. Jesienne deszcze, długie pożegnania,
głosy mew nad wodą, słychać śpiew pijanych
marynarzy i syrenę holownika.
W górach grad i lawiny. Alpiniści
zjeżdżają ze zdobytych szczytów.
Wezbrane rzeki płyną do morza.
Słońce umiera i zmartwychwstaje.
Trwa życie, ale spadają czarne płaty śniegu.
Każdemu daj śmierć jego własną, Panie.
Daj umieranie, co wynika z życia,
gdzie miał swą miłość, ale i biedowanie.

A ja płynę od Wyspy Syren do Wyspy Słońca.
Jestem tu i tam, w Paryżu,
z piękną Cyganką i Szarlatanką.
Przechodzicie obok i wasze głodne oczy
opierają się na jej biodrach,
i jej twarzy tak uporczywie
kochającej życie, że nie ucieka
z niej żadnej uniesienie.
Ta jej nieświadoma radość nie do zniesienia
w zimowym pejzażu wyzywająco nagich
drzew bulwaru Saint-Germain.

Martwe liście i umarła miłość.
Być może, jak za każdym razem,
tym razem
umarła.

Paryż, luty 1992

Jacek BIEREZIN

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

POCZĄTEK HISTORII

Lenin był uparty, to nie nowość. Ale żeby upierał się siedemdziesiąt lat po śmierci, to przesada. A jednak... Pomnik wodza rewolucji, kiedyś zdobiący Nową Hutę, a potem pochowany w fosie jakiegoś starego fortu pod Krakowem, został zakupiony przez Muzeum Historyczne w Sztokholmie i miał z kolei stać się atrakcją jakiegoś parku w Szwecji. Ale, jak się dowiedziałem, uparty Lenin z Polski wyjechać nie chce.

Pomnik waży 7,5 tony i miał zostać przewieziony do Gdyni na przyczepie Mostostalu. Ale okazało się, że na leżąco Lenin jest za szeroki, aby wjechać na prom, a na stojąco Lenin jest za wysoki, aby zmieścić się pod mostami na trasie Kraków — Gdynia.

W tym miejscu rodzi się podwójna refleksja wstępna. Pierwsza, techniczna, to ta, że Lenina zapewne w końcu jakoś ułożono tak, aby Szwedzi nie byli zbyt długo pozbawieni tego wyjątkowego artystycznego przeżycia. Druga, intelektualna, polega na tym, że ta krótka opowieść o przygodach Lenina w spiżu może podlegać rozmaitym interpretacjom.

Z jednej strony, może stanowić symboliczny epilog całej epoki. Park w Szwecji może, także symbolicznie, zastąpić tzw. śmietnik historii (wymyślony chyba właśnie przez Lenina albo

jego uczniów). Z drugiej strony, odwrotnie, przy odrobinie wyobraźni można powiedzieć, że Lenin znowu w ruchu, że znowu sprawia kłopoty i że starsi ludzie to pamiętają, historia może się na nowo zacząć.

I jest prorok

Spór o to, czy i kiedy historia się zaczyna lub kończy, nie jest nowy. Trwa od kiedy trwa historia. Ostatnio się bardzo ożywił. Zwolennicy pierwszej tezy doczekali się, jak go nazwał Dawid Warszawski w *Gazecie Wyborczej*, swego proroka. Jest nim Francis Fukuyama, amerykański politolog japońskiego pochodzenia, były urzędnik Departamentu Stanu, który w 1989 roku wydrukował w miesięczniku *National Interest* esej „bombowo" zatytułowany: „Koniec Historii". Dwa lata później Fukuyama „poprawił cios" wydając książkę o jeszcze bardziej pretensjonalnym tytule „Koniec Historii i ostatni człowiek". I esej i książka wywołały ogromne poruszenie i szeroką dyskusję w kołach zarówno filozoficznych, co politycznych. Moim zdaniem, poruszenie było za wielkie, a dyskusja zbyt szeroka, o czym już kilkakrotnie wspomniałem, także w *Kulturze*.

Otóż, Fukuyama, jak go przystępnie, lojalnie, i co najważniejsze, zrozumiale streszcza Warszawski w *Gazecie* z 4-5 kwietnia 92 (dzięki za pomoc, bo musiałbym sam niektóre wyrażenia tłumaczyć), uważa, że demokratyczne rewolucje końca lat 80-tych zwiastują koniec Historii (przez wielkie H), koniec starcia między wielkimi systemami społecznymi. Po klęskach prawicowych dyktatur, upadek komunizmu oznacza ostateczne zwycięstwo liberalnej demokracji i kapitalizmu. Notować już teraz będziemy tylko wydarzenia dokonujące się w ramach demokracji. Starcia tytanicznych ideologii i systemów należą do przeszłości. Historia się skończyła, będziemy umierać z nudów.

Jest to, naturalnie, streszczenie, jak wszystkie takie streszczenia, uproszczone i zubożające. Jest w książce Fukuyamy prawdziwe i poważne odniesienie filozoficzne, zaczerpnięte z Hegla i z mniej znanego współczesnego filozofa rosyjskiego pochodzenia, wykładającego przed wojną w Niemczech, a potem we Francji, Aleksandra Kożewa, który zresztą napisał i przed laty wydał u Grasseta w Paryżu książkę też pod tytułem „Koniec Historii". Jest także uzasadnione i poważnie wytłumaczone odniesienie do nauk przyrodniczych, a zwłaszcza technologii, jako motoru dziejów i mechanizmu ostatecznego triumfu kapitalizmu.

W sumie Fukuyama narobił szumu w coraz nudniejszym świecie intelektualistów, za co należy mu być wdzięcznym, ale niewielu tylko przekonał. W telewizyjnej konfrontacji z kilku bardzo inteligentnymi Francuzami wypadł po prostu źle, co było być może skutkiem konieczności tłumaczenia niełatwej przecież dyskusji. Ale, jak wynika z artykułu Warszawskiego, wypadł także nieprzekonywująco w dyskusji w Londynie, gdzie kwestia językowa już w grę nie wchodziła. Warszawski twierdzi uprzejmie, że „jest coś, co budzi szacunek" w przedsięwzięciu Fukuyamy, m.in. to, że stawia on pytania o sens dziejów, ale stwierdza, że Fukuyama „zadaje więcej pytań niż udziela odpowiedzi". I dodaje: drażni u Fukuyamy jego naiwny determinizm, brak historycznej głębi, której nie zastąpią powierzchowne impresje". Ano...

Poza częścią filozoficzną, zawsze przydatną w dyskusji, z eseju Fukuyamy w historii, którą on chciał zakończyć, pozostanie prawdopodobnie tylko bardzo dobry, chwytliwy i skłaniający do polemiki tytuł. Fukuyama pozostanie być może jak, mówiąc obrazoburczo, Sołżenicyn i jego „Gułag", w większym stopniu autorem tytułu niż książki, o której szeroko dyskutowano, ale którą mało kto do końca przeczytał. Zachodzi jednak także duża różnica: książka Sołżenicyna wpłynęła na Historię, książka Fukuyamy historię chciała zamknąć, ale na nią nie wpłynie.

Tak, jak tytuł „Gułag", tak „Koniec Historii" robi własną karierę. I skłania do uproszczeń i do polemik. Intelektualnie żyzna, książka Fukuyamy politycznie jest bałamutna. Zmusza do postawienia tezy odwrotnej, chociaż banalnej, tej, że historia się nigdy nie kończy. Ta teza obejdzie się bez proroków. Nie potrzebuje. Wystarczy czytać gazety.

II. Nie potrzeba proroków

Krótki remanent z rzeczywistości można, bez pomocy politologów podzielić na dwie zasadnicze grupy, i bez pomocy proroków wyobrazić sobie ich skutki.

a) po wyborach w Albanii i przy domniemaniu niewinności przywódców Rumunii, można powiedzieć, że komunizm jako system w Europie się skończył. Ale w Chinach się nie skończył. Tak jak komunizm rosyjski stanowił niebezpieczeństwo dla Europy, tak komunizm chiński stanowi groźbę dla otoczenia w Azji i okolicy. Nieważne w tej chwili, czy i kiedy groźba ta może się zmaterializować, ważne, że może to w pewnej chwili nastąpić. W polityce i w psychologii stała możliwość jest historycznie ważniejsza niż jednorazowe spełnienie.

Zresztą, rykoszetem, może się to odbić także na Europie. Chiny mają stare *dossier* z Rosjanami. Tak zwane „niesprawiedliwe traktaty" z XIX wieku mogłyby uzasadnić roszczenia chińskie

do prawie całej Syberii. Otóż, jeżeli z powodów trudności wewnętrznych jakiś wariat w Pekinie doszedłby do wniosku, że warto zaryzykować „wielki skok do przodu", to konwulsje mogą się dać odczuć także u nas. A ponieważ Rosja jest członkiem układu z Helsinek, a nawet kandyduje do NATO, to wcale niewykluczone, że Szkoci czy Flamandzi w „niebieskich hełmach" ONZ-u zostaną wysłani do pilnowania pokoju w znane już z historii okolice rzeki Ussuri.

To samo, choć w innej skali, może dotyczyć ciągle komunistycznej, choć dogorywającej Kuby, a zwłaszcza Korei Północnej, komunistycznej, ale przede wszystkim już prawie atomowej. To samo, nie trzeba tego rozwijać, odnosi się do fali integryzmu muzułmańskiego i jego zatrutych odprysków, to znaczy terroryzmu.

b) Ale to nie wszystko. Komunizm opuścił Europę, ale nie całkiem. Pozostawił spadek. Zatruty. Koniec komunizmu wygasił zimną wojnę i spór Wschód-Zachód, ale nie sprowadził na świat ogólnej nirwany i powszechnej *dolce vita*. Zniknęła znad Europy chmura bezpośredniego zagrożenia wojskowego i ideologicznego, ale zgromadziły się nad nią niebezpieczeństwa innego typu. Paradoksalnie patrząc, te nowe zagrożenia są trudniejsze do ujarzmienia i kontrolowania. Przedtem wystarczyła brutalna siła. Teraz trzeba i siły, i jeszcze innych argumentów i środków.

Przedtem świat cywilizowany obawiał się sowieckiej supermocarstwowej potęgi. Teraz powinien się obawiać po-sowieckiej słabości. Słabości wynikającej z co najmniej potrójnej niekontrolowanej dezintegracji: państwa, armii i gospodarki. Ich żywiołowego rozpadu i wybuchu. Oto szkic scenariusza, powierzchowne, bez pretensji, ćwiczenie z geopolityki stosowanej. Może pomysł do drugiego tomu Fukuyamy. Proponowany tytuł: „Początek Historii".

III. Wbrew prorokom

1) Nikt nie przewidział ani tak szybkiej ani tak głębokiej dezintegracji państwa sowieckiego. Szczegóły znamy. Ocierały się kolejno o dramat i o groteskę. Wystarczy przypomieć ten dzień grudniowy, kiedy Gorbaczow przyszedł do biura, ale jego gabinet był już zajęty przez Jelcyna. Otóż, choć na razie nikt jeszcze nie zajął gabinetu Jelcyna, państwo rosyjskie wchodzi, być może, w proces podobny do ostatniej fazy państwa sowieckiego. Dla usunięcia Gorbaczowa i wykończenia państwa sowieckiego Jelcyn nie wahał się rzucić republikanom hasła: „Bierzcie tyle suwerenności, ile potraficie unieść". I wzięli. I wykończyli ZSSR.

Obecnie to hasło walki wzięli na poważnie Tatarzy i Czeczeńcy. Za nimi pójdą inni. Czy wykończą Federację Rosyjską? Wcale niewykluczone. Ale uwaga. Do Związku Sowieckiego była alternatywa. Była Federacja Rosyjska i inne republiki. I była zorganizowana na chybcika i byle jak WNP — Wspólnota Niezależnych Państw. A dziś? Dziś alternatywy nie ma. I nie ma już złudzeń. WNP to pusta skorupa, nie ma żadnej treści, nie ma żadnych uprawnień ani żadnej egzekutywy. Nie potrafiła załatwić ani jednego z licznych spornych problemów posowieckich. Wczoraj miała być wyłącznie narzędziem Jelcyna do zniszczenia ZSSR. Dziś miałaby być instrumentem hegemonii Rosji. Wystarczy przyjrzeć się roli sztabu generalnego WNP i „ponad-narodowego" marszałka Szaposznikowa, aby zrozumieć o co chodzi. Nic dziwnego, że ukraiński prezydent Krawczuk mówi o WNP jako o „sennym złudzeniu", i to w czasie przeszłym, że żąda jej neutralności w sporze o flotę czarnomorską i że Azerowie i Ormianie proszą o interwencję nie WNP, a ONZ.

WNP miała być syndykiem masy upadłościowej sowietyzmu i komunizmu. To nie jest łatwy spadek ani lekka hipoteka. WNP tego prawdopodobnie nie udźwignie, to pusta skorupa, bez żadnych uprawnień, ani to federacja, ani konfederacja. To był rodzaj zamachu stanu, instrument jaki miał posłużyć Jelcynowi do ostatecznego zniszczenia ZSSR i usunięcia Gorbaczowa, do rozparcelowania imperium przy zachowaniu dominującej pozycji Rosji. Kryzysy w WNP to miara nieufności Ukrainy (i innych) wobec hegemonicznych aspiracji Rosji.

Zachód się, naturalnie, cieszył z rozsypki komunizmu, ale nie z końca ZSSR, bardzo chciał, aby na jego miejsce powstała inna, ale także koniecznie wspólnota. Zachód był po prostu zupełnie nieprzygotowany do żywiołowego rozpadu imperium komunistycznego, do nagłego, bo o to przede wszystkim chodzi, rozwiania się dogmatów, na których opierała się przez dziesięciolecia jego dyplomacja. Zachód by chciał, aby nowa wspólnota kontrolowała cały arsenał wojskowy, zwłaszcza nuklearny, aby stała się, to jest najważniejsze, osią mechanizmu jak najdalej posuniętego niszczenia siły wojskowej spadkobierców ZSSR.

Niestety w percepcji nierosyjskich republik taka wspólnota oznaczałaby hegemonię Rosji i takiej wspólnoty dlatego jeszcze długo nie będzie. Zachód powinien się z taką perspektywą oswoić i do niej dostosować. Nastawić się na konieczność działania w warunkach narastającej fali nacjonalizmu i starać się zapobiegać wynikającym z niej nieuniknienie konfliktom. Inaczej, jak w Jugosławii, ale w innej skali, przyjdzie drogo płacić za gaszenie pożarów.

Złe dekolonizacje, Afryka służy przykładem, spowodowały he-

katomby ofiar. Rosja wchodzi w okres złej dekolonizacji. Tylko, że Rosja nie leży w Afryce. I Rosja stanowi ciągle wojskową super-potęgę. Karabach, Gruzja, Mołdawia, to tylko początek. Czy dojdzie do drugiej „wojny krymskiej", do bitwy morskiej o flotę w Sewastopolu? Czy dwa największe dziś i najbardziej uzbrojone państwa europejskie, to znaczy Rosja i Ukraina, opanowane anachronicznym szowinizmem, nie potrafią rzeczywiście rozwiązać sporu o flotę, tę najmniej potrzebną część posowieckiego dziedzictwa? Czy utoną w mętnych, a nie czarnych wodach nacjonalistycznego absurdu?

Podobny proces zachodzi w Europie wschodniej. Pakt Warszawski też się rozsypał cudownie, bez ofiar. Była alternatywa: suwerenne państwa narodów. Ale Jugosławia nie przestaje krwawić, a jeszcze nikt nie przypomniał Kosowa. Ani Wojwodiny. Ani Transylwanii. Nie mówiąc już o Grekach i Macedonii. Ani o Czechach i Słowakach.

Idzie bałagan. I idzie, powiedziałem, nacjonalizm. Po 70 latach komunizmu, terroru, przymusowej przyjaźni, dławienia przez sowietyzm aspiracji narodowych, po latach kolonizacji i dzikiej eksploatacji zasobów materialnych i ludzkich, jest rzeczą naturalną, że byłe republiki sowieckie i jeszcze nie byłe republiki Federacji Rosyjskiej przyznają priorytet sobie, stawiając cele własne, narodowe, etniczne, klanowe, przed bardzo zresztą wątpliwymi, a nawet podejrzanymi interesami jakiejś nieokreślonej bliżej i niefunkcjonalnej Wspólnoty. Inaczej mówiąc, republiki czy nawet regiony zwane autonomicznymi wchodzą w fazę afirmacji narodowej, nacjonalistycznej, a nawet szowinistycznej, a w niektórych rejonach fundamentalistycznej, muzułmańskiej. Komunizm niósł hasła równości i emancypacji, miał otworzyć wrota „więzienia narodów". W istocie je na dobre i naprawdę zamknął. Obecna nacjonalistyczna fala jest także reakcją na miarę komunistycznej mistyfikacji.

Jest to proces ryzykowny, ale nieunikniony. Świeżo niepodległe albo aspirujące do niepodległości republiki muszą chyba najpierw dojść do dna nacjonalistycznego, odbić się od niego i dopiero potem, już jako kraje bez kompleksu post-kolonialnego, zacząć negocjować częściowe i powolne rezygnowanie z pewnych atrybutów ich suwerenności na rzecz nieokreślonej i mało precyzyjnej ponad-narodowej wspólnoty. Na razie wszystko jest możliwe, Historia się dopiero zaczyna.

2. Nikt nie przewidział także tak głębokiego kryzysu w wojsku. Armia sowiecka czy rosyjska, ukraińska, itd? Duża czy mała? Atomowa czy klasyczna? Nikt nie ma odpowiedzi na te pytania. Armia kiedyś czerwona, dziś jest blada, upokorzona (kolejnymi ewakuacjami, od Afganistanu do, niedługo, Polski),

wynarodowiona i... głodna. Jest w poszukiwaniu racji bytu i miejsca w społeczeństwie. Taka armia jest niebezpieczna dla demokracji, zwłaszcza tak słabej jak w Rosji. Armia Czerwona nie miała tradycji ani nie przejawiała ambicji bonapartystowskiej. Ale warto zdać sobie sprawę, że armia dziś to ostatnia niezdemontowana organizacja i struktura sowiecka. I że to ta armia jest odpowiedzialna za największy na świecie arsenał atomowy.

3. Nikt na razie nie przewidział rozmiarów sowieckiej katastrofy gospodarczej i technologicznej. Jest ona nie tylko przerażająco głęboka, ale jest także beznadziejna. Tu już nie chodzi nawet o inflację wynoszącą 1% dziennie, ani o zawał produkcji przemysłowej, ani o elektrownie atomowe, których większość należałoby zamknąć, inaczej idziemy ku serii Czarnobyla.

Tu chodzi o nadzieję. Jeżeli założyć, że stopa wzrostu w Niemczech wyniesie 4%, a w Polsce 6% (obie cyfry mało realne, ale pozwalają zrozumieć proporcje), to dla wyrównania różnic Polska potrzebuje ok. 70-ciu lat, Rosja zaś 30-lat więcej, czyli całego wieku. To, naturalnie, pod warunkiem, że tranzyt do demokracji i gospodarki rynkowej odbędzie się bez zakłóceń i gwałtów. Ktoś porównał obecny kryzys w Rosji z kryzysem lat 30-tych w USA. Rosyjski jest gorszy. A przecież USA potrzebowały 10-ciu lat, aby wydostać się z dna, a i to im się udało dzięki wojnie światowej, która, jak wszystkie wojny, uruchomiła koniunkturę. Czy ktoś chciałby, aby Rosja zechciała skorzystać z podobnej okazji?

W tej sytuacji można się obawiać podwójnej eskalacji. Z jednej strony, radykalizacji społeczeństwa, pojawienia się na ulicy, jak mówi Jelcyn, „koszul brunatnych albo czerwonych", albo, dodajmy od siebie, po prostu koszul wielko-rosyjskich wraz z poszukiwaniem, charakterystycznym dla takich okoliczności, kozła ofiarnego, polowaniem na czarownice, itd. Na razie jest jeszcze dosyć Żydów, aby te apetyty zaspokoić, ale na kogo przyjdzie kolej, kiedy Żydów nie starczy? Z drugiej strony, może dojść do exodusu. W latach 1989 i 1990 opuściło Europę wschodnią ponad milion osób. Chodziło wtedy o spokojnie wyjeżdżających emigrantów „etnicznych": Żydów, Niemców, Ormian, czy bułgarskich muzułmanów.

Jeżeli do kryzysu politycznego, nastrojów szowinistycznych, konfliktów etnicznych dojdzie jeszcze ostateczna katastrofa gospodarcza, to fala uciekinierów uderzy z ogromną siłą. Czy Ukraina będzie państwem buforowym, czy też sama się włączy do tłumu? Czy Polska zbuduje mur na swej wschodniej granicy? Czy też utworzy korytarz, którym wojska ministra Parysa konwojować będą wschodnich uciekinierów w kierunku na zachód? Czy historia się wtedy zakończy, czy też zacznie na nowo?

IV. No, i po proroku

Taką listę można by ciągnąć właściwie bez końca. Ale bądźmy sprawiedliwi. Książki Fukuyamy nie należy sprowadzać wyłącznie do absurdalności jej głównej tezy w zestawieniu z rzeczywistością. Filozof Fukuyama zasłużył sobie na lepsze potraktowanie, ale politolog Fukuyama powinien być zbesztany za tani optymizm, za, jakby to powiedzieć, skrajną i niebezpieczną naiwność, za sprzeczność jakby, przepraszam za słowo, marksistowską jego heglowsko-nietzscheańskiej konstrukcji o „końcu historii i ostatnim człowieku", z kolosalnym ruchem, nie wiadomo jeszcze w jakim kierunku, w jaki wprowadziły świat wydarzenia ostatnich lat, właśnie, jeżeli nie przede wszystkim, na ruinach komunizmu.

Można powiedzieć, że to, co u Fukuyamy jest oryginalne, to jest niesłuszne, a to, co jest słuszne, to nie jest oryginalne. W aspekcie politycznym jego teza jest błędna i zbędna: do demokracji jest ciągle alternatywa, jest ich nawet kilka. Dobro nie zwyciężyło zła, godzina ostatecznego triumfu jeszcze nie wybiła. „Ideologicznie" Fukuyama ma rację, politycznie, czyli „faktologicznie" jest w błędzie. Skończyła się nie historia, a jakiś jej cykl, a i to niepewne i nie dla wszystkich. Dla niektórych to zwyczajnie „czarny humor".

Pewnie, dziś już można, bez większego ryzyka, ogłosić, że demokracja to rodzaj „ostatniego przystanka historii", że powszechne zwycięstwo demokracji jest *à terme* nieuniknione i że w takiej perspektywie wszystko, co się będzie działo, dziać się będzie naturalnie wobec tego „wewnątrz" demokracji. *Kultura* nie przestaje tego zapowiadać już od prawie pół wieku. Dziś już łatwo powiedzieć, że ludzkość jest skazana na demokrację, albowiem, jak wyraźnie wynika z XX-wiecznej serii najgorszych, najbardziej masowych zbrodni i masakr w historii, demokracja jest warunkiem przeżycia właśnie ludzkości.

Ale przecież na razie połowa tejże ludzkości żyje ciągle w ustrojach totalitarnych.

Ale przecież tam, gdzie demokracja dopiero kiełkuje, tam tranzyt do demokracji jest często niepewny, wątpliwy, paradoksalny, wrażliwy, obfituje w niekontrolowane reakcje, prowadzi do pożarów.

Ale przecież wyjście z ustroju komunistycznego nie oznacza wcale, jak się starałem na bardzo skromnych próbkach opisać, pozbycia się jego stygmatów: spadek jest okropny, kraje są moralnie i materialnie zdewastowane.

Ale przecież upadek komunizmu nie wyklucza wcale powrotu do totalitaryzmu.

Ale przecież coś się psuje nawet w państwach starych, dojrzałych demokracji, korupcja systemu i polityków, egoizm, nacjonalizm, ksenofobia, absencja wyborcza, bierne ogłupianie telewizyjne zamiast politycznego zaangażowania, „Dallas'" zamiast kultury...

Twierdzić więc, że wszystko jest już załatwione, że pozostaje już tylko nuda, to igranie z ogniem. Fukuyama się broni, twierdzi, że nigdy nie mówił o końcu wielkich wydarzeń. Ale ludzie go tak rozumieją. I to jest właśnie groźne.

Kilkanaście lat temu Kissinger też się posługiwał konceptem historii. Pouczał nas mianowicie: „Rzeczywistość komunizmu nie ma końca". Dużo ludzi wzięło go wtedy na poważnie. Ale Kissinger się mylił, Fukuyama twierdzi, że historia ma koniec. I też się myli. Tym bardziej, że historia jest nie tylko nieskończona, jest także nieprzewidywalna.

Malraux kiedyś powiedział, że wiek XXI będzie wiekiem religii, albo go nie będzie. Co do religii, to nie jestem pewny. Ale wiek XXI powinien być wiekiem demokracji. Jeżeli nie, to lepiej żeby go nie było.

Pisane 12 kwietnia 92

Leopold UNGER

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

O religii bez namaszczenia

Powrót na Syberię

ROZMOWA Z BISKUPEM J. WERTHEM, ADMINISTRATOREM APOSTOLSKIM W NOWOSYBIRSKU

„W tych dniach spotkałem nadzwyczajnego biskupa", powiedział Jan Paweł II w d. 9 lutego w czasie niedzielnej wizytacji jednej z rzymskich parafii. Wprawdzie nie wymienił go z nazwiska, ale wiadomo, że miał na myśli jezuitę, Josepha Wertha, administratora apostolskiego w Nowosybirsku, mianowanego w kwietniu ub.r. Papież powiedział bowiem, że biskup ten przybył do Rzymu z ziemi naznaczonej piętnem „programowego systemu ateistycznego". Biskup Werth, który nie ukończył jeszcze czterdziestu lat, urodził się w Karagandzie w Kazachstanie w rodzinie niemieckiej. Studia ukończył w seminarium w Kownie, gdzie wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Wyświęcony w 1984 r., był w ostatnich latach proboszczem w miasteczku Marks w regionie Wołgi, zamieszkałym przez dużą wspólnotę niemiecką. Nie wiadomo dotąd dokładnie, ilu jest katolików na Syberii, na obszarze rozciągającym się od Uralu do Pacyfiku, a stanowiącym powierzoną mu administrację apostolską z siedzibą w Nowosybirsku. W czasie rozmowy, jaką z nim przeprowadziłem — przybył do Watykanu po raz pierwszy — zaznaczył, że szacunkowo można przyjąć, że jest ich co najmniej pół miliona, głównie pochodzenia niemieckiego, polskiego i litewskiego. Polaków jest jednak znacznie więcej, prawdopodobnie około miliona. Wielu z nich bowiem dopiero teraz odkrywa swój rodowód (są to potomkowie zesłańców) lub też ujawnia własną tożsamość, do której nie mogli przyznać się. Ks. Stanisław Pomykała, jezuita, były kierownik sekcji polskiej Radia Watykańskiego, jego najbliższy współpracownik, dodał, że znaczny odłam miejscowej ludności, w dużym stopniu z małżeństw mieszanych pod względem etnicznym i wyznaniowym, określa się jako „Sybiracy", a nie jako Rosjanie. Jest to terytorium, na którym rodowici Rosjanie nie stanowią bynajmniej większości. Z naszej rozmowy wynika, że chrześcijanie, nie tylko katolicy, również luteranie i nawet prawosławni, wychodzą teraz z podziemia. Nie wszyscy są jeszcze poinformowani, że mogą wrócić do swobodnego praktykowania swej wiary. Potrzeba czasu, aby ludzie mogli przyzwyczaić się do tej atmosfery, by nabrali zaufania...

Dominik MORAWSKI: *Jak wygląda stan posiadania i struktura organizacyjna Kościoła na Syberii?*

Biskup Joseph WERTH: Kościoły są zamienione na magazyny i inne budynki użytku cywilnego, zniszczone, często wymagają kapitalnego remontu. Dysponujemy na razie jednym kościołem zwróconym nam w Tomsku, w Nowosybirsku natomiast mamy kościółek, którego budowę rozpoczął ojciec Józef Swernicki. Przybył on tam potajemnie na początku lat 80-tych. Aresztowano go za propagandę antysowiecką, więziono przez dwa i pół roku, uwolniony został na początku *pieriestrojki*. Obecnie budujemy katedrę i siedzibę kurii. We Władywostoku jest czynny jeden kościół, uczęszczany głównie przez polskich wiernych. W innych miastach, jak Omsk czy Irkuck, nabożeństwa odbywają się nieregularnie w prowizorycznych pomieszczeniach. Struktury organizacyjne, w tych warunkach oczywiście prowizoryczne, są oparte na ośrodkach poszczególnych wspólnot — jest ich kilkadziesiąt, znajdują się w trakcie rejestracji również przez władze lokalne. Na utworzenie parafii w ścisłym tego słowa znaczeniu trzeba poczekać. Brak nam nie tylko środków materialnych, ale przede wszystkim kapłanów; potrzeba ich co najmniej 40 (obecnie biskup ma tylko dwóch stałych współpracowników i wikariusza we Władywostoku w osobie ks. Pawlusa, polskiego salwatorianina, rezydującego w Irkucku — D.M.). Trzeba ponadto uwzględnić trudności związane z komunikacją, przecież odległości pomiędzy poszczególnymi rejonami są ogromne.

D.M.: *Czy jest możliwy powrót do* status quo ante, *czyli do sytuacji z lat 20-tych, kiedy przed represjami stalinowskimi istniało tam 5 dekanatów wokół miast Omsk, Tomsk, Irkuck, Taszkient i Władywostok? W jakiej mierze to terytorium jest czy może stać się pomostem dla Kościoła?*

Bp J.W.: Wprawdzie trzeba starać się o odbudowę wszystkich większych centrów, ale mapa wyznaniowa — musimy brać to pod

uwagę — uległa dużym zmianom. Powstały nowe wspólnoty, a niektóre dawne znikły. Było to terytorium w pewnym sensie zapomniane, tzn. mniej poddane propagandzie ateistycznej, aniżeli rejony europejskie Republiki Rosyjskiej, gdzie kapłani, acz nie dość liczni, mogli sprawować swoją misję. Obecnie w nowych wspólnotach, dynamicznych, zwłaszcza wśród młodych pokoleń, obserwujemy zjawisko rozbudzenia duchowego, poszukiwania sensu życia, a tym samym zbliżanie się do Kościoła. Co się tyczy naszych potrzeb, przychodzą nam już z pomocą kręgi katolickie na Zachodzie (głównie w Niemczech i USA — D.M.). Na Dalekim Wschodzie, nie tylko w rejonie Władywostoku i Chabarowska, ale jeszcze bardziej na północy, działa już amerykańska Caritas (*Catholic Relief Service*) i oczekuje się przybycia dwóch kapłanów z Kalifornii.

D.M.: *Jak układają się stosunki z prawosławnymi? Czy i w jakiej mierze odczuwa się reperkusje oskarżeń pod adresem Stolicy Apostolskiej ze strony rosyjskiego patriarchatu?*

Bp J.W.: Nie odczuwamy żadnych skutków *in loco*, stosunki wzajemne rozwijają się całkiem dobrze. Mamy do czynienia z kapłanami prawosławnymi otwartymi na dialog ekumeniczny. Prozelityzm? Jest to kwestia polityczna, dotycząca postawy hierarchii, dowiedzieliśmy się o niej z gazet. Codziennie pytają mnie prawosławni, co to słowo oznacza. Przypadki nawróceń na katolicyzm są niesłychanie rzadkie. Oprócz wiernych mamy do czynienia z przymusowymi ateistami, poszukującymi tożsamości religijnej. Kiedy wyjeżdżałem do Rzymu, pewien celnik na lotnisku, syn Litwinki i Rosjanina, zapytał mnie: czy mam się uważać za katolika jak matka, czy za prawosławnego jak ojciec? Odpowiedziałem, mu że najpierw musi poznać, co oznacza jedno i drugie wyznanie, a potem dopiero zadecydować samemu. Takie przypadki są częste.

D.M.: *W Nowosybirsku istnieje duży ośrodek akademicki. Czy są z nim jakieś kontakty? Jak Ks. Biskup patrzy na aspekt kulturalny swej misji?*

Bp J.W.: W związku z propozycją, jaką otrzymaliśmy z wydziału humanistycznego uniwersytetu, ks. Posacki, polski jezuita z rzymskiego Collegium Russicum, rozpoczął już wykłady z filozofii współczesnej. Istnieją dalsze możliwości współpracy. Praca kulturalna, wychowawcza, ma wielkie znaczenie wobec upadku oświaty publicznej. Działalność w zakresie kultury uważam za integralną część mojej misji duszpasterskiej.

D.M.: *Co może Ks. Biskup, przy swym pochodzeniu i doświadczeniu, powiedzieć o sytuacji w Kazachstanie?*

Bp J.W.: Była oczywiście w ostatnich czasach, i tym bardziej jest dziś, lepsza, ponieważ kapłani byli tam obecni i nie muszą, tak jak na Syberii, zaczynać od zera. Jest tam ok. 1 miliona osób pochodzenia niemieckiego, z czego połowę stanowią katolicy, przesiedleni w latach powojennych z rejonu Wołgi. Ponadto jest tam ok. stu tysięcy katolików polskich oraz ukraińskich grekokatolików, także wysiedlonych. Wielu Niemców powraca teraz do swych dawnych siedzib w rejonie Wołgi lub w ramach repatriacji udaje się do Niemiec.

D.M.: *Przed rozpadem Zw. Sowieckiego Gorbaczow był, jak wiadomo, zwolennikiem państwa pluralistycznego, wielowyznaniowego. Czy powstanie Wspólnoty Republik Niepodległych, której trzon stanowi Republika Rosyjska, wpłynęło na zmianę warunków dla misji Kościoła? Czy istnieje obawa, że Jelcyn będzie raczej optować na rzecz koncepcji religii państwowej, bo musi bardziej liczyć się za stanowiskiem rosyjskiego patriarchatu?*

Bp J.W.: Trudno coś przewidzieć, ponieważ rozwój wydarzeń, zarówno z punktu widzenia politycznego, jak i religijnego, jest niesłychanie płynny, chociaż proces demokratyzacji nadal trwa i należy oceniać go pozytywnie. Wszystko powinno zmierzać ku polepszeniu, jeśli patrzymy na tę ewolucję według kategorii logicznych. Historia jednak, jak wiemy, nie zawsze rozwija się zgodnie z regułami logiki. Obawy Zachodu, że zapanuje religia państwowa, tzn. prawosławna, nie są uzasadnione, wśród prawosławnych bowiem przeważa orientacja ekumeniczna.

Biskup Werth patrzy na rozwój wydarzeń z umiarkowanym optymizmem, przeświadczony o wadze swej misji w nowej rzeczywistości. Daje też wyraz zadowoleniu z rozmów, jakie przeprowadził w Watykanie, a w szczególności czuje się wzmocniony przez zaufanie, które w sposób tak wymowny okazał mu Jan Paweł II.

Rzym, 14 lutego 1992 r.

Dominik MORAWSKI

Watykan i Ukraina

W połowie maja, kiedy rozpoczną się we Lwowie obrady pierwszego Synodu biskupów greckokatolickich w niepodległej Ukrainie, w Kijowie przebywać już będzie nuncjusz apostolski, arcybiskup Antonio France, który otrzymał 26 kwietnia sakrę biskupią z rąk papieża. Tym samym Ukraina staje się piątym państwem na terytorium byłego ZSSR, w którym rezyduje oficjalny przedstawiciel Stolicy Apostolskiej (po Rosji, Litwie, Łotwie i Estonii). Nowomianowany nuncjusz w Kijowie, narodowości włoskiej, od 10-ciu lat w służbie dyplomatycznej, odbył jako specjalny wysłannik Watykanu w ostatnich dwóch latach szereg podróży do państw bałtyckich i na Ukrainę. Stosunki między Stolicą Apostolską i Republiką Ukraińską weszły w nową fazę, którą będą charakteryzować starania o normalizację położenia Kościoła katolickiego obydwu obrządków, łacińskiego i bizantyjskiego, a zarazem troska o przełamanie trudności w dialogu ekumenicznym z prawosławiem. Z polskiego punktu widzenia trzeba zwrócić uwagą na niedocenianą na ogół różnicę sytuacji Kościoła na obszarze Ukrainy zachodniej (gdzie liczba polskich katolików nie przekracza 100 tysięcy) i środkowej, gdzie brak unitów i nacjonalistyczne prądy są znacznie słabsze; liczba polskich wiernych na obszarze dwóch wskrzeszonych diecezji (Żytomierz i Kamieniec Podolski) przekracza jeden milion i wciąż jeszcze ujawniają się tam osoby polskiego pochodzenia, które były zmuszone (one lub ich przodkowie) ukrywać swą tożsamość.

Kluczowym zadaniem nuncjusza będzie zapewne uregulowanie sytuacji kościelnej na Ukrainie zachodniej (dawnej Małopolski wschodniej), gdzie trwa nadal konflikt pomiędzy Kościołem greckokatolickim i prawosławnym, dotyczący głównie zwrotu nieruchomości kościelnych, skonfiskowanych unitom po 1946 r. Próby rozwiązania tego konfliktu przyniosły, jak dotąd, wyniki połowiczne. Rozmowy marcowe w Genewie pomiędzy delegacjami Watykanu i patriarchatu rosyjskiego spowodowały co prawda rozładowanie panującego napięcia, ale rozbieżności nie zostały usunięte. Mapa wyznaniowa uległa w ciągu ostatnich 45-ciu lat pewnym zmianom w niektórych rejonach i stąd zwrot kościołów (grekokatolicy odzyskali do tej pory ponad połowę zabranych im) powinien być przeprowadzany z umiarem i rozwagą, jak to ustaliła 4-stronna komisja w 1990 r. (delegacje: watykańska, patriarchatu rosyjskiego, metropolii kijowskiej i Kościoła greckokatolickiego). Tryb wówczas uzgodniony, który nabrał charakteru rozporządzenia administracyjnego, polega na tym, że kościół w danej miejscowości ma być przydzielany wyznaniu posiadającemu większość, mniejszość natomiast ma prawo do korzystania z niego do czasu wybudowania własnej świątyni. Sęk w tym, że nie zawsze udaje się ustalić dokładnie liczbę

wiernych, zachodzą też przypadki, że prawosławni zarejestrowani jako tacy powracają na łono Kościoła greckokatolickiego. Sprawę komplikuje panadto fakt, że również na terenie Ukrainy zachodniej część kościołów przejęła Autokefaliczna Cerkiew Ukraińska, która wyłamała się spod zwierzchnictwa patriarchatu rosyjskiego. Jaskrawym przykładem bezprawia był incydent, jaki zdarzył się we wsi Zazdrist w diecezji tarnopolskiej, gdzie urodził się 100 lat temu niezapomniany kardynał Josyf Slipyj. Miejscowi prawosławni, mający tam nieznaczną większość, podlegający biskupowi Vasylowi Bodnarczukowi z Autokefalicznej Cerkwi, nie dopuścili grekokatolików, którzy w dniu 18 lutego chcieli obchodzić wspólnie z prawosławnymi rocznicę urodzin zmarłego w Rzymie 10 lat temu kardynała. Ks. prałat Iwan Daczko, kanclerz Kurii Arcybiskupiej we Lwowie, był zmuszony celebrować nabożeństwo na zewnątrz kościoła, a zwracając się do 7-8 tysięcy wiernych przybyłych na tę uroczystość z różnych stron, powiedział m.in.: „Patriarcha Josyf był synem Ukrainy i obrońcą praw wszystkich wierzących, cierpiał nie tylko za Kościół greckokatolicki na Ukrainie. Jest rzeczą nader smutną, że dziś w wolnej i demokratycznej Ukrainie delegacji naszego Kościoła zabrania się dostępu do świątyni". Skądinąd nie wiadomo jeszcze, jak skończy się rozłam, praktycznie już istniejący, pomiędzy dwiema Cerkwiami na Ukrainie. Na pewno większe szanse ma Cerkiew Autokefaliczna, zlikwidowana w 1929 roku i istniejąca do 1990 r. *za rubieżom* (za granicą). O losach natomiast tej części, która podlega, mimo uzyskanej autonomii, patriarchatowi w Moskwie, ma zadecydować Rada Najwyższa rosyjskiej Cerkwi. „Istnieje niebezpieczeństwo sececji", oświadczyli biskupi prawosławni, a patriarcha Aleksy II wysłał w tej sprawie telegram do prezydenta Krawczuka, który w konflikcie z Rosją popiera wyraźnie zarówno Cerkiew autokefaliczną, jak i stanowisko odrodzonego Kościoła greckokatolickiego. Utworzenie odrębnego patriarchatu ukraińskiego, co należy przewidywać w najbliższym czasie, mimo oporów solidaryzujących się z Rosjanami innych Cerkwi prawosławnych, wzmacnia niewątpliwie pośrednio postulat, od dawna już wysuwany wobec Stolicy Apostolskiej przez ukraińskich grekokatolików, przyznania im ustroju patriarchalnego. Nagła dymisja metropolity kijowskiego Filareta, znanego z nieprzejednanego stanowiska wobec unitów, a oskarżonego o współpracę z KGB i kontestowanego przez duży odłam własnej Cerkwi, otwiera niewątpliwie nowy rozdział w napiętych stosunkach międzywyznaniowych. W Watykanie panuje zadowolenie z zejścia ze sceny Filareta, bo to powinno ułatwić osiągnięcie trwałego *modus vivendi* z prawosławiem, przede wszystkim na samej Ukrainie, a w skali długofalowej również w Rosji. Bowiem wyłącznie pod wpływem osłabionego rosyjskiego patriarchatu 14 patriarchów i metropolitów prawosławnych na swym nadzwyczajnym zebraniu w Konstantynopolu uczyniło z kwestii „uniatyzmu" (jak brzmi — używana przez prawosławnych — pejoratywna nazwa ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego) podstawowy warunek

kontynuowania dialogu z Watykanem. Dążąc do normalizacji położenia Kościoła greckokatolickiego nie tylko na Ukrainie, ale również odtworzenia go na Białorusi (gdzie jak dotąd istnieje tylko jedna parafia niedaleko Mińska) Watykan dołoży na pewno maksymalnych wysiłków aby unikać wszystkiego, co mogłoby irytować rosyjską hierarchię prawosławną i aby przekonać ją, że odbudowanie struktur Kościoła rzymskokatolickiego na obszarach byłego ZSSR nie nosi żadnych znamion agresywności. Lęk, graniczący z obsesją, przed żywotnością Kościoła rzymsko- i greckokatolickiego, utożsamianą z rzekomym duchem ofensywy czy wręcz religijnej „inwazji", może zniknąć jedynie dzięki staraniom o odzyskanie własnego poważnie nadszarpniętego autorytetu.

Rzym, 9 kwietnia 1992 r.

Dominik MORAWSKI

Kraj

Z ukosa

Dzisiaj, ostrzegam, będę się szczególnie narażał Kościołowi. Ci, którzy nie chcą grzeszyć, niech nie czytają. A wszystko z powodu mojego znajomego pisarza, który z właściwym sobie zamachem dramatycznym oświadczył mi, że „Nasz Kościół wpędza naród w pogaństwo". Co miał na myśli? Zacząłem uważniej patrzeć i czytać. Moją uwagę przykuła partia, co ma wiarę i naród w tytule, a ostatnio jest głośna i nawet współrządzi.

Oto poseł ZChN Marek Jurek oświadczył, że „wielu członków klubu parlamentarnego ZChN modli się" o uratowanie dziecka 14-letniej irlandzkiej dziewczynki, która została zgwałcona przez ojca swojej koleżanki.

Bardzo to wzruszające. A i ciekawe, bo jak się zdaje ci sami posłowie chętnie się pomodlą również za utrzymaniem w Polsce kary śmierci. Odezwały się głosy, że należy ją znieść, nawet Wałęsa ujawnił się jako przeciwnik kary śmierci, natomiast ZChN ustami swoich polityków już mruczy, że kara śmierci jest potrzebna.

Poseł ZChN Alojzy Szablewski w swojej interpelacji do ministra sprawiedliwości (też ZChN), zwraca uwagę, że tolerowanie pornografii jest sprzeczne z konstytucją. Poseł przeczytał w Sejmie dramatyczny fragment listu od jednego z obywateli. „Jestem człowiekiem młodym, ale bardzo zniszczonym. Jedną z przyczyn mojego stanu zdrowia jest pornografia" — czytał poseł i spojrzał głęboko narodowi w oczy. „Stwórzmy dla siebie prawdziwą Europę, chrześcijańską i prawą, a może kiedyś zachodnie państwa zechcą do niej wejść" — zaproponował. Oto pawi się Polska jutra, czysta jak łza, ani jedno brudne zdjęcie już nie zdobi jej duszy, u wrót stoją posłowie Szablewski i Jurek, w naszych prostych sukmanach z chlebem i solą, a tu zbliża się Europa, skruszona i straszliwie wychudzona od rozpusty, zmierza do nas z nadzieją na moralną wyżerkę.

Nowy raport Instytutu Kinseya na rok 1990 mówi rzeczy groźne dla naszego Kościoła. Oto wedle badań kilkunastoletni przeciętny osobnik męski myśli o seksie średnio raz na pięć minut, podczas gdy czterdziestoletni mężczyzna robi to raz na pół godziny. Geografia tych pragnień została opisana w 10 (!) punktach i jest ona przerażająca. W tym grzesznym nieszczęściu nasi bojownicy o cnotę narodu mają promień nadziei. Otóż z badań wynika, że dojrzały Polak prowadzi się kilkakrotnie lepiej niż taki sam dojrzały osobnik francuski, a jego wyobraźnia erotyczna ma być słabiej rozbudowana niż jego równolatka z Zachodu. Bardzo to osobliwe, że osoba ludzka, nawet wierząca, przemieszcza się po świecie naładowana grzeszną erotyką jak bomba z prochem. Z tego nieubłaganie wynika, że gdy osoba taka wyznaje wskazówki Kościoła, to ma w sobie istne piekło konfliktów sumienia. Czy dlatego tak wielu ludzi w ojczyźnie naszej zdaje się nosić w żołądku płonący czajnik zostawiony przez nieuwagę na gazie? Otóż myślę, że jednak nie to głównie dręczy rodaków.

W tej trudnej dla narodu sytuacji biskupi nie milczą. Oto wypowiada się biskup diecezji gorzowskiej Józef Michalik, znany ze szczególnego wkładu w kampanię wyborczą, gdy polecał wiernym, że „Żyd ma głosować na Żyda, katolik na katolika". Pytany o intelektualistów, którzy teraz się zwrócili przeciwko Kościołowi, mówi: „Myślę, że jest to nowa forma tej samej co niegdyś konfrontacji. Ponieważ Kościół jest ten sam, a i ludzie są nierzadko ci sami. A gdyby spojrzeć na to zjawisko od strony teologicznej, to jest ono przejawem odwiecznej walki dobra ze złem. Wiem, oczywiście, że takie ujęcie jest drażniące dla niektórych katolickich intelektualistów w Polsce... Szatan i jego siły boją się prawdy o sobie, boją się światła".

To dobrze, że biskup tak raźnie popiera istnienie diabła. Z publikowanych ostatnio badań wynika, że również w ramach naszej katolickiej wiary panuje okrutny bałagan, ludzie u nas wierzą niechlujnie i po łebkach. Oto na 83% wierzących tylko połowa wierzy w szatana, a w województwie łódzkim, na ziemiach wielkopolskich i podlasko-mazowieckich wiara w diabła zupełnie podupadła i wierzy w niego tylko 20% praktykujących. To tak na marginesie, a wracając do wypowiedzi biskupa gorzowskiego, to przyznaję, że się czasami z nim zgadzam, np. kiedy mówi, że „ucieczka pod skrzydła Kościoła była podyktowana oczekiwaniami, których Kościół nie mógł spełnić. To zawsze jest potencjalnie niebezpieczna sytuacja".

Jakby nie dosyć było plag, które spadają na intelektualistów, swoje nagle dołożył ksiądz Wiesław Niewęgłowski, nasz poczciwy ksiądz poeta i duszpasterz środowisk twórczych, co tylu sławnych odprowadzał alejami Powązek. Pod łaskawe skrzydła jego kościoła chronili się artyści w stanie wojennym, i te wzruszające wspólne opłatki, ile to lat pod rząd? Już nie ma rodziny. Ksiądz opublikował w gazecie artykuł pod tytułem „Krótka pamięć", a napisał go, jak to się często zdarza, nie tylko wierszem, pod wpływem zdumienia. Co tak zdumiało duszpasterza? Otóż okazało się, że baranki były tylko przebranymi wilkami, dobrze przebranymi, bo jak śpiewali, nie było widać czarnych podniebień. Ksiądz się zresztą nie dziwi, bo ma dobrą pamięć i przypomniał sobie o czym kiedyś pamiętać nie chciał, że oni „mają wieloletnie doświadczenie w walce z Kościołem". Dalej pisze: „Jeszcze niedawno ci sami 'nowi Europejczycy' bili się w piersi podczas mszy, którą odprawiałem. Przychodzili, aby pomóc im nie tylko duchowo, ale i materialnie. Stali rzędem po paczki, które z różnych zagranicznych wspólnot kościelnych przywożono dla nich podczas stanu wojennego". Potem ksiądz wylicza, co który twórca taką pomoc dostawał. „Co trzeci". Dalej ksiądz przypomina, że oni „wyrzekli się ateizmu i obiecali restytucję. A teraz ogłaszają kościół gettem, ciemnogrodem i wrogiem demokracji".

To ja proponuję, żeby zażądać oddania tych paczek. Kto napluł, niech teraz oddaje. A kwalifikacji niech dokona szanowna komisja z księdzem, a i biskup dla powagi się przyda. Ale się porobiło, ale się porobiło, aż głowa boli, też ksiądz Niewęgłowski nasz poczciwy tak się uniósł gniewem, jak Chrystus gdy przepędzał przekupniów ze świątyni. A mówiłem, że to się źle skończy, jak oglądałem tych klęczących, co jeszcze mieli w kieszeniach piasek z kamieni, którymi w stalinowskich czasach ciskali w Pana Boga. Zgadzam się, mogli się nawrócić, mieli prawo pełne i nawet piękne prawo, ale niepokojąca była ta gorliwa ostentacyjność. Mnie to onieśmielało i zapierało oddech. Mogli się wyklęczeć w domu, a w kościele trochę postać.

Znowu wspomnienia, wspomnienia... to było na progu nagle odzyskanej wolności, wychylaliśmy się poza ten próg nie dowierzając własnym oczom, czy to naprawdę wolność i co teraz z nią zrobić. Wtedy właśnie wyświęcono *Gazetę Wyborczą*. *Gazeta* była wtedy kwilącym niemowlęciem, więc jak tu mieć dzisiaj do niej pretensję, jeszcze nie miała pełnej świadomości. Patrzyłem z ukosa, jak się tłum redakcyjny pod wodzą naczelnego gromadził i zdjęcie z biskupem robiono, ktoś nagle czmychnął na bok, zanim święcona woda prysnęła, ale większość stała mężnie, chociaż nie zawsze pewnie, potem zdjęcia robiono, o tak, są zdjęcia. Tak oto *Gazeta* została wtedy niejako ochrzczona, ale niechlujnie, bo potem czart w nią wszedł.

Ciekawe czy jak się coś poświęci, to można potem równie uroczyście odświęcić. Paczki zostałyby oddane, a *Gazeta* odświęcona i wszyscy byliby z Kościołem dzisiaj kwita.

Ja nawet jakoś dzisiaj Kościół rozumiem, nie zgadzam się z nim, czasami się wściekam, ale jakoś rozumiem. Zgadzam się, że ta gwałtowna ucieczka środowiska do Kościoła była chora i że romans z diabłem stalinizmu miał coś wspólnego z romansem z aniołem Kościoła. Ale ksiądz i biskup u źródeł widzą tylko zło. Dziwi mnie, że właśnie kapłani nie dostrzegają rozpaczy i słabości, ja na przykład widzę ludzi zdruzgotanych przez wojnę, którzy nie mają siły oprzeć się nowemu gwałtowi, więc biorą sami w nim udział. (Plus oczywiście ta diabelska pokusa, by zostać inżynierem ludzkich dusz). I widzę ludzi zdruzgotanych przez stan wojenny, ale którzy nie mogąc się pogodzić z gwałtem, szukają oparcia dla stopy i znajdują je w Kościele. A siłę tam uzyskaną kierują przeciwko policyjnemu państwu, by walczyć o wolność i demokrację również dla Kościoła. I przecież dzisiejsze rozejście się intelektualistów z Kościołem, gdzie włodarzem jest prymas Glemp i ZChN, nie musi być walką z wiarą. Czy doprawdy ksiądz i biskup tego nie widzą? Jeśli nie widzą, to nawet nie domyślają się, w jak trudnej sytuacji stawiają Kościół. Dawne ataki były prymitywne, a inspirowali je gangsterzy. Teraz Kościół sam schodzi do rynsztoka państwa i tu nie pomoże podkasywanie sutanny. Dzisiaj Kościół będzie atakowany słowami Ewangelii. Straszna to broń.

Wspomnienia, wspomnienia... kiedy pięść historii wyrzuciła mnie z ciepłego łóżka i kluczyłem po Warszawie, po rozbawionej i śnieżnej Warszawie nic a nic nie wiedzącej, że po cichu od środka wyjada ją Zły, dotarłem do X, kiedyś wielkiego wroga Pana Boga, potem wprost przeciwnie, a stamtąd zostałem wysłany po pomoc, gdzie, a no właśnie do księdza Niewęgłowskiego. Udałem się tam, a co żeśmy razem z księdzem przeżyli niech zostanie tajemnicą jak na spowiedzi. I nie zdziwiłem się wtedy, że X mnie posłał właśnie do księdza. Potem sam to uprawiałem w różnych wariantach, podróżując katakumbami kościołów i odbywając spotkania jakże piękne, w świątyniach i pod nimi. Owszem, spotykałem księży jak z antyklerykalnego koszmaru i księży wspaniałych, i takie kościoły i takich wiernych, pół na pół. I to jest prawda o Kościele również dzisiaj.

Jest pewien nieunikniony konflikt między głęboko wierzącym i niewierzącym. Śmieszne jest mieć pretensję, że wierzący walczy z pornografią, żąda by zgwałcone dziecko rodziło dziecko, że marzy mu się Kościół, który jest państwem. Skoro jesteśmy tylko w przedpolu do innego, lepszego świata, czemu nie próbować przedpokoju urządzać na ten niebiański wzór. Teraz można mówić frazesy o kulturze sporu, tolerancji dla inaczej myślących... ale istoty rzeczy to nie zmienia. Tam gdzie jest wiara, kompromis nie zawsze jest możliwy. A gdzie do wiary dochodzą własne poważne kłopoty z dzieciństwa, nerwice

i fobie, to konflikty stają się obrzydliwe.

Dzisiejsze problemy intelektualistów z Kościołem, gorzej, z masą narodową, to jedna z tych okrutnych niespodzianek, które właściwie w pełni przewidzieliśmy. Można się jednak spodziewać nieszczęścia, a kiedy przyjdzie, czuć wielką grozę, bo w gruncie rzeczy wierząc i bojąc się nie wierzyliśmy. Zbyt ciężko byłoby z tym żyć. I zabrałoby to całkowicie motywację do walki. Ginąć na barykadach i konspirować mogą tylko ci, którzy idealizują przyszłość (albo o niej nie myślą).

Pamiętam, jak w czasie gdy wolność wydawała się szansą zarezerwowaną dla naszych wnuków ktoś nieżyczliwy memu chorobliwemu antykomunizmowi przycisnął mnie — jak ja widzę tę wymarzoną wolną Polskę? — wydusiłem z siebie gdzieś z dna — „wypłynie wtedy na wierzch nasza narodowo-katolicko-prawicowo-prowincjonalna esencja, i będzie ona bardzo gorzka". Nie inaczej, świadomie lub nie, myśleli intelektualiści konstruujący pierwociny naszej demokracji, i z lęku przed tą esencją otwierać zaczęli dobre roczniki mozelskiego wina, udając, że nie wiedzą, że podniebienia ludu chcą czegoś bardziej swojskiego.

Dzisiaj wszyscy na wszystkich się zawiedli, elity na społeczeństwie, społeczeństwo na elitach, można by teraz tak mnożyć te zawody w tę i nazad, doprawdy trudno znaleźć kogoś niezawiedzionego od Prezydenta na górze do babci klozetowej w toalecie Pałacu Kultury.

Czasami ma to wymiar dramatyczny. Znam starego oficera z powstania warszawskiego, który żałuje, że posyłał dzieci na śmierć, skoro wolna Polska jest taka jaka jest. Karol Modzelewski zaczyna publicznie żałować lat, które przesiedział w mamrze, a moja znajoma Włoszka, bardzo już zresztą spolonizowana, opowiada mi jak przed laty bawiąc u nas i mając pieniądze na taksówki jeździła specjalnie jedynie tramwajami na znak solidarności z naszą walką. Teraz w związku z sytuacją dzisiejszą też zaczyna żałować, że nie używała taksówek.

Bo oto stało się ciałem pieszczone przez pokolenia wielkie marzenie o wolności, a wolność jest dla większości biedna i podła.

Kiedy już naplułem na Kościół nasz i ocierałem rękawem szpetne usta, dopadła mnie wypowiedź Prezydenta, który tak dosolił elitom czyli intelektualistom, że poleciałoby pierze, gdyby jeszcze jakieś było, ale wszyscy w zasadzie już goli. To bardzo znaczne wykroczenie poza „zawody", o jakich pisałem, Prezydent zawiódł się jeszcze bardziej i go poniosło. Teraz, daję głowę, będzie odkręcał, przytuli jakiegoś intelektualistę do piersi i popieści. Oto skrawki wiecu na walnym zebraniu delegatów

NSZZ „Solidarność" regionu gdańskiego, a więc była to mowa do robotnika:

„Gdzie są ci mądrale, ci, co tak pięknie mówili i mieli być elitą prawną i ekonomiczną. Przeszkadzają wam. Dół robi, góra nie. Ci co byli w ministerstwach nie zrobili roboty. Wyjechali na naszych grzbietach. Zostawili nas w pół drogi i mówią, że prezydent nie zrobił. (...) Jedna klasa, która zdała egzamin to ta, z której ja się wywodzę. (...) Umiecie się tylko obrażać, a nie potraficie skończyć roboty! Zwieranie szeregów jest jedyną odpowiedzią..."

Oj, znowu zwieranie szeregów, a tak było miło, że się rozwarły. Do innego zwierania szeregów nawołuje ta część Porozumienia Centrum, która ciąży ku ZChN. (Kłócą się już w tym PC na całego, nie więcej ich niż wody w szklance, a jaka tam burza. Okazało się, że bracia Kaczyńscy to w głębi nieco otłuszczonego serca demokraci, a łaknąc władzy uruchomili ciemne moce na własnym łonie i teraz z nimi się szamocą). Oto co profesor ekonomista Stefan Kurowski prawi o środowisku Unii: „Oni nadal uważają, że wartości narodowe stanowią dla nich największe zagrożenie. (...) W sprawach gospodarczych motywowani 'etosem kosmopolitycznym' pragną utrzymać niewidzialną rękę Międzynarodowego Funduszu Walutowego (...) a w polityce zagranicznej gotowi są zawsze poświęcić interes narodowy na rzecz mitycznego wejścia do Europy".

Ależ to smaczny kawałek, wzrusza zwłaszcza ten „etos kosmopolityczny". Tam „zwieranie szeregów", tu „zgniły kosmopolityzm" i „Europa" jako obelga, przecież to wszystko już było i jak złoty ząb błyszczało w ustach tych, których nasi mówcy uważają za swoich śmiertelnych wrogów i źródło dzisiejszego zła.

A co do elit co zawiodły, to one rzeczywiście zawiodły, zgrzeszyły pychą, egoizmem, amatorstwem, ale któż nie zgrzeszył! „Macie takiego prezydenta na jakiego zasłużyliście" — oświadczył Wałęsa w chwili wielkości, szkoda, że te chwile są coraz mniejsze. Ja bym poszedł jeszcze dalej — macie taki Kościół na jaki zasłużyliście, macie taką gospodarkę... — tu się zawahałem, bo stan naszej ekonomii jednak znacznie poniżej naszych możliwości. I gdzie nagroda za tak długi i dzielny opór...

List od mojej młodej znajomej. Pyta w rozpaczy: „jak wymyślić sobie pomysł na życie w tym kraju? Jak żyć w tym kraju? (...) Sytuacja sukcesywnie się pogarsza. Chyba to jest stan normalny i na dłużej. Premier lubi mówić, że będzie gorzej. I chyba będzie coraz gorzej. W autobusach, którymi jadę do pracy, porobiło się ostatnio strasznie dużo świrów tj. ludzi o dziwnych tikach gadających do siebie lub co gorzej do innych. Błagam szukajcie pomysłu na j.ż.w.t.k.?"

To jżwtk? czyli „jak żyć w tym kraju?" tworzy nieznośną dla języka zbitkę, ale jest pytaniem zasadniczym, dla mnie również.

List od krewniaka z małego miasteczka na wschodzie Polski. Człek już niemłody i schorowany, a zawiadamia, że zabrał się energicznie za naukę języka niemieckiego, co innym też poleca. Wrócił niedawno z krótkiego pobytu za granicą i pisze, że powrót jest szokiem. „Gdy otworzysz TV względnie weźmiesz do ręki gazetę, człowiek dosłownie czuje się tak, jak gdyby przyjechał do domu obłąkanych, a na dodatek te rozmowy z ludźmi. Polska jest naprawdę smutnym i nieszczęśliwym krajem i nieszczęśliwym jest ten, kto się tu urodził (no, no, drogi krewniaku, pomyślałem, aż tak żeś daleko zaszedł w goryczy). Jedyne wyjście jest żeby się od tego separować, gdyż w przeciwnym wypadku ogólny obłęd zaczyna się udzielać".

Potem krewniak pisze o narastającej wśród ludzi nienawiści do Wałęsy i o pewnej kobiecie wiejskiej, która mu rzekła, „że jak widzi tego naszego wodza to ma takie pragnienie wprost nieodparte ażeby wziąć sierp z obory..." przepraszam, ale nie mogę dalej cytować. Nie tylko humanizm i szacunek dla funkcji Prezydenta mi nie pozwala, ale i zdrowy rozsądek. A krewniak tak lekko i zamaszyście o tym pisze i poleca, żeby się uczyć niemieckiego. Ale się porobiło, myślę, koniec świata.

— „Najstraszniejszą rzeczą, jaką dziś możemy zrobić, jest wyeliminowanie ludzi, którzy już się czegoś nauczyli" — oświadczył w jednym z wywiadów odchodzący, a więc wyeliminowany premier Bielecki. (Biedny Bielecki oraz reszta liberałów, już nawet obecny premier Olszewski, chociaż z zawodu obrońca, nie przeczy, że liberałowie to byli złodzieje. Ilekroć to słyszę, pytam: co ukradli, ale nikt mi na to nie umie odpowiedzieć, najwyżej sypią nazwy afer z tego czasu).

I rzeczywiście jesteśmy świadkami wielkiego eliminowania, nowe władze są eliminowane przez nowsze. Ma miejsce gwałtowna de-unionizacja i de-liberalizacja, to znaczy usuwanie kadr, które wprowadziły dwie poprzednie ekipy. Niedobitki z rządu Mazowieckiego są też dobijane. To prawda, że owe ekipy wprowadzały głównie swoich ludzi, aż furczało, kiedy kolejni wyfruwali z notesów, ale ja to rozumiem, bo kogo mieli wprowadzać. Nie było kadr czekających w rezerwie. Inna sprawa, że mijają lata, a nowego mechanizmu tworzenia kadr nie widać, jest natomiast całkiem sprawny mechanizm ich niszczenia. Więc chociaż prawdą jest, że z tymi znajomymi przesadzono, to teraz na przesadę odpowiada się grubszą jeszcze przesadą i kosi się jak leci, zdolny niezdolny, sprawdził się czy nie, ważne że on nie nasz.

Partie rządzące zaplecza kadrowego nie mają w ogóle, głowę partii tworzy kilka osób, w przypadku KPN dosłownie dwie. Więc nawet najbardziej newralgiczne i subtelne państwowe funkcje wpadają w ręce dyletantów. Nie wiem, czy za naszymi plecami dyszy pysk motłochu, ale bez wątpienia słychać szybkie oddechy pół-bęcwałów, pół-idiotów, pół-kretynów, którzy chcą nie pół, a całą władzę. Oni już nam wszystkim pokażą, jak być powinno.

J., człowiek w świecie bywały, stojąc na przyjęciu naprzeciw mnie z kieliszkiem w ręku mówi słowa, które wyrażają moje myśli: „Żyjąc tu na Zachodzie chcąc nie chcąc musieliśmy oglądać polskie delegacje rządowe, to byli Oni, a jednak wstydziliśmy się za ich maniery, ograniczenia, brak znajomości języków, potem przyszła wolność i zaczęli przyjeżdżać ludzie, mniej lub bardziej kompetentni, ale zawsze z klasą. A od jakiegoś czasu o zgrozo znowu powrócili jacyś niewydarzeńcy, ale to już nie są Oni, to niestety nasi".

Mam podobne odczucia, oto pozjawiali się dzisiaj „Nasi-Oni", a zażenowanie i wstyd większe niż niegdyś, bo tym razem musimy brać za tych Naszych-Onych odpowiedzialność.

W związku z czasem co ucieka i trudną sytuacją kraju w Prezydenta wstąpił wielki duch ekumeniczny. Odwiedził redakcję *Polityki* i dał rozgrzeszenie, odwiedził OPZZ i tam też dał. Tylko wczorajszych przyjaciół nie odwiedza i Kaczyńscy na razie nie dostaną. Ale jak tu się dziwić, skoro jeśli ktoś straszy nasze dzieci Prezydentem, to właśnie wczorajsi przyjaciele Wałęsy.

I oto, tak histerycznie potępiana przez Lecha i jego okolice gruba kreska została narysowana, ale już nie cherlawą ręką Mazowieckiego (on rzeczywiście z każdym miesiącem upodobnia się do żółwia, który go personifikuje w telewizyjnym politycznym ZOO), ale krzepką robotniczą dłonią. Tamta kreska była chora, a ta jest zdrowa, bo robotnicza.

Niekonsekwencja w gadaniu naszych polityków jest chlebem powszednim, z reguły robią to, co wczoraj potępiali, a nie robią tego, co obiecali. Traktowanie ich poważnie jest doprawdy zajęciem ponad siły i niestety odsuwanie się naszego społeczeństwa od polityków i polityki jest raczej próbą uniknięcia choroby, a nie chorobą.

A Sejm nasz... mój ty Boże... Słyszę, jak mój znajomy skarży się: „To niesłychane, połowa tych posłów przychodzi na obrady zupełnie pijana". Na to poseł, ten z grupy abstynenckiej: całe szczęście, pomyśl co by narobili, gdyby byli przez cały czas trzeźwi".

Prezydent też dorzuca swoje, krzyczy na posłów: „nie dajcie się manipulować, gdzie ten ideał Polski? Tylko stołeczki i podchody. Żarty się skończyły".

Oj myślę, że one jeszcze się nie skończyły. Skończyły się natomiast dowcipy. Ostatnie miesiące są niemal ich pozbawione, jeżeli jakieś krążą po Warszawie to o rodzinie Wałęsów, ale nędzne, z gatunku tych, jakie opowiadano o Zomo.

Nasze biedne dzieci, znowu boją się telewizji. Jestem u znajomych. On właśnie wydzwania do rodziców dzieci z klasy syna. Chłopiec jako jedyny nie chodzi na religię i dzieci mówią na niego Żyd. Ona usypia biedaka i go pociesza, bo nie dosyć, że klasa zaszczuła tym Żydem, to miał nakazane przez nauczycielkę by oglądać Wiadomości Wieczorne. Pokazali w tych Wiadomościach nauczycieli na wagarach i biedny uczeń widział, jak jego nauczyciele mówią brzydkie słowa na ministra oświaty prof. Stelmachowskiego. Oto nawet superpoczciwy profesor doczekał się (złośliwy Szwejk z właściwą sobie przesadą nazwałby zapewne eks-marszałka Senatu a teraz ministra Oświaty „wicepierdołą", ale my się nie ośmielimy). Stelmachowski oblany został przez ciało nauczycielskie stekiem wyzwisk i sam ofuknął ich paskudnie i pogroził laską (świeżutki jego pomysł to zmiana lekcji religii, dotychczas przedmiotu w szkole nieobowiązkowego, na obowiązkowy, plus stopień z religii na świadectwie, dzieci pogańskie będą mogły chodzić na lekcje etyki). Zaraz potem pokazali w telewizji, jak kosmonauta sowiecki, który już stracił nadzieję, został jednak ściągnięty z orbity na ziemię. A latał o kilka miesięcy dłużej, bo w trakcie jego lotu Związek Sowiecki się rozpadł i nie było czasu, głowy i pieniędzy, by go na ziemię ściągnąć. Słyszę, jak dzieciak mówi do matki: „Był tak zniszczony ten kosmonauta, że jak go wyciągnęli, to od razu posadzili go na wózek inwalidzki. Czy my się też rozpadniemy jak ten Związek Sowiecki?"

Jestem w dużej instytucji, wita mnie K., włożył elegancki garnitur i krawat. Czuję zapach pieniędzy, a on potwierdza, że dzisiaj walczył o forsę dla firmy i załatwił. Jego instytucja wymaga nieustannej reanimacji, ale żyć sama jakoś nadal nie chce. Moim zdaniem K. się bardzo stara i jest nawet umiejętny, ale wszyscy wokół mówią, że partoli. Nie wiem, gdzie jest prawda. On przynajmniej sprawia wrażenie kompetentnego, inni moi znajomi nie. Każdy kto u nas jest na górze zbiera z dołu fatalne opinie. K. siada ciężko w fotelu, gryzie papierosa, a pytany co czuje tak ogólnie, ku memu przerażeniu „cytuje" mego krewniaka „przeklęty kto urodził się w tym kraju".

Poczułem się przeklęty i bardzo spłoszony przemieszczałem się po Warszawie... przecież K. jest przy karierze, przy pienią-

dzach, przy talentach, a w nim też otchłań rozpaczy. Na wysokości domu partii, którego obecna zawartość jeszcze mnie trochę wzrusza — teraz jest tam giełda, bank i nie wiem co jeszcze — spotykam pisarza H. Od razu sypie mi w oczy nieszczęściem. „Bardzo źle się tu czuję", mówi i wylicza wszystkie głupoty, zawody i ksenofobie krajowe, opowiada że spotkał wielkiego poetę X, ten po różnych szpitalnych zabiegach, też bardzo przybity sytuacją i mimo choroby miał podnieść głos mówiąc: „Co ta Unia robi, ledwie dychają, mogliby wypuścić swoich młodych, bo starzy się nie potrafią ruszać".

Czy Unia ma jakichś młodych, czy ci młodzi mają nogi, doprawdy nie wiem.

A więc wielki X też choruje. Moja znajoma ma raka, nagle się dowiaduję. Zmroziło mnie to od stóp do głów. To już moja grupa wiekowa. I nie potrafiłem rozdzielić, gdzie zmartwienie o ich życie, gdzie o własne. Przypomniałem sobie Tadeusza Łomnickiego. Grzebano go z teatralną pompą, co widziałem na filmowej kronice. Spotkałem go kilka miesięcy temu w Lublinie. Trudno było nie cenić go jako aktora, ale niestety najlepiej pamiętam jego najgorszą rolę na trybunie kolejnego zjazdu PZPR, grzmiał wtedy już nie wiem w jakiej sprawie. Był poważnie chory na chorobę, na którą cierpią nie tylko aktorzy. Nawet gdy nie był na scenie, grał. Wszystko co mówił recytował. Był w tym patos i gest dramatyczny, co biorąc pod uwagę potoczność naszego lubelskiego tematu sprawiało wrażenie, jakby nieustannie strzelał z armat.

Miałem nieprzemożną ochotę, by schować się w jakimś okopie, ale wstyd nie pozwalał. Mimo hałasu zdawało mi się, że rozmawiam z pogrzebanym za życia, pogrzebanym za maską, a ona tak przywarła, że nie odbijesz jej nawet dłutem.

Jak na mowę pogrzebową po wielkim aktorze wypadło to raczej chamsko, ale nie umiem inaczej. I oto nagle wiadomość — Józef Kuśmierek nie żyje! Zakląłem szpetnie. On by mnie zrozumiał. Jeśli Łomnicki grał, to co robił Kuśmierek? Grzmiał? Był chłopofilozofem. Myślę, że nikt już nie zrobi z tematu wiejskiego takiego *thrillera* jak Kuśmierek. Świetnie się go czytało, jeszcze lepiej słuchało. Kiedy przemawiał w zawsze słusznej sprawie, próbował unieść mównicę i ją roztrzaskać na znak, że ma rację. Pamiętam, jak przed laty chciał zabić krzykiem tow. Rakowskiego, ale Rakowski twarda sztuka, za to sala struchlała. Nie wiem, czy Kuśmierek w swoich wiejskich filipikach kiedykolwiek miał rację, ale nawet jeśli jej nie miał, to zawsze ją miał. W przerwach dziennikarskiej pracy hodował kaczki, nie dziennikarskie, zupełnie prawdziwe, co jak się zdaje było nieszczęściem jego życia. I był najbardziej efektownym i atrakcyjnym niechlujem, jakiego znałem.

Ale to nie koniec, nie koniec... od W. dowiaduję się z przerażeniem, że Z. nagle zdziecinniał. Widziałem go kilka miesięcy temu, był w świetnej formie, błyszczał tyloma lustrami swojej inteligencji, że trzeba było mrużyć oczy. Teraz jakiś wirus zjada mu mózg. Pytałem nieśmiało W. czy taki wirus to może tak każdego... W. nie wie, ale też jest zaniepokojony.

Poczułem jak choroby tykają mnie swoim gorącym od gorączki nosem, to tu to tam, szukają sobie słabego miejsca.

Odmrażanie fragmentów historii sprzed kilkunastu lat ma czasami charakter uroczysty i huczny. Dwudniowy kongres KPNu rozpoczął się od odśpiewania legionowej pieśni „My Pierwsza Brygada". Potem młodzież w legionowych czapkach wniosła sztandar KPNu, asystował jej salutując szablą stary żołnierz.

Nie inaczej odmrożono paramilitarną organizację dla dzieci i młodzieży „Strzelec". Skrzydła roztacza nad nią nowy wiceminister Obr. Nar. Szeremietew (ostatnie nominacje w MON zapierają dech również cywilom). Komendant nowego „Strzelca", Gęsicki, mówi rzeczy, za które Piłsudski wytrzaskałby go po gębie. „Chodzi nam o młodzież o kręgosłupie narodowo-chrześcijańskim". Nowy Komendant wie, jak uchronić organizację przed infiltracją obcych — „wystarczy spojrzeć w oczy i spytać czy chłopak uczy się religii".

Czy grozi nam faszyzm, pyta mnie ten i ów. Co to jest dzisiaj faszyzm? Jakaś forma dziurawego autorytaryzmu na chwilę zdaje się możliwa, ale zabraknie jej wiary, energii, siły, będzie kaleką jak wszystko u nas, i zaraz się przewróci, rozbijając sobie łeb o kamienny krawężnik.

Marginesy nie są groźne, jeśli reszta jest w miarę zdrowa. Na razie nasze marginesy są karłami, tylko Tymiński nagle urósł, ale już zwiądł. Mnie bardziej przeraża brak produkcji, rozpad instytucji, coraz gorszy stan klatek schodowych, gęstniejący bałagan, ciemne wszędzie wszystkich wszystkiego widzenie... I jest jakaś potężna podziemna rzeka autodestrukcji, która płynie pod Polską, nie widać jej, ale słychać jej szum. Kto wie, czy oprócz wybitnych ekonomistów i administratorów nasz rząd nie potrzebuje przede wszystkim wzmocnienia ze strony psychiatrów i psychoterapeutów.

Ludzie zaczęli czekać... tak samo jak w drugiej połowie lat 70-tych, jak pod koniec lat 80-tych. Na co czekają? Aż się coś wielkiego stanie, bo tak dalej nie można żyć. Nie mogą i już. To czekanie zawisa w powietrzu i rośnie. Z doświadczeń narodzin „Solidarności" i zdumiewającego porodu okrągłego stołu wynika, że im bardziej się czekanie przewleka, tym większe jest

to, co potem się z tego rodzi. Co będzie teraz? Wtedy jawił się jakiś amorficzny, ale wyraźny antykomunistyczny krach! Co ma być obecnie, nikt nie wie, ale czekanie takie samo, Wtedy wiązałem z tym wielkie nadzieje, teraz mnie to przeraża, tym bardziej, że zauważyłem — jak się na chwilę zagapię i przestanę uważać — to ja też czekam.

Tak nie wolno kończyć. Więc zwierzam się, że chwilą dla mnie naprawdę przyjemną w ojczyźnie było spożycie bigosu w jednej z nowo otwartych knajpek. Mój organizm osłabiony myśleniem o chorobach i narodowych nieszczęściach dopominał się jedzenia. To nie będzie łatwe, mówiło moje wieloletnie doświadczenie. I tu byłem w błędzie. Zjeść teraz łatwo i nie bardzo drogo. Skoro smaczny bigos w estetycznym otoczeniu z tańczącym kelnerem jest możliwy, wszystko inne co dobre też będzie kiedyś możliwe, pomyślałem. Optymizm bigosowy jest niestety jedynym, jaki mi się zdarzył, nawet jeśli on nędzny, kładę go na stół, bo nie mam innego.

I oto już na samym końcu tekstu, jak na skalistym brzegu oddalającej się wysepki przysiadł ptak, z wiadomością, że w Polsce tworzy się nowy rząd godny nazwy rządu Ocalenia Narodowego... szybko kończę, by go nie spłoszyć.

6 kwietnia 1992

SMECZ

Zabawa w wojsko

Które polskie partie są rzeczywiście siłą, a które tylko kanapą z gwizdkiem? Z którymi politykami warto się liczyć, a których ich ambicje i frustracje zaprowadzą wkrótce w niepamięć u Polaków, lub przynajmniej na odwykówkę? Ile naraz można konstruować koalicji i na ile okazji? Czy polskiej demokracji grozi katastrofa, czy tylko farsa, zamach stanu, czy ostatni zajazd na Powiślu?

Pomieszanie powagi z niepowagą na polskiej scenie politycznej jest już tak kompletne, że sprawozdawca traci powoli zdolność odróżniania, gdzie jedna, a gdzie druga. Z niemałym uszczerbkiem dla miłości własnej przekonałem się o tym przy tzw. sprawie Parysa, ministra obrony. Poświęcam jej niniejszy

tekst, korzystając z przerwy w spektaklu: Parys jest teraz na przymusowym urlopie, a premier w Ameryce. Ale uprzedzam: nie potrafię odpowiedzieć na pytanie najistotniejsze, czy mianowicie jest to sprawa całkiem serio.

Jan Parys wywodzi się politycznie z tzw. opozycji niepodległościowej. Cokolwiek by to mogło znaczyć w ogólności, w owych czasach, przed pierwszą Solidarnością, termin ten sygnalizował przeciwstawienie w stosunku do „socjałów" z KOR i okolic. Wśród mentorów Jana Parysa znajdujemy Romualda Szeremietiewa, któremu się potem odwdzięczył nominacją na wiceministra ON, dominikanina Józefa (o. Innocentego Marię) Bocheńskiego, któremu przez pewien czas sekretarzował, Zdzisława Najdera, jako założyciela Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN) i wreszcie obecną żonę ministra ON i szefową publicystyki I programu warszawskiej TV, Małgorzatę Bocheńską, jako założycielkę i gwiazdę przewodnią „salonu na Saskiej Kępie", gdzie owa opozycja niepodległościowa dostąpiła wreszcie nobilitacji towarzyskiej. Tej bowiem czuła się ona zawsze niesprawiedliwie pozbawiona, podczas gdy „Kuronie", a zwłaszcza „Michniki", były czule hołubione przez warszawskich literatów i krakowski „Tygodnik Powszechny".

Podaję to wyliczenie nie dlatego, iżby coś z niego wynikało politycznie konkretnego; przeciwnie, z takiego zestawu mentorów nic właśnie określonego nie wynika poza może pewną skłonnością do radykalizmu. Nie na tyle jednak wyraźnego, by Jerzy Osiatyński, szef Centralnego Urzędu Planowania w ekipie Mazowieckiego, człowiek ze wszech miar umiarkowany, znawca i komentator dzieł Michała Kaleckiego, nie mógł zaprotegować Jana Parysa pierwszemu pokomunistycznemu rządowi. Jakoż i zaprotegował. Zajmując się kwestią rozliczeń z tytułu pobytu wojsk sowieckich w Polsce, Jan Parys był autorem raportu, bardzo krytycznie oceniającego stanowisko negocjacyjne MSZ w sprawie ewakuacji tych wojsk: przedstawiciele MSZ, jego zdaniem, niepotrzebnie ustępowali w rozliczeniach. Minister Skubiszewski i wiceminister Makarczyk tłumaczyli wprawdzie, że z Rosjan i tak się nie wydusi pieniędzy, wobec tego lepiej, żeby się przynajmniej jak najszybciej wynieśli, zamiast przedłużać pertraktacje — ale ponieważ i z tym prędkim wynoszeniem Rosjan też im się nie bardzo udało, raport Parysa zyskał mu uznanie w całym ówczesnym obozie późniejszego prezydenta Wałęsy. Kiedy w rok potem Jan Olszewski przedstawiał po kolei Wałęsie możliwych kandydatów na ministra obrony, prezydent Moczulskiego i Kaczyńskiego (Lecha) skreślił z przytupem, ale Parysa przypomniał sobie życzliwie. Może być, powiedział prezydent. Nie wiem natomiast, kto podsunął Parysa premierowi, zapewne Najder lub Włodarczyk, którzy go znali z Saskiej Kępy, choć jest

też wersja z Opus Dei, ze względu na osobę patrona, Innocentego Marii. Ale to też nie musi wiele znaczyć: gabinet Olszewskiego formowany był trochę jak z łapanki.

Była przed wojną powieść węgierska „Siedem razy po twarzy". Na okładce jeden facet lał drugiego w mordę: raz, drugi,... szósty. Na siódmym rysuneczku bity odwija się i pac, pierwszy leży. Przypomniała mi się ta okładka, kiedy mi opowiadano o wszystkich kolejnych afrontach, jakich minister Parys nie szczędził swemu prezydentowi i o tym, jak prezydent zażądał w końcu dymisji ministra.

W składance konstytucyjnej aktualnie obowiązującej kompetencje prezydenta i jego Biura Bezpieczeństwa Narodowego oraz, z drugiej strony, ministra obrony, są dość niejasno rozgraniczone. Jest to, oczywiście, spadek po czasach Jaruzelskiego, kiedy wieloletni minister obrony był głową państwa. Brak jasnych przepisów ułatwia obu stronom wycieczki na cudze terytorium, ale nie ulegajmy zbytnio „kretynizmowi prawniczemu": nie ten brak jest przyczyną konfliktu. W dziedzinie obrony narodowej doszedł najdobitniej do głosu spór najzupełniej zasadniczy pomiędzy prezydentem a trzonem nowego rządu, ze względu jednak na słabe zinstytucjonalizowanie i zrutynizowanie tych stosunków, indywidualne przypadłości psychologiczne odegrały przy tym niepomiernie wielką rolę.

Lech Wałęsa w tym zwłaszcza podobny jest do Michaiła Gorbaczowa, że obaj przyczynili się w sposób istotny do uśmiercenia jedynej siły politycznej, której przewodzili i która mogła ich wesprzeć: Wałęsa zniszczył Solidarność tak samo jak Gorbaczow KPZS, i niech państwa nie szokuje porównanie. Obaj osamotnili się samochcąc, obaj też mieli po temu dobre racje, ponieważ zarówno Solidarność jak KPZS mogły wprawdzie ich wspierać, ale nieuchronnie za cenę blokowania obranego liberalnego kierunku i ekspresowej strategii reform. W tym sensie Wałęsa ma słuszność gdy broniąc się przed zarzutem autokratyzmu wskazuje, iż sam, własnym kosztem, przyczynił się do pluralizacji polskiej sceny politycznej. Bowiem prezydent nigdy, oczywiście, nie zamierzał stać się niepotrzebny. Chciał być źródłem równowagi, wręcz warunkiem koniecznym funkcjonowania państwa, stąd jego „teoria" chodzenia na dwóch nogach. Otóż taki prezydent wydał się zrazu nowemu rządowi właśnie niepotrzebny, ponieważ miał to być rząd o bardzo wyraźnej opcji ideowo-politycznej, korzystający z posolidarnościowego pluralizmu, aby się mocno przeciwstawić obu poprzednim gabinetom, i zatem oczekujący od prezydenta bezwarunkowego wsparcia, nie zaś arbitrażu w stosunkach z opozycją. Dotyczyło to zwłaszcza kadrowej przebudowy głównych aparatów władzy, a więc przede wszystkim wojska. Każda nominacja była dla ministra Parysa

dobrą okazją do wymierzania policzków prezydentowi właśnie po to, by przez afiszowanie ministerialnej wszechwładzy przyzwyczaić kadrę, że ma odtąd jednego tylko pana. Pomiędzy bajki wypada przy tym włożyć argumenty o „dekomunizacji", Parysa. Nowi nominaci mają za sobą dokładnie taką samą selekcję, naukę i służbę, jak i poprzednicy — i nie może być inaczej w wojsku, którego wyższy korpus oficerski był do 1989 upartyjniony nieomal w stu procentach. Wprawdzie po doświadczeniach stanu wojennego polski korpus oficerski nie jest skłonny do żadnych awantur, chce zachować ścisłą apolityczność i niczego tak nie pragnie jak tego, żeby mu pozwolono na lojalność wobec konstytucyjnej władzy. Można się jednak lękać spustoszeń, jakie rywalizacja Belwederu i MON o względy generałów mogła była spowodować. Ciekawe np. byłoby wiedzieć, co sobie dziś myśli gen. dywizji Tadeusz Wilecki, szef Śląskiego Okręgu Wojskowego, któremu awans na szefa sztabu generalnego proponował nie tylko Jerzy Milewski z Belwederu — jak twierdzi min. Parys — lecz również ze swej strony sam... min. Parys. Ilu karierowiczów, amatorów „dekomunizacji na skróty" wpadło już na pomysł wykorzystania owej rywalizacji? Dziś zdaje się nie ulegać już kwestii, że w tej wojence stroną atakującą był MON Jana Parysa, nie zaś Belweder, warto pamiętać, że obaj poprzedni wiceministrowie cywilni w MON, Komorowski i Onyszkiewicz, z Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, nie byli niepokojeni przez Belweder (ani bezpośrednio, ani za pośrednictwem min. Kołodziejczyka) mimo napiętych stosunków ich formacji z Wałęsą. Parys natomiast z miejsca ich wyeliminował. Nowe kierownictwo MON toleruje i często wspiera dziwne stowarzyszenia oficerskie, formalnie nielegalne, jak osławione Viritim, które przelicytowują się w państwowotwórczych i narodowych hasłach. Viritim przewodzi płk Grudniewski, onże delegat na IX Zjazd PZPR w towarzystwie zapalonych „łowców komuchów"; w SOZO czyli Stowarzyszeniu „Ojczyzna Zbiorowym Obowiązkiem" rej wodzą stronnictwa skrajnej prawicy.

Szczególną agresywność wykazuje kierownictwo MON w naruszaniu kompetencji MSZ (pomijam takie manifestacje, zadziwiające w ramach jednego i tego samego gabinetu, jak przejęcie przez MON ekipy głośnego już dzięki swoim gafom Grzegorza Kostrzewy-Zorbasa, wicedyrektora dep. Europy Wschodniej w MSZ, którego macierzysta instytucja ostatecznie się pozbyła). Doszło do tego, że na początku marca min. Skubiszewski wystosował do polskich placówek dyplomatycznych okólnik, stwierdzający, iż jedynie MSZ uprawnione jest do reprezentowania polskiej polityki zagranicznej i zalecające, by nie brać w ogóle pod uwagę inicjatyw innego pochodzenia. Była to reakcja na najrozmaitsze wystąpienia min. Parysa i jego pod-

władnych (i innych zresztą). Tak np. wiceminister Szeremietiew na własną rękę zadeklarował gotowość wymiany attachatów wojskowych z Izraelem, a szef sztabu Stelmaszczyk, również bez pytania MSZ, zaprosił do Warszawy swego izraelskiego kolegę. Tenże wiceminister Szeremietiew powiadomił w wywiadzie dla belgradzkiej *Borby*, że polskie oddziały w Chorwacji pod flagą ONZ będą m.in. bronić również interesów... Węgier.

Czasem zresztą odnosi się wrażenie, że sympatyczny i chłopięcy min. Parys i jego koledzy po prostu lubią zabawę w wojsko. To, że Belweder w stosunkach z MON raczej się bronił niż atakował, nie znaczy, iżby zamieszkiwały go aniołki boże. Niewiarygodne jednak są sugestie, jakoby Milewski czy zwłaszcza „demoniczny" Wachowski poczynali coś bez wiedzy patrona. Mieczysław Wachowski, niegdyś kierowca (bardzo dobry!) a dziś totumfacki prezydenta, m.in. jego impresario w wydawnictwach, jest rzeczywiście postacią nietuzinkową. Dla Wałęsy jest obok księdza Cybuli, spowiednika z Zaspy w Gdańsku, dawnej parafii elektryka, resztką dawnego środowiska dzisiejszego prezydenta, swojakiem wśród profesorów, polityków, urzędników i dyplomatów. Czy istotnie Wachowski i Milewski „zapraszali wybranych oficerów i obiecywali im awanse w zamian za pewnego rodzaju poparcie wojska dla rozgrywek politycznych" (Parys)? Niewykluczone i nawet prawdopodobne; ale w taki sam sposób można by też z łatwością zinterpretować spotkania, o których Wałęsa stwierdził, że nie potrzebuje zgody ministra, kiedy zechce zaprosić jakiegoś „generała albo kaprala". Rzecz wymagałaby rzetelnego wyjaśnienia; wątpię, czy dostarczy go powołana przez premiera komisja. Jednakże min. Parys powiedział jeszcze coś nadto: zasugerował mianowicie, że w owych spotkaniach i awansach chodziło o przygotowanie do zamachu stanu („Armia nikomu nie będzie pomagać w przejmowaniu władzy siłą"). Minister posunął się o jedno ciężkie zdanie za daleko. Naruszył bardzo poważnie *image* swego kraju — i tak nadwątlony. I rozminął się z własnym premierem.

Niezależnie od tego, co sobie Jan Olszewski wyobrażał obejmując premierostwo, w trzy miesiące potem wiedział już na pewno, że nie poradzi sobie bez pomocy ze strony opozycji. Może nie będzie to koalicja, lecz tylko doraźne alianse w konkretnych sprawach (zmienna geometria skrzydeł, jak mawia się we Francji). Ale tak czy inaczej „wojnę kadrową" trzeba będzie wyciszyć a stosunki z prezydentem zasadniczo polepszyć. W wywiadzie dla *Tygodnika Solidarność*, tuż przed wyjazdem do USA, premier odciął się stanowczo od całej gadaniny o zamachu stanu i kampanii rozpętanej wokół sprawy Parysa przez gazetę *Nowy Świat*.

W tydzień po rozpoczęciu negocjacji z Tadeuszem Mazowieckim premier Olszewski był już gotów rozważyć, wśród ustępstw kadrowych, dymisję Parysa i nominację na jego miejsce Bronisława Komorowskiego, który jako członek Frakcji Prawicy Demokratycznej w UD jest do przyjęcia dla ZChN, w przeciwieństwie do Janusza Onyszkiewicza. Mówiłem o tym na antenie Wolnej Europy 30 marca. Minister Parys nie mógł o tym nie wiedzieć, podobnie jak jego sojusznicy z PC, obserwujący z niepokojem polepszające się kontakty Olszewskiego z Wałęsą, tzn. tych polityków, którzy Porozumieniu Centrum życzą rozbicia i marginalizacji, Wałęsa z zemsty, Olszewski w imię skonstruowania własnej formacji „chadecko-ludowo-narodowej". Ludzie z PC, zapewne żeby pogłębić spory w UD, zaczęli opowiadać, że z generałami spotykał się „również Geremek". Minister Parys wygarnął jak z armaty. Zapewne postanowił drogo sprzedać swoją skórę. Psuje mi to nieco wizerunek tego miłego chłopaka bawiącego się w wojsko, ale cóż robić: „kto ma *wadzę*, ten ma ciastka", mawiał nasz niezrównany prezydent, kiedy jeszcze nie był prezydentem. A chłopcy bywają łakomi.

Warszawa 12 kwietnia

Krzysztof WOLICKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Sąsiedzi

Ekscesy, pokusy i sygnały

Telewizja niemiecka nadawała w swoim czasie serię rozrywkową pod nazwą „Nie do uwierzenia". Trick (znany dziś zresztą wszędzie) polegał na tym, że zespół reporterski inscenizował zaskakujące, niewiarygodne sytuacje, a ukryta kamera chwytała na gorąco zachowania obecnych przy tym ludzi. Kiedyś, czekając na dziennik, złapałam scenę takiej audycji: zwyczajny autobus pełen pasażerów jedzie swoją zwykłą trasą. Nagle, na którymś przystanku, kierowca wstaje i i oświadcza: „teraz idę do fryzjera"... Kamera odprowadza go do wyraźnie widocznego przez szybę autobusu zakładu fryzjerskiego, gdzie z całym spokojem rozsiada się w wygodnym fotelu, po czym fryzjer z równym spokojem starannie go goli. W telewizji proceder trwa dłuższą chwilę, a reporter informuje telewidzów, że w rzeczywistości trwał co najmniej kwadrans. W autobusie tymczasem cicho jak makiem posiał, ani kto drgnie czy o co spyta, nie mówiąc już o jakiejkolwiek ostrzejszej uwadze. Reporter spiętrzył umiejętnie efekt audycji. Arcykomiczny widok sporej grupy osób, wpatrzonych w szybę i potulnie wyczekujących łaskawego powrotu kierowcy, mógł wprawić w wesołość nawet melancholika.

Ale traf chciał, że oglądałam tę scenkę w okresie, kiedy po wydarzeniach w miejscowości Hoyerswerda, w Saksonii, napady na tzw. azylantów i na ich pomieszczenia, jak w ogóle akty gwałtów wobec cudzoziemców nabrały niespodziewanego impetu. O pobiciach czy umyślnie powodowanych pożarach w różnych częściach Niemiec czytało i słyszało się codziennie. Najbardziej przerażające w Hoyerswerda — oto wspólny wniosek publicznych i prywatnych komentatorów — nie było rozpasanie *skinów*, ani nawet to, że doczekali się aplauzu, a czasem i pomocy od poniektórych tamtejszych mieszkańców. Najbardziej przerażająca była bierność tłumu, przypatrującego się przez cały tydzień

rozbestwionej agresji i żadnym gestem ani słowem nie reagującego.

W mgnieniu oka przestała mnie więc śmieszyć scenka telewizyjna, gdyż skojarzenie było wtedy prawie nieuniknione: bierność tłumu, zachowania w sytuacji zależności, kiedy nawet kierowcę autobusu traktuje się jak „władzę", szacunek przed siłą, paraliż reakcji, pokora, ale tylko w górę. Znowu?

Wiadomo mi z wielu źródeł, że w optyce spoza Niemiec obraz ten zyskuje dodatkowe właściwości i zlewa się w jedno z pewnymi oficjalnymi posunięciami rządu niemieckiego. Za najświeższy przykład może służyć niemiecki nacisk na inne państwa Wspólnoty Europejskiej w sprawie pośpiesznego uznania Chorwacji i Słowenii, czemu zresztą stało się zadość, jako że owe państwa, by użyć określenia *Le Figaro*, „podążyły za Niemcami jak barany"... Nie tylko więc zacierają się na zewnątrz kontury między historią a aktualnością, ale także między wydarzeniami wewnętrznymi a pewnymi fragmentami gry dyplomatycznej zjednoczonych Niemiec. Przy takim zbiegu spraw na różnych planach, nasilają się znane niepokoje z powodu Niemiec wciąż takich samych, nabierających wody w usta gdy trzeba już krzyczeć, nie angażujących się, jak długo nie wiedzą kto zwycięży, poszukujących kozła ofiarnego, gdy jest im trochę gorzej, po staremu butnych, gdy poczują się w siodle. I wreszcie okazujących skruchę *po* fakcie. Wszystko to razem mieści się w pojęciu „starego nacjonalizmu niemieckiego w nowej szacie".

Nie polemizuję z tymi lękami, wyrażanymi po prostu, jednokierunkowo, bez taryfy ulgowo-różnicującej. Zdarza mi się chwilami (patrz wyżej) ulegać im samej. A jednak sądzę, że warto przypatrzeć się konkretnym zjawiskom trzeźwo, z osobna i po kolei. Gdyż na dnie niepokojów o Niemcy czai się zawsze pytanie, jakie dają tu dotychczas rezultaty próby przebudowania mentalności narodowej, nie podejmowane przecież na taką skalę wobec żadnego innego społeczeństwa nowoczesnej Europy.

Tylko dla przypomnienia (gdyż są to już rzeczy znane)[1] kilka wypadków tym próbom urągających, które szereguję według nasilenia brutalności. Na ulicy w Berlinie trzech osobników przecina język 19-letniemu Polakowi ogrodowymi nożycami. W Hünxe, wypielęgnowanym osiedlu na terenie nadreńskiego zagłębia przemysłowego, koktajl Mołotowa wpada przez szybę do mieszkania cudzoziemskiej rodziny, powodując groźne oparzenia u dwóch małych dziewczynek. W piwnicy domu w Norymberdze, zamieszkałego głównie przez zasiedziałych tu od dawna cudzoziemców, wybuchają w trzech miejscach równoczesne pożary. W Zittau, znów Saksonia, grupy *skinów* organizują napad

1. Por. Andrzej Stach: Jesień w Niemczech, *Kultura*, nr 532-533.

na ośrodek wakacyjny, przeznaczony w tym czasie dla dzieci, które po Czarnobylu doznały popromiennych uszkodzeń.

I znów się zgadza. Jednego bowiem wspólnego motywu w relacjach z podobnych wydarzeń nie brak prawie nigdy: bierności asystujących przy nich osób. Od Hoyerswerda, poprzez list polskiej uczonej, ofiary dzikiego ataku na autostradzie przy powrocie z sympozjum niemieckiego do Polski, zmaltretowanej i zdumionej milczeniem „starszych ludzi" z sąsiadujących samochodów, aż po zbiorowe przypatrywanie się niszczeniu cudzoziemskich pomieszczeń — motyw jest uparty, nie chce zniknąć.

Za chwilę — ale już *po* fakcie — komuś będzie wstyd. Kto inny nawet zaprotestuje. Już nazajutrz do szpitala, gdzie przewieziono zranionego Polaka, zaczynają napływać listy z wyrazami oburzenia i życzeniami dla pacjenta, a burmistrz przyśle kwiaty. Równocześnie media podniosą alarm, nazwy miejscowości, w których rzeczy się wydarzyły, znajdą się ku niezadowoleniu mieszkańców w czołówkach gazet; policja, na terenach byłej NRD znienawidzona, tym właśnie wytłumaczy swoją bezsilność, a różne ogniwa władz lokalnych zanalizują własną opieszałość. I stopniowo coś na kształt gniewu zakradnie się do niektórych dusz. Ale „tu i teraz", na miejscu, w obliczu gwałtu i rozbestwienia — dusze były martwe.

Statystyki trudno jeszcze uznać za ostateczne. Przytaczam liczbę podaną przez Ministerstwo do Spraw Młodzieży: w Niemczech wschodnich, gdzie ataki zdarzają się znacznie częściej niż w zachodnich, dokonano do połowy listopada ubiegłego roku przeszło 1.800 aktów agresji przeciw cudzoziemcom, co oznacza siedmiokrotny z górą wzrost w stosunku do roku poprzedniego. Statystyka z innego źródła, z ministerstwa Spraw Wewnętrznych Płn. Nadrenii i Westfalii, obejmująca pełny rok 1991, operuje liczbą 2.300 takich wypadków w całych Niemczech. Wśród przestępców ujętych już statystycznie, dowiaduję się z tej samej informacji, dwie trzecie stanowi młodzież poniżej lat 20. Przestępcy wywodzą się „z ruchu młodzieżowego, coraz silniej związanego z ideologią prawicowo-radykalną, nietolerancyjnego w myśleniu i agresywnego w działaniu".

Tu jednak zarysowały się od razu różnice w ocenach. Rząd niemiecki potępił wprawdzie wraz z parlamentem ekscesy przeciw cudzoziemcom, uznając je za hańbę dla Niemiec i apelując do ludności o szacunek dla imigrantów, ale równocześnie dementował istnienie sił, sterujących chociażby luźno ale jednak centralnie, całą kampanią. Według oświadczeń pewnych osobistości oficjalnych to nie głównie organizacje prawicowo-radykalne dostarczają napędu brudnej fali, płynie ona raczej z frustracji wśród młodych bezrobotnych czy też pozbawionych miejsc praktyki uczniów szkół zawodowych. Oczywiście jedno nie musi

ani trochę przeczyć drugiemu, co zresztą okaże się poniżej. Gdy się jednak akcentuje *tylko jedno*, rodzi się podejrzenie o taktyczną kosmetykę dla podtrzymania na zewnątrz niemieckiego *image* bez skazy.

Łatwo się domyśleć, że w rzeczywistości siły lub grupy sterujące, wpatrzone też nierzadko w przykłady zagraniczne, chociaż tutaj tylko częściowo zorganizowane lub też w ogóle niezorganizowane w partiach (od struktur partyjnych młodzież stroni w zachodnich, a cóż dopiero we wschodnich Niemczech) korzystają z wybuchowego podglebia społecznego szczególnie na terenach byłej NRD. Coraz częściej zwijają się tam przedsiębiorstwa i zamykają fabryki (wielu ekonomistów z całych Niemiec zarzuca tamtejszej instytucji powierniczej, że za dużo likwiduje, a za mało sanuje), liczba bezrobotnych sięgnęła 16,5 %. Miliardy pompowane przez zachód nie zapobiegają na razie spadkowi produkcji, oczekiwany szturm inwestycji nie nastąpił. Ta część Niemiec stała się więc raczej terenem rozwojowym dla handlu wewnętrznego, raczej rynkiem zbytu dla firm zachodnich niż obszarem własnej dynamiki gospodarczej. Płace pracownicze wynoszą 60, najdalej 70 % płac zachodnich, a deficyt dodatkowych miejsc wyszkolenia zawodowego wyrzuca na ulicę coraz nowe grupy młodzieży. Jak wszędzie w byłym bloku wschodnim, niedobór mieszkań rośnie, a właścicieli domków jednorodzinnych żadna ustawa nie chroni dotąd przed ewentualnymi rewindykacjami ze strony byłych właścicieli gruntów.

A koszty zjednoczenia dla zachodu, coraz wyższe wbrew pierwotnym zapowiedziom kanclerza? Otóż jakkolwiek gołym okiem nie można jeszcze dostrzec w zachodnich Niemczech obniżenia dobrobytu, to i tu skaczą w górę ceny i podatki, prognozy wzrostu gospodarczego wykazują tendencję zniżkową, zaostrzają się pertraktacje w sprawie umów zbiorowych, rozszerza się bezrobocie, a trudności na rynku pracy w wielkim przemyśle uderzają i w starszych pracowników, i w młodzież. Jednak przy tym wszystkim wierzy się tutaj w środki zaradcze, a na powierzchni jest jak było — bogato i kolorowo. Tymczasem na wschodzie, jeśli nawet nadzieje na poprawę pojawiają się gdzieniegdzie, to w większości dzielnic miejskich i podmiejskich, w małych miasteczkach, życie upływa w szarości i depresji, wśród obdrapanych, walących się budynków, nieczyszczonych ulic, ciemnych nor i zmurszałej infrastruktury — słowem wśród odziedziczonego po starym państwie mało ludzkiego pejzażu codziennego.

„Nowy mur — słyszy się i czyta codziennie — przechodzi teraz przez głowy i serca". Rzeczywiście, raczej mało konkretna na zachodzie znajomość warunków, w jakich ludność z terenów byłej NRD żyła od lat z górą 45, skłonność do zapominania, że spod jednej dyktatury weszła ona prawie od razu pod drugą, zde-

rza się z chronicznym poczuciem upokorzenia na wschodzie. Stąd zaczyn wybuchowej mieszanki nastrojów. Uwagi w rodzaju „zakasujcie rękawy, jak my po wojnie, my też nie od razu" itd. itd... przyprawiają ludzi ze wschodu o białą gorączkę. Nakłada się na to od wielu miesięcy zmora *Stasi*[2], czyli ujawniająca się co dzień wyraźniej sieć donosicielstwa i inwigilacji nieprawdopodobnych rozmiarów — mąż w ciągu dziesięciu lat szpiclował żonę, najbliższy przyjaciel najbliższego przyjaciela... Wojnę podejrzeń i oskarżeń można sobie wyobrazić. Czyli wszyscy śledzili wszystkich — uogólnia to sobie po orwellowsku zachód — a wschód czuje się doszczętnie pognębiony, opluty, bezsilny.

To jest kontekst społeczno-psychiczny życia codziennego we wschodnich Niemczech. Raz po raz więc najbardziej agresywne jednostki wśród młodzieży stawiają się na znany już wyżej anonimowy apel i idą mścić się za własną bezsilność na jeszcze od siebie słabszych cudzoziemcach. Jedni spośród mścicieli wyznają ideologię *à rebours*: najlepsze jest właśnie to, co otoczenie uważa za najgorsze — hitleryzm i rasizm. Inni, proszę mi wierzyć, nie wiedzą w ogóle co wykrzykują.

Wiele osób (wśród nich wielu moich przyjaciół) przestrzega przed socjo- czy psychologizowaniem podłoża tutejszych ekscesów. Na nic się to przecież nie zda, jedynymi możliwościami ukrócenia przestępstw dysponują policja i sądy. Dla uniknięcia nieporozumień wyznaję od razu, że także według mnie policja nie jest ani dostatecznie liczna i wyszkolona, ani umotywowana, tak że przestępcom udaje się łatwo uciec. Także ja widzę, jak ślimaczą się dochodzenia, jak nieprzekonywująca jest najczęściej praktyka kar[3]. Niemniej równie potrzebna jest bezpośrednia egzekutywa i długofalowa prewencja, a ta pozostanie jałowa i bezskuteczna bez pytań o źródła przestępstw. Rozgraniczenie wydaje się konieczne: jeśli na zachodzie źródeł anty-cudzoziemskich agresji można się dopatrywać w podobnym współcześnie we wszystkich krajach zachodnioeuropejskich napływie imigrantów różnej kategorii, to ksenofobia wschodnioniemiecka ma (oprócz reakcji na zakłamany internacjonalizm NRD-owski) jeszcze inne, własne wyróżniki.

2. *Stasi* — skrót od *Staatssicherheit* (Ministerstwo Bezpieczeństwa).

3. Po trzy lata więzienia dla czterech *skinów* za zamachy na autostradzie (w tym jeden autobus polski), to jedyny do tej pory wysoki wyrok. Za udział w zaatakowaniu ośrodka wakacyjnego z dziećmi z Czarnobyla kara wynosiła 15 miesięcy więzienia. Trzech uczestników ekscesów w Hoyerswerda otrzymało ostatnio po 18 miesięcy więzienia z zawieszeniem. Zawieszenie uzasadniono tym, że przebywali już 6 miesięcy w areszcie śledczym.

Równocześnie w wielu *landach* organy śledcze i prokuratury otrzymały od ministrów sprawiedliwości zalecenie, by wszelkie wykroczenia przeciw cudzoziemcom i azylantom ścigać z całą stanowczością. W kilku miastach stworzono specjalne referaty do tych spraw.

Pisałam poprzednio, że często *po* fakcie dopiero odzywa się sumienie. Rzeczywiście po wydarzeniach, które przeraziły opinię, fala protestów, demonstracji, najróżniejszych inicjatw i imprez ruszyła przez Niemcy. Ani dnia bez tej tematyki w mediach. W szkołach zaczęto poświęcać nabrzmiałej sprawie znacznie więcej uwagi niż dotychczas. W znanym mi gimnazjum w Duisburgu gazeta, wydawana przez uczniów, zamieściła w jednym numerze kilka artykułów o wypadkach, jak i w ogóle o brakach i zaniedbaniach w integracji cudzoziemców, przy czym pisali i uczniowie niemieccy i tureccy. Do gazet codziennych nadchodziły setkami i tysiącami listy od oburzonych czytelników, jak również protesty podpisywane przez znanych pisarzy i artystów. Wielka demonstracja protestacyjna przed teatrem kolońskim zgromadziła aktorów tutejszych oraz członków zespołów teatralnych z Düsseldorfu, Bonn i Mülheim. Filharmonia kolońska obniżyła ceny biletów dla studentów przybywających na koncert w towarzystwie cudzoziemca. Na ulicach wielu miast pokazały się transparenty z napisami „wszyscy jesteśmy cudzoziemcami". Nie zapomnę napisu na murze: „My Niemcy prosimy Was, drodzy cudzoziemcy, nie zostawiajcie nas samych z Niemcami". W małych miasteczkach zapraszano do domów, w okresie Bożego Narodzenia, azylantów. Przedsiębiorca z Erfstadt przedstawił projekt wydzierżawienia pobliskiego terenu i wybudowania tam tymczasowego osiedla dla azylantów, wzywając do podobnych kroków i inne przedsiębiorstwa. W tej chwili dowiaduję się z radia, że laureatami dorocznej nagrody im. Theodora Heussa[4] zostali referenci do Spraw Cudzoziemców w rządach kilku landów i w gminach, jak również brandenburska grupa uczniów proklamująca „program walki z przemocą i z prawicowym radykalizmem", a wreszcie niemiecko-polski ośrodek spotkań w Zgorzelcu. Ba, nawet organizatorzy nadreńskiego karnawału wciągnęli cudzoziemców do przygotowań i uczestniczenia w pochodach i widowiskach.

Można powiedzieć: gorliwość, rozkaz z góry, rytuał, organizacja właśnie, a nie impuls. Otóż nieprawda, gdy po faktach budziła się refleksja, najwięcej pomysłów szło od dołu. I uczulenie nie opada.

Odezwała się krytyka nie oszczędzając lokalnych ani średnich organów pracy socjalnej. Okazało się, że od dawna lekceważyły one przestrogi przed wzrostem tendencji do rozbojów i ekscesów wśród młodzieży. Akty gwałtu nie zaczęły się przecież

4. Theodor Heuss (1884-1963), pierwszy prezydent RFN (1949-1959), kandydował z ramienia FDP, partii liberalnej. W r. 1965 ufundowano nagrodę jego imienia. Jest ona przyznawana obecnie za „przykładowo demokratyczne" przekonania i działania.

przed półroczem, znacznie wcześniej powinny były służyć za sygnał. Zrzeszenia futbolowych „fanów" rozpadały się na grasujące po ulicach groźne kliki — a tymczasem nadal obcinano beztrosko budżety opieki nad młodzieżą bez przydziału i nadal brakowało jakiejkolwiek koncepcji odporu. Przede wszystkim jednak dolewała oliwy do ognia narzucona kierownictwu CDU CSU kontrowersja w sprawie ustawy o azylu. Agresja uliczna wtedy właśnie sięgnęła zenitu.

Krótko o tej dyskusji. „Prześladowani politycznie korzystają z prawa azylu" — oto lapidarny tytuł Konstytucji, pomyślany kiedyś przez jej twórców jako ekspiacja za okres hitlerowski. Rząd, powołując się na nadużywanie tego prawa przez azylantów, przybywających tu ze względów gospodarczych, nie od dziś dąży do ograniczenia artykułu. Do zmiany Konstytucji potrzeba jednak w Bundestagu większości dwóch trzecich, czyli poparcia przynajmniej także przez część opozycji. Cóż, skoro przeciw zmianie wypowiadają się nie tylko SPD i inne, mniej liczne partie opozycyjne, ale także współrządząca z chadecją FDP. Od dawna trwają więc między partiami targi, sondaże i spory. Wreszcie w braku perspektyw na porozumienie zasadnicze przystały one wszystkie na skrócenie procedury w rozpatrywaniu podań o azyl (trwającej dotychczas rok lub dwa) do sześciu tygodni. Taka zmiana proceduralna, w praktyce zresztą też problematyczna, nie narusza jednak Konstytucji. Niemniej w obliczu wyborów w dwóch *landach* z początkiem kwietnia partie CDU CSU, licząc, że polityka ograniczająca przypływ azylantów przysporzy im głosów, nie zrezygnowały z wniosku o zmianę Konstytucji, składając go formalnie w Bundestagu.

Powrócę jeszcze do tych spraw, na razie chodzi mi o kierunek opinii krytycznych. Chadecja wywierając bezustanny nacisk na parlament, wrzucając do wspólnego worka różne kategorie przybyszy — azylantów, uciekinierów i przesiedleńców — nie tylko wywołuje pomieszanie pojęć wśród ludności, ale wzmaga w ogóle i tak już malowany grubymi krechami horror obcego zalewu.

Horror ten (obok nękających na co dzień coraz to nowych odkryć w archiwach *Stasi*, co należy jednak do innej dziedziny) to jeden z najbardziej w tej chwili drastycznych motywów w wewnętrznej sytuacji niemieckiej. Ale oto równocześnie występują i w polityce zagranicznej pewne zjawiska, irytujące baczniejszych obserwatorów i często przez niektórych włączane w ten sam strumień „starego nacjonalizmu niemieckiego w nowej szacie". Narzucony przez Niemców innym, bardziej w tej sprawie powściągliwym członkom Wspólnoty Europejskiej pośpiech w uznaniu Chorwacji i Słowenii (o czym powyżej), ostatnia podwyżka stopy procentowej przez Bank Federalny, bez praktykowanej zwykle konsultacji z zagranicznymi partnerami, czołowa rola Niemiec w jednoczeniu Europy, żądanie większej liczby deputowanych do Parlamentu Europejskiego, wniosek o uznanie niemieckiego jako jednego z języków roboczych we Wspólnocie Europejskiej, wreszcie pogłoski o niedalekim wprowadzeniu Niemiec jako stałego członka do Rady Bezpieczeństwa, dementowane na razie przez rząd, ale postulowane przez bawarską CSU — czy wszystko to razem, w połączeniu z neo-hitlerowskimi ekscesami, nie świadczy znowu o recydywie wielkoniemieckich pokus? Oczywiście w sferze nie wojennej już dzisiaj — nie te czasy... Dodajmy znane we Francji, Anglii czy Holandii aż po Polskę i Czechosłowację sprzeczne uczucia: obawy przed gospodarczą supremacją Niemiec przy jednoczesnej nadziei na ich działalność inwestycyjną we wschodniej Europie; dodajmy niepewność, czy arcysprawne zwykle Niemcy nie skorzystają w jakiś sposób z destabilizacji świata po rozpadzie Sowietów i nie rozpoczną skrytej walki o „sfery wpływów" — a dopełni się miara niepokojów.

Niechże więc zostanie zapisane na dobro najpoważniejszej części prasy i opinii niemieckiej, że wszystkie podobne symptomy chwyta, wyraźnie sygnalizuje i równocześnie określa ich proporcje. Udaje się jej w ten sposób pełnić na wewnątrz konieczne funkcje kontrolne, a na zewnątrz wypierać lęki o „powtórzenie się historii". Okazuje się bowiem, że do powtórzenia się historii symptomy te nie wystarczą i że wiązanie ich w jedną całość z wyczynami neo-nazistów nie ma sensu. Gdyż mimo wszystko co nas mierzi i przeraża na prawym krańcu tego społeczeństwa, nie jest prawdą, że są to dwie strony tego samego, wielkoniemieckiego medalu. Nie dlatego neo-naziści napadają, biją i podpalają, że są pijani szczęściem zjednoczenia, lecz dlatego, że zjednoczenie zawiodło ich nadzieje.

Trauma naszych pokoleń, wielkoniemieckie pokusy, nie miałaby bowiem wewnątrz Niemiec żadnej, najwęższej nawet bazy społecznej. Niemców na wschodzie i zachodzie, pochłoniętych dziś wyrównywaniem między-niemieckich przepaści, prestiżowe zabiegi polityków na terenie międzynarodowym obchodzą tyle co przeszłoroczny śnieg. Oczywiście interesuje ich podwyżka stopy procentowej, ale bez żadnych tęsknot do supremacji, a już najserdeczniej jest im obojętne, czy państwo ich będzie stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, albo czy niemiecki zostanie uznany za język roboczy we Wspólnocie Europejskiej. Zresztą już w pierwotnej RFN szybko osiągnięty i pomnażany dobrobyt gospodarczy kierował od dawna uwagę społeczną na sprawy egzystencji materialnej. Trzeba było wielu lat, by pojawiły się w społeczeństwie pierwsze oznaki przezwyciężenia depolityzacji okresu Adenauera. Jej ślady, zgodne z upartym ciążeniem tradycji

historycznych, przetrwały do teraz w postaci bierności społecznej, o której pisałam, w opieszałości reakcji, w owym częstym budzeniu się za późno. Tzw. tu „syndrom posłuszeństwa" został złagodzony, lecz funkcjonuje do tej pory jako polityczny konformizm sytuacyjny, który nazwałabym raczej „syndromem oczekiwania"... Ponadto „mur w głowach i w sercach", wyrosły krótko po euforii zjednoczeniowej, podważa w obu częściach Niemiec świadomość wspólnoty i organicznej całości narodowej czy państwowej, co utrudnia nieskończenie powstawanie jakichkolwiek dążeń do supremacji na zewnątrz. „Jedność państwowa, jedność narodu jako program — pisał w pierwszą rocznicę zjednoczenia Jürgen Busche, publicysta *Süddeutsche Zeitung* — nie ma dla Niemców powabu"... i przypomniał dalej, że gdy w latach 1945-49 nie istniało w ogóle państwo niemieckie, nikogo o to nie bolało serce... I do tej pory nic nie wydaje się dalsze od niemieckiego stanu ducha, niż jakiekolwiek tromtadrackie samopoczucie. Slogan, którego bano się po zjednoczeniu — „Znów jesteśmy kimś" — ustąpił miejsca niepewnemu pytaniu „Kim właściwie jesteśmy, kim chcielibyśmy być"? Czy i w jaki sposób da się zachować wygodny, umiarkowany, nie-mocarstwowy status dawnej RFN w nowych ramach najsilniejszego państwa w Europie — oto wciąż spotykany tu typ wątpliwości. Co oczywiście nie znaczy, że kierownictwo polityczne zostało raz na zawsze zaszczepione przeciw możliwym pokusom.

Ze świecą szukać by można we współczesnych Niemczech jakichkolwiek militarystycznych nostalgii. Wypleniła je doszczętnie ostatnia wojna. Za historyczny już przykład niech służy szeroki ruch *Ohne mich*, „Beze mnie", wewnętrzny opór przeciw ponownemu uzbrojeniu Niemiec w latach 50-tych. A przykładami najnowszymi można sypać z rękawa: oziębłe zaangażowanie się w zeszłoroczny konflikt w Zatoce Perskiej, nieustająca i wciąż restrykcyjna dyskusja na temat przyszłych zobowiązań wojskowych zjednoczonych Niemiec, zdecydowanie przychylna postawa wobec wszelkich inicjatyw rozbrojeniowych, stosunek młodzieży do obowiązkowej służby wojskowej, traktowanej w najlepszym wypadku jako zło konieczne. Z określenia żołnierza jako „obywatela w mundurze", trafnego zapewne w okresie tworzenia armii, pomyślanej kontrastowo w stosunku do Wehrmachtu, dawno wyparowała początkowa idealizacja. Także po dawnej potędze sztabów wojskowych, które jeszcze w Republice Weimarskiej decydowały o głównych kierunkach polityki państwowej, brak najdrobniejszego śladu. Toteż armia jako całość nie odgrywa dziś w potocznym odczuciu żadnej roli centralnej. Jest to wynik postępującego procesu, poddającego kolejnemu „odbrązowieniu" nietykalne kiedyś w tutejszej tradycji wartości. W najbardziej nawet prawidłowej interpretacji drugiej wojny światowej usiłowano tu oddzielić wyraźnie rolę sztabów od roli żołnierza, działalności SS i SA od działalności Wehrmachtu, słowem starano się za wszelką cenę ocalić postać i czyny zwykłego żołnierza od historycznego potępienia. Ale oto co pisał przed miesiącem Benedikt Erenz w *Die Zeit*:

Czego, po niedługo pięćdziesięciu już latach od zakończenia wojny, wciąż jeszcze brakuje — to jawnego obrazu największej w historii Niemiec organizacji mordu i terroru: Wehrmachtu. Jest to może najtrudniejszy rozdział w historii narodowego socjalizmu, gdyż nigdzie nie jest trudniej odróżnić sprawców od współmaszerujących ofiar. I jest to najtrudniejszy rozdział także dlatego, że idzie w ogóle o źródła żołnierskiego rozumienia własnej roli, o sam rdzeń wszelkich struktur wojskowych: odpowiedzialność, rozkaz i posłuszeństwo.

Oczywiście słowa te nie wyrażają powszechnego w społeczeństwie poglądu, ale jednak relatywizują tak wysoko w historii Niemiec windowany etos żołnierski. Nie jedyny to zresztą przykład opadania charyzmy z wartości gromadzonych kiedyś w narodowym sanktuarium. W 40-letnim z górą okresie podziału Niemiec obsunęły się także z cokołu pojęcia narodu, przynależności i więzi narodowej. Mało kto się już do nich modli, natomiast bada się raczej pragmatycznie ich przydatność dla procesów modernizacji państwa, a także życia i współżycia w jego ramach. Pisałam w *Kulturze* wiele razy, że duża część tutejszych elit intelektualnych gruntownie tej przydatności zaprzeczyła, łudząc zresztą i siebie i innych, że w wyścigu do identyfikacji europejskiej można przeskoczyć własną tożsamość narodową. Kłopoty z tożsamością nie skończyły się, jak już wiemy, i po zjednoczeniu, nadal toczą się na jej temat spory (także wśród socjologów). Przy tym sceptycy wydają się nie tracić wigoru, gdy entuzjaści raczej posępnieją, nie umiejąc przekazać swego entuzjazmu innym. Jeden z współczesnych niemieckich paradoksów: nie ma chyba w dzisiejszej Europie drugiego narodu, który wstawiony w niemiecką sytuację, uzyskawszy jedność po długich latach podziału, tak uporczywie dzieliłby włos na czworo, zastanawiając się bez końca (prywatnie), czy było to dobrze czy źle, czy stało się w porę czy nie w porę.

Pewnie jeszcze długo tutejsze elity będą zaabsorbowane poszukiwaniem niemieckiej tożsamości, z niepewnościami można, jak się okazuje, żyć. Istotniejsze w tej chwili jest to, że pojawiają się jednocześnie pytania o nowe formy organizacji społeczeństwa, o przyszłe zasady, jakimi ma się rządzić i kierować 80-milionowa i niehomogeniczna dzisiaj zbiorowość w środku niespokojnej Europy. Strzec za wszelką cenę narodowego monopolu, opartego wyłącznie na pochodzeniu, a zatem narażonego

zawsze na okresowe ciśnienia nacjonalistycznych fobii? Zamykać się kurczowo przed dopływem ludzkim z zewnątrz, któremu i tak nie zaradzą w nowych warunkach Europy i świata żadne obronne ustawy? Czy też założyć jako cel społeczeństwo otwarte, programowo wchłaniające dopływy ludzkie, przy odpowiedniej, oczywiście, reglamentacji?... „Czy możemy być krajem imigracji? Czy staniemy się społeczeństwem wielokulturowym?" — debata, do niedawna nieśmiała, rozszerzyła się wydatnie, a jej uczestnicy mówią już pełnym głosem.

Trzeba więc przyjrzeć się dokładniej poruszonym na początku sprawom cudzoziemców, teraz jednak nie od strony paroksyzmów, ale od strony faktów. Żyje dziś w Niemczech ponad 5 milionów cudzoziemców. Wbrew wszelkim, znanym wszędzie w Europie przejawom dyskryminacji, wbrew głębokim niedostatkom integracyjnym i słabym kontaktom między cudzoziemcami a ludnością niemiecką, włączyli się oni luźniej lub ściślej w tutejszy nurt życia. Spośród pierwotnych grup, werbowanych kiedyś oficjalnie do określonych dziedzin zatrudnienia, wielu osiedliło się tu na stałe i założyło rodziny. Dzieci ich są już często Niemcami lub mają przynajmniej prawo obywatelstwa. Większość nie wraca do krajów pochodzenia, wśród Turków np. tylko 17% przejawia wolę powrotu. 80% cudzoziemców to robotnicy, prawie 16% urzędnicy. Niemniej przepływ do innych zawodów, np. do samodzielnej działalności handlowej czy usługowej, przestał być zjawiskiem sporadycznym, tak, że niedługo już chyba będzie można mówić o zalążkach warstwy średniej. Zdarza się też, choć nie często, awans do inteligencji, wchodzą więc w życie zawodowe lekarze, zaawansowani technicy i inżynierowie, znajdą się wreszcie czasem pisarze, malarze, aktorzy. Jednostki najsilniej zintegrowane np. na terenie pracy lub wrośnięte w więź sąsiedzką w miejscu zamieszkania, najrzadziej się też spotykają z niechęcią otoczenia. „Zeswojszczonych" ksenofobia na ogół oszczędza.

Wielu Niemców, wcale nie wizjonerów, lecz po prostu trzeźwych, wie doskonale, że państwo będzie potrzebowało nadal dopływu cudzoziemców. I to zarówno ze względów ekonomicznych, gdyż wymagają tego nawet już teraz niektóre dziedziny produkcji i usług, jak i dlatego, że przy tendencji spadkowej przyrostu ludności w Niemczech i przy starzeniu się społeczeństwa, wkłady ubezpieczeniowe samych tylko pracowników niemieckich nie zdołałyby zagwarantować emerytur już za 15-20 lat.

W tych warunkach spór na temat prawa azylu jest sporem pozornym, jeśli nie wręcz obłudnym. Napływ ludności z krajów biedniejszych (nie mówiąc już o terenach nędzy) do zasobnych części Europy będzie oczywiście wzrastał. Tzw. w Niemczech nadużywanie prawa azylu przez przybyszy nie prześladowanych politycznie, lecz kierujących się motywacją ekonomiczną, bierze się stąd, że pod żadnym innym pretekstem nie mogą się tu dostać, a wierzą, że skoro się raz dostali, to się jakoś przez ucho igielne przecisną. Tymczasem w rzeczywistości zaczyna się wtedy długotrwała mitręga o wątpliwym rezultacie[5], dla nich nękająca i demoralizująca, a dla państwa nieproduktywnie kosztowna.

Zwolennicy podstawowych zmian w tej dziedzinie należą do różnych orientacji politycznych i do różnych partii. Ich wspólny wniosek: spojrzeć prawdzie w oczy i uznać się już dziś za kraj imigracji; nie ograniczać prawa do azylu, a więc nie zmieniać Konstytucji, natomiast wprowadzać szczegółowe ustawodawstwo imigracyjne przy ustalaniu odpowiednich kwot; wreszcie zapewniać stopniowo coraz lepsze warunki integracji cudzoziemców oraz uprościć i skrócić tryb nabywania obywatelstwa.

Oczywiście łatwiej to wszystko proponować, niż wprowadzać w życie, zwłaszcza, że już zbankrutowało na świecie wiele *melting pot*'ów i wciąż bankrutują państwa wielonarodowe. Toteż wyznawcy tych idei nie obiecują łatwej ani krótkiej drogi. Społeczeństwo wielokulturowe — przestrzegają — nie ma w sobie nic z królestwa harmonii. Żyje w ciągłej konfrontacji z kontrastami ludzkimi, a więc musi wytwarzać mechanizmy regulujące konflikty, a są to konflikty najtrudniejsze, bo obyczajowe, kulturowe, religijne, światopoglądowe. Musi przyzwyczajać obywateli do codziennej, często nieuporządkowanej dynamiki procesów społecznych, która na dłuższą metę rozsadzi dotychczasowe reguły współżycia, zastępując je innymi. A równocześnie cała ta wielość kulturowa musi się mieścić w normach współczesnego, demokratycznego państwa.

Są to poglądy jeszcze awangardowe, a jednak, jak sądzę, nie utopijne. Nie hipnotyzują głoszeniem dobrej nowiny, nie wmawiają nikomu, że płyną tylko ze szlachetnych porywów. Raczej chwytają wiatr w żagle, gdyż barometr wskazuje na długi, burzliwy okres przemieszczania się mniejszych i większych zbiorowości ludzkich, a więc na konieczność otwierania się, a nie zasklepiania.

Z biegiem lat wytworzyły się tutaj w wielu dziedzinach „przeciwciała" wobec stereotypu „niezmienionego Niemca". Traktując przestępstwa neo-nazistów jako problem oddzielny, trudno na ogół dostrzec tu dzisiaj oznaki „starego niemieckiego nacjonalizmu w nowej szacie". Jednak nowe struktury zjednoczonego państwa, jego wpływ i waga, jego siła gospodarcza to wielkości stałe i można sobie wyobrazić warunki — chociażby np.

5. Azyl przyznaje się tutaj tylko kilku procentom ubiegających się.

kryzys ekonomiczny — zachęcające określone grupy polityczne czy ich kierownictwa do wygrywania tych atutów i zmiany kierunku. Sama taka możliwość wymaga od społeczeństwa nieustającej uwagi i zdolności sygnalizowania złych pokus.

Byłoby dobrze, gdyby jeszcze sygnalizacja działała na czas.

28 lutego 1992

Kamila CHYLIŃSKA

P.S.

Przeszło miesiąc po napisaniu tego artykułu, 5 kwietnia, odbyły się wybory do parlamentów w dwóch *landach*, w Badenii-Wirtembergii i w Szlezwiku-Holsztynie. Do nowych parlamentów weszły dwie partie prawicowo-radykalne: Republikanie w Sztutgarcie (10,9% głosów i 15 mandatów na ogólną liczbę 146), oraz DVU — Niemiecka Unia Ludowa — w Kilonii (6,3% głosów i 6 mandatów na ogólną liczbę 89). Stało się to kosztem dwóch głównych partii niemieckich, w większym stopniu CDU, w mniejszym SPD.

Analizy wykazują, że motywację wyborców partii prawicowo-radykalnych stanowiły problemy azylu, zatajanie przez rząd prawdziwych kosztów zjednoczenia aktualnie i na przyszłość, obarczanie nimi przede wszystkim warstw materialnie słabszych — a zatem sprawy i lęki, wymienione w powyższym artykule. Widać wyraźnie, że w walce wyborczej kampania na rzecz zmiany prawa do azylu nie pomogła, lecz zaszkodziła partii kanclerza Kohla, gdyż pchnęła część wyborców w stronę sił, które „załatwiłyby to lepiej".

Sukces ekstremistycznej prawicy wywołał głęboki szok w samych Niemczech i na świecie. Jednak uwaga z analogiami. Po pierwsze całej zbiorowości głosującej na Republikanów z DVU nie można utożsamiać z neo-nazistami. Po drugie wybory nosiły wyraźnie charakter protestu przeciw aktualnej polityce wewnętrznej, nie wyrażały natomiast aprobaty nazistowskiej ideologii. Inne niż wtedy zagrały problemy, inna jest sytuacja w Niemczech i na świecie.

Nie znaczy to wcale, że kierownictwa obu partii prawicowo-radykalnych nie sięgną teraz do bardziej jeszcze niż dotąd drastycznych, anty-cudzoziemskich i skrajnie nacjonalistycznych motywów. Niewątpliwie zanosi się na to, że zaostrzy się w Niemczech klimat polityczny i rozpali się polemika między przeważającą, umiarkowaną i demokratyczną częścią społeczeństwa, a jego nie-demokratycznymi, demagogicznymi i szowinistycznymi krańcami.

8 marca 1992 *K.Ch.*

W sowieckiej prasie

Jeśli wierzyć podręcznikom filozofii, Heraklit miał powiedzieć, że „wszystko płynie". O ile rzeczywiście tak powiedział, to miał rację. Dokładnie miesiąc temu pisałem w przeglądzie, że Bush nie daje Borysowi Jelcynowi pieniędzy, co przeszkadza rosyjskim reformatorom. Równo dwa tygodnie temu, 1 kwietnia, prezydent Bush przedstawił amerykańskim kongresmenom do akceptacji projekt wielomiliardowych kredytów dla Wspólnoty Niezależnych Państw. Tego samego dnia „wielka siódemka" powiadomiła, że w 1992 r. gotowa jest przyznać byłemu Związkowi Sowieckiemu 25 mld dolarów kredytu. Wiadomo, że od obietnic do pieniędzy może prowadzić daleka droga, a na końcu jej może okazać się figa. Japonia — jeden z członków „siódemki" — już powiadomiła, że nie zgadza się na kredyty. Ale to są szczegóły. Grunt, że obiecano.

Obietnica jest tym bardziej warta uwagi, że w lipcu ubiegłego roku „wielka siódemka" odmówiła kredytów Gorbaczowowi. Były *gensek* i prezydent ZSSR, którego Zachód (a szczególnie Bush) tak kochał, przyjechał do Londynu z zapotrzebowaniem na 100 mld dolarów (w Moskwie lubią okrągłe liczby), a wrócił z kwitkiem. Był to polityczny wyrok śmierci. Kilka miesięcy później wykonał go Jelcyn. 1 kwietnia 1992 Zachód — który nie lubi Jelcyna — przyznał mu kredyty. Przyznał mu je w szczególności Bush. Ale jak wiadomo uczucia to jedno, a interesy — drugie.

Jakie mianowicie interesy skłoniły amerykańskiego prezydenta do poparcia rosyjskiego kolegi? Przede wszystkim, a może wyłącznie, względy związane z amerykańską polityką wewnętrzną, tzn. kampanią wyborczą. Jeżeli spojrzymy na politykę logicznie (czego naturalnie nie należy robić), to narzuca się pytanie, dlaczego Amerykanie, którzy tak długo pomagali Gorbaczowowi, licząc na to, że uda mu się uratować Związek Sowiecki, teraz postanowili pomagać Jelcynowi w nadziei, że uda mu się ocalić Federację Rosyjską. Dziś Bush zgadza się na niepodległość Ukrainy, chociaż jeszcze w sierpniu 1991 r., już po tym, jak odmówił pieniędzy Gorbaczowowi, pojechał do Kijowa przekonywać Ukraińców, że powinni zostać w Związku. Dziś Tatarzy, Jakuci, Czeczeńcy i inne narody żądają niepodległości, jutro zechcą opuścić Federację Rosyjską, ale wielka siódemka postanowiła, że póki co trzeba ratować Rosję.

Richard Nixon, którego w Moskwie uważają za najmądrzejszego polityka, oświadczył, że nie należy „stracić Rosji", tak jak w 1949 r. „stracono Chiny". Były prezydent USA uważa, że jeśli Rosja nie wybierze demokracji, będzie stracona. Nixon nie ma oczywiście żadnej gwarancji, że Rosja wybierze demokrację, jeżeli dostanie miliardy. Nie tu miejsce na analizowanie, dlaczego Nixon albo Bush postępują tak, a nie inaczej. Dość powiedzieć, że przyznane 24 miliardy dolarów pomogły Jelcynowi.

Przede wszystkim udało mu się dopiąć tego, co nie udało się Gorbaczowowi: podpisał umowę o Federacji Rosyjskiej. Z dwudziestu autonomicznych republik podpisało ją osiemnaście. Odmówiły podpisania tylko Tatarstan i Czeczenia. W ostatniej chwili Jelcyn zdołał nakłonić do podpisania Baszkirostan (byłą Baszkirię). Tatarzy i Czeczeńcy nie zamierzają na razie opuszczać Federacji, ale chcą uzyskać większe prawa w trybie dwustronnych negocjacji z Moskwą.

Umowa federacyjna jest zwycięstwem Jelcyna. Jednak tekst umowy jest tak niejasny, dwuznaczny i pozwala na tak rozmaite interpretacje, że można bez ryzyka błędu powiedzieć, iż kłopoty Federacji dopiero się zaczną. Drugie zwycięstwo Jelcyna: umowę zatwierdził parlament, w którym znaczna część deputowanych jest wroga Jelcynowi. Zjazd jeszcze trwa, ale pierwszy jego wynik — polityczna zręczność Jelcyna — wiele osób wprawił w zdumienie. W przeddzień zjazdu zmiótł ze stanowiska wicepremiera Gennadijego Barbulisa, pozostawiając mu funkcję doradcy państwowego i koordynatora działalności rządu. Wicepremierowi Jegorowi Gajdarowi, który kieruje reformą gospodarczą, zabrał ministerstwo finansów; ze swojej osobistej kancelarii usunął powszechnie nielubianego Jurija Pietrowa, byłego sekretarza swierdłowskiego obwodowego komitetu partyjnego. W przeddzień zjazdu zwołał „zebranie obywateli Rosji" — pozaparlamentarne zgromadzenie swoich zwolenników. Właśnie tam, 5 kwietnia, sformułował kilka ważnych myśli. Po pierwsze, że trzeba wybrać między systemem „parlamentarnym" i „prezydenckim". Borys Jelcyn oświadczył, że Rosja zdoła wyjść z „fazy najstraszniejszych wstrząsów" tylko wtedy, jeśli na 2-3 lata zrezygnuje z parlamentu i wprowadzi władzę prezydencką. On w każdym razie — uprzedził — nie zgodzi się na pierwszy wariant. Druga myśl była następująca: naród rosyjski na pełne prawo do rozwijania swojej tożsamości narodowej niezależnie od tego, gdzie przebywają jego przedstawiciele. Po raz pierwszy Jelcyn sformułował to jasno i jednoznacznie: Rosjanie pozostają Rosjanami niezależnie od tego, w jakiej części byłego Związku Sowieckiego żyją. Wiceprezydent Ruckoj, który w przeddzień zjazdu odwiedził Naddniestrze, gdzie Rosjanie walczą z Mołdawańcami, posunął się znacznie dalej niż Jelcyn i nalegał na to, że Rosja ma prawo bronić swoich rodaków. Czternasta Armia, stacjonująca w Mołdawii a należąca do wojsk WNP, przeszła pod rozkazy prezydenta Rosji.

Jelcyn przejął wiele haseł „patriotów", oświadczył na zjeździe, że „Rosja była, jest i będzie jedna, niepodzielna i silna" i w ten sposób uzyskał *placet* na umowę federacyjną. Czeka go jednak druga część programu, reforma gospodarcza, która ma na zjeździe nie mniej przeciwników.

Obecną sytuację w Rosji charakteryzuje rozpad ruchu demokratycznego i tendencja do jednoczenia się przeciwników reform, których można nazwać „prawicowymi" równie dobrze jak „lewicowymi", bo marzy im się powrót do starych, dobrych komunistycznych

czasów. Nazywa się ich też neo-bolszewikami. Byłem ostatnio świadkiem konfliktów i rozłamu w szeregach demokratów. W Paryżu odbywało się kolokwium, zorganizowane przez Fundację Nauk Politycznych. Główne referaty wygłosiły trzy moskiewskie gwiazdy: akademik Tatiana Zasławska, Aleksander Cypko (niegdyś funkcjonariusz KC do spraw polskich, potem wicedyrektor jednego z instytutów Akademii Nauk, a dziś dyrektor ośrodka politologii Fundacji Gorbaczowa) i Ernest Amietistow, prawnik, zawsze lekko opozycyjny, obecnie członek Trybunału Konstytucyjnego Rosji. Cała trójka ze wszech sił popierała Gorbaczowa i *pieriestrojkę*. Dziś Tatiana Zasławska odsunęła się od polityki, za to dwaj pozostali moskiewscy goście uczestniczą w niej z największym zapałem, ale teraz stoją na przeciwległych krańcach ruchu demokratycznego. Po jednym z pojedynków słownych Aleksander Cypko słusznie powiedział: nasze konflikty wynikają z faktu, że ja znajduję się w obozie byłego wodza, a ty wodza obecnego.

Tematem kolokwium była „przyszłość państwa rosyjskiego" i dlatego przedmiotem sporu była polityka Gorbaczowa, który bronił trwałości Związku Sowieckiego (zmienionego, demokratycznego — ale Związku) i plan Jelcyna, który pragnął, aby Rosja opuściła Związek, co tym samym skazywało go na rozpad. Ernest Amietistow bronił pozycji Jelcyna, Cypko — Gorbaczowa. Prawnik pokładał nadzieje w zdrowym rozumie autonomicznych części składowych Rosji i w więzach ekonomicznych, politolog mówił, że przeciwnicy Gorbaczowa w ogóle nie rozumieją, jakie będą skutki rozpadu Związku. W dalszej perspektywie przewidywał nieuchronny rozpad Rosji, którą odetną od Europy i przygwożdżą do Azji dwa mury: po pierwsze byłe kraje socjalistyczne, po drugie ewentualna (a zdaniem Cypki możliwa) koalicja Ukrainy, Białorusi, krajów bałtyckich i Polski. Na dowód mówca wspomniał o tajnym porozumieniu między ministrami spraw zagranicznych Polski i Białorusi o budowie kolei żelaznej między Mińskiem i Gdynią.

Zostawmy na razie w spokoju przyszłość. Dość powiedzieć, że przeszłość i teraźniejszość są rzeczywiście bardzo podobne. Mam na myśli okoliczności rozpadu Związku Sowieckiego i obecne kłopoty Jelcyna. 21 września 1990 roku na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR Michaił Gorbaczow poprosił o przyznanie mu nadzwyczajnych pełnomocnictw celem przeprowadzenia reform. Miał już niezliczone pełnomocnictwa, ogromną władzę — ale wszystkiego było mu mało, wciąż uważał, że nie ma dość władzy. Rada Najwyższa podyskutowała i ogromną większością głosów — 305 za, 36 przeciw, 41 wstrzymujących się — udzieliła mu żądanych pełnomocnictw na 500 dni — do końca kwietnia 1992 roku. Jak wiadomo, kariera Gorbaczowa-prezydenta skończyła się 8 grudnia 1991 r., kiedy Jelcyn, Krawczuk i Szuszkiewicz postanowili zlikwidować Związek Sowiecki. W kwietniu 1992 r. Borys Jelcyn poprosił zjazd deputowanych ludowych Rosji, aby zatwierdził jego nadzwyczajne pełnomocnictwa. W szczególności mówił o tym, że należy chwilowo zjedno-

czyć w jego ręku uprawnienia prezydenta i premiera (ponadto jest też ministrem obrony). Zjazd ograniczył okres sprawowania dwóch funkcji (prezydenta i premiera) do trzech miesięcy.

Nasuwa się pytanie: dlaczego sowieckim przywódcom — i Gorbaczowowi, i Jelcynowi — wciąż jest za mało władzy? Najprostsza odpowiedź na to pytanie jest znana: bo do przeprowadzenia radykalnych reform potrzebna jest silna władza. Nie jest to odpowiedź zadowalająca, bo na pierwszy rzut oka Gorbaczow miał, a Jelcyn ma władzę ogromną. Pełna odpowiedź brzmi: bo ich władza sprowadza się do wierzchołka, do centrum, nie ma natomiast instancji, które zapewniłyby realizację władzy w terenie. Problem władzy jest po rozpadzie Związku Sowieckiego głównym problemem, przede wszystkim jednak dla Rosji. W innych byłych republikach sowieckich stara struktura władzy (to dotyczy także Nadbałtyki) zachowała się znacznie lepiej. Władza w Rosji rozpadła się — paradoksalnie — znacznie bardziej aniżeli w innych rejonach.

Sytuację w Rosji charakteryzuje nie brak władzy w ogóle, lecz silne osłabienie władzy centralnej i starych struktur. Dawna maszyna rozpadła się. Przede wszystkim zniknęła partia komunistyczna, tzn. jej aparat — szkielet władzy w ZSSR. Następnie stanęły administracyjne ogniwa władzy. W lipcu 1991 r., po wyborze Borysa Jelcyna na prezydenta Rosji, zreformowano system rad. *Sowiety* pozostały organem ustawodawczym, ale głową terenowej władzy wykonawczej został wybierany w powszechnych wyborach przewodniczący (w dużych miastach burmistrz). Teoretycznie przewodniczący powinien współpracować z *sowietem*, w praktyce jest on instrumentem polityki prezydenta Rosji. Ponieważ *sowiety* władzy oddawać nie chciały — nie darmo pamiętały hasło „cała władza w ręce rad!" — Jelcyn dorzucił jeszcze jedno ogniwo — osobistych namiestników prezydenta, mających w terenie „koordynować". Jest to tylko bardzo pobieżny szkic chaosu administracyjnego w ZSSR.

„Wielki kombinator" Ostap Bender dobrze wiedział, że w stalinowskim państwie muszą istnieć milionerzy (nielegalni), bo skoro po kraju krążą banknoty, to ktoś musi je zbierać. Ponieważ w Rosji nie nastała anarchia (panuje zwyczajny bałagan), to znaczy że ktoś sprawuje władzę. Źle bo źle, ale fabryki przecież pracują, koleje jeżdżą, sklepy coś sprzedają itd.

Władza skupia się dziś w ośrodkach, które sowieccy (postsowieccy) socjologowie nazywają grupami nacisku. Należą do nich związki zawodowe, Cerkiew, środki informacji. Najpotężniejszą grupę nacisku stanowi kompleks wojskowo-przemysłowy (WPK), który jednak słabnie wraz z rozdrobnieniem sił zbrojnych i redukcją zbrojeń, a w ślad za nią spadkiem produkcji wojskowej. Krzepną natomiast wielkie korporacje finansowo-handlowe (banki, giełdy, związki przedsiębiorców, zjednoczenia naukowo-przemysłowe związane z produkcją towarów tzw. strategicznych i deficytowych). Grupy te rosną, rozszerzają swoje wpływy i stopniowo zagarniają aparat państwowy, frakcje parlamentarne i partie.

Główną różnicę między starym systemem i nowym można ująć w następującą formułę: dawniej władza dawała pieniądze (przywileje), dziś pieniądze dają władzę. To wszyscy rozumieją. Dlatego los finansów partii (które zniknęły jak kamfora) tak interesuje opinię publiczną. Partia komunistyczna przestała istnieć i wraz z nią przepadł ogromny kapitał, nagromadzony przez lata jej nieograniczonej władzy nad krajem. Michaił Gorbaczow w wywiadzie dla *Komsomolskiej prawdy* zrobił dziwne wyznanie: po XXVIII zjeździe (1991 r.) „zaczęliśmy inwestować pieniądze w struktury handlowe" (29. 2. 92). Dziwny był nie sam fakt — tego wszyscy się domyślali — ale wyznanie. Gorbaczow musiał przyznać, bo istnieje mnóstwo dowodów i toczy się śledztwo. Nikt oczywiście nie wie, czy zostanie doprowadzone do końca. Odnotowałem w swoim czasie samobójstwo trzech pracowników KC KPZS, którzy zarządzali finansami partii. Cała trójka jak jeden mąż wypadła z okna: jeden z szóstego piętra, drugi z ósmego, trzeci z dwunastego. Mówiło się zresztą, że pierwszy „wypadnięty", Nikołaj Kruczina, cieszył się fenomenalną pamięcią i znał na pamięć wszystkie numery kont w bankach zagranicznych, w których spoczywały partyjne pieniądze. Pamięć musiał mieć doprawdy fantastyczną, bo zdaniem specjalistów KPZS miała (ma?) nie mniej niż siedem tysięcy kont w różnych zagranicznych bankach, w których spoczywało nie mniej niż 20 mld dolarów.

Telewizja moskiewska pokazała kilka audycji poświęconych partyjnemu skarbowi, którego wszyscy szukają. Przedstawiciel komisji Rady Najwyższej Rosji, która bada sprawę, mówił — co wydało mi się szczególnie ciekawe — o aktach pułkownika KGB Wiesiołowskiego, który do likwidacji partii pracował w wydziale administracyjnym KPZS. W raporcie dla sekretariatu KC pisał, że jawne zasoby pieniężne KPZS, odnotowane w dokumentach finansowych, mogą być inwestowane wyłącznie w przedsięwzięcia publiczne, społeczne i charytatywne, co utrudni ich konfiskatę... O pieniądzach złożonych na tajnych kontach albo pułkownik nie pisał, albo deputowany ludowy nie chciał wspominać. Natomiast możliwości wykorzystania dziś tajnego majątku są ogromne. Francuski dziennikarz Eric Laurent w książce „Upadek. Tajna historia upadku Gorbaczowa 1989-1991", opartej na niezmiernie ciekawych dokumentach, wspomina nie bardzo dawny przyjazd do Moskwy delegacji solidnych brytyjskich bankierów, którzy reprezentowali kogoś nie mniej solidnego, ten zaś z kolei proponował, że gotów jest kupić za dolary ogromną masę sowieckich rubli. Eric Laurent pisze, że chętnymi nabywcami rubli był kartel z Meddelina. Handlarze narkotykami chcieli włożyć dochody z handlu narkotykami w po-sowiecką gospodarkę. Czy transakcja doszła do skutku czy nie — jeszcze nie wiadomo.

Podsumowując można powiedzieć, że władza należy do grup nacisku, które mogą inwestować w przedsiębiorstwa, banki, giełdy, partie polityczne i *mass-media*. Pieniądze są różne: komunistyczne,

zarobione w operacjach handlowych i wszelkimi innymi sposobami, jakimi można dojść do pieniędzy. Im więcej chce się władzy, tym więcej potrzeba pieniędzy.

Widziałem niedawno proste obliczenie. Każde nowe niezawisłe (post-sowieckie) państwo zechce oczywiście wymienić placówki dyplomatyczne z byłymi „braćmi". Rosja zechce mieć poselstwo na Ukrainie, w Mołdawii, Gruzji itd. Mołdawia — w Rosji, Turkmenii itd. Mnożąc 15 przez 14 uzyskujemy 210 poselstw wewnątrz byłego Związku Sowieckiego. Należy do nich dodać przedstawicielstwa handlowe. Każda z 15-tu republik zechce też nawiązać stosunki dyplomatyczne chociażby z 50-cioma najważniejszymi i najprzyjemniejszymi (pod względem klimatu i in.) krajami: da to 750 ambasad... A potem ONZ, UNESCO, Komitet Olimpijski... Krótko mówiąc — trzeba pieniędzy! Władzy i pieniędzy, pieniędzy i władzy. Dużo zmartwień, a tu jeszcze ten i ów wierci się pod nogami, gada coś o reformie ekonomicznej, o ciężkim życiu ludności...

12.4.1992

Adam KRUCZEK

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Kronika kulturalna

Dostojewski teraz

Dostojewski teraz, po upadku komunizmu w Rosji, jest kim innym niż był w ciągu siedmiu dziesięcioleci. Bo pisarze przeszłości podróżują z nami poprzez dziejowe zawiłości będące udziałem żywych i są co raz to inaczej odczytywani. Dostojewski jest kim innym dla Rosjan, ale bynajmniej nie tylko dla nich. Twierdzę, że musi się też zmienić jego ocena u zachodnich badaczy literatury.

Harold Bloom w swoich pracach o poezji wprowadził pojęcie mylnego odczytania, *misreading*. Według niego każdy poeta terminuje u swoich poprzedników, niejako odbijając się od tych, których uważa za swoich mistrzów, biorąc od nich to, co mu potrzebne, ale zawsze wypaczając sens ich tekstów, czyli poddając je swojej własnej przeróbce, innymi słowy mylnie je odczytując i to twórcze *misreading* staje się napędem ruchu w literaturze. Jeżeli tak jest, to dzieło każdego wielkiego pisarza, nie tylko poety, będzie dostatecznie bogate, żeby dopuszczać wielką ilość podobnych dowolnych odczytań.

Mieć takiego pisarza jak Dostojewski było dla Rosji komunistycznej nie lada kłopotem. Nie mógł być po prostu odrzucony, bo razem z Tołstojem reprezentował geniusz rosyjskiej prozy i geniusz literackiego Petersburga, linię wyznaczoną trzema nazwiskami, Puszkina, Gogola i Dostojewskiego. Zarazem nie mógł ulegać wątpliwości kontrrewolucyjny wydźwięk jego utworów. Należało tedy ograniczyć możliwe szkody w dwojaki sposób. Po pierwsze, przez politykę wydawniczą, tak że część jego twórczości stała się trudno dostępna dla przeciętnych czytelników, zwłaszcza dla młodzieży. Po drugie, przez właściwe, z punktu widzenia doktryny, „ustawienie" i odjęcie w ten sposób niebezpiecznemu myślicielowi jego jadu. To ostatnie zadanie zostało powierzone środowiskom uniwersyteckim, które bardzo się starały, choć nie zawsze z zadowalającymi wynikami. Dzieje

tych prób adaptacji Dostojewskiego do potrzeb totalitarnego państwa zostaną na pewno napisane. Zarazem jednak w kołach specjalistów, jak też w ogóle w niektórych kołach inteligencji, przetrwała i rozwijała się ezoteryczna wiedza o Dostojewskim, z pełnym dostępem do jego dzieł zebranych i monumentalnymi publikacjami, zwłaszcza w okresie postalinowskiej odwilży, jak na przykład niewydane dotychczas diariusze pisarza. Odbywało się też podziemne oddziaływanie jego dzieła na niektórych powieściopisarzy i poetów.

Oficjalnie uznani badacze biografii i dzieła Dostojewskiego, poza zbyt oczywistymi koncesjami na rzecz marksizmu, wnieśli niemało cennych materiałów. Dotyczy to zwłaszcza genealogii jego rodziny oraz lat jego młodości i kółka „Pietraszewców" w Petersburgu, do którego należał, jak też jego głębszego niż dotychczas sądzono zaangażowania rewolucyjnego wskutek przyjaźni z radykalnym ateistą i proto-marksistą Spieszniewem, pierwowzorem (częściowo) postaci Stawrogina. Pod względem odkrywczości interpretacyjnej najbardziej jednak płodni okazali się kontynuatorzy kultu Dostojewskiego spośród przedwojennej inteligencji, dokładający starań, żeby ukochanego przez nich autora wybronić i wykazać, jeżeli nie jego pożyteczność, to przynajmniej nieszkodliwość.

Przewidywanie rewolucji w Rosji i negatywna jej ocena jako prawdopodobnego wyniku przyjęcia przez inteligencję idei zachodnich, ateizmu i socjalizmu, najdobitniej występuje w publicystyce *Dziennika pisarza* oraz w powieści *Biesy*. Nie zapominajmy, że mottem tej powieści jest przypowieść z Ewangelii o człowieku opętanym, zamieszkałym przez legion złych duchów. Tym człowiekiem jest nie tyle Rosja, ile inteligencja rosyjska. *Biesy*, na przykładzie dwóch pokoleń inteligencji, Wierchowienskiego ojca i syna, dają kronikę stopniowej przemiany mentalności tej inteligencji, od nieokreślonych tęsknot liberałów w okolicach roku 1848 poprzez radykalizację lat 1860-tych do planowej akcji rewolucyjnej początku lat 1870-tych, którą propaguje demoniczny nihilista Wierchowienski junior. W prowincjonalnym mieście organizuje on niejako prapremierę rewolucji, mającej ogarnąć następnie cały kraj. Ponieważ cel najwyższy, tj. rewolucja, wymaga odrzucenia tradycyjnej moralności i użycia wszelkich środków, jeżeli są skuteczne, posługuje się kłamstwem i morderstwem.

Kiedy *Biesy* ukazały się w 1872 roku, postępowa inteligencja uznała książkę za paszkwil, za dalszy ciąg złośliwej kampanii autora przeciwko ideom uwielbianego przez nią Czernyszewskiego, np. w *Zapiskach z podziemia*. Jednakże w ciągu następnych dziesięcioleci skrzydło tej inteligencji otwarcie opowiadające

się za obaleniem ustroju przez zdyscyplinowaną partię zawodowych rewolucjonistów zaczyna rozpoznawać w *Biesach* swój portret i na działania Wierchowienskiego juniora nie reaguje już moralnym oburzeniem, ale pytaniem: „Dlaczego by nie?" O tym zmienionym stanowisku, zwłaszcza bolszewików, świadczy wypowiedź Łunaczarskiego już po rewolucji, w 1920 roku, kiedy był komisarzem oświaty. Według niego Dostojewski zasługuje na podziw jako prorok, ponieważ w *Biesach* pokazał „nas", tj. ludzi gotowych wszystko poświęcić w służbie doskonałego ustroju przyszłości.

Tego rodzaju interpretacja zbyt oczywiście kłóciła się z chrześcijańską moralistyką powieści, żeby mogła być długo utrzymana. *Biesy* zostały uznane za dzieło kontrrewolucyjne i brak ponownych wydań skazał je, podobnie jak publicystykę Dostojewskiego, na zniknięcie ze świadomości czytelników.

Spośród książek rosyjskich dostojewskologów największy rozgłos za granicą zyskały *Problemy poetyki Dostojewskiego* pióra Michaiła Bachtina. Pierwsze wydanie ukazało się w r. 1929, po czym jego autor, objęty polityczną klątwą, zamilkł, i dopiero nieprędko, w 1963 roku, mogło ukazać się nowe wydanie, a wkrótce i inne pisma tego znakomitego badacza. Bachtin stał się znany na Zachodzie dopiero w latach 1970-tych i zaczął wywierać wielki wpływ na całą dziedzinę badań literackich. Otóż Bachtina należy niewątpliwie zaliczyć do starej inteligencji przechowującej ezoteryczną wiedzę o swoim ulubionym pisarzu. Jego książka o technice narracji Dostojewskiego jest wybitna i słusznie przywiązuje się do niej tak duże znaczenie. Do niektórych jej tez zbliżone są rozdziały o „psychoanalizie egzystencjalnej" w dziele Jean-Paul Sartre'a *L'être et le néant*, choć Sartre, pisząc te stronice podczas drugiej wojny światowej, zapewne o Bachtinie nie słyszał.

Jak wiadomo, Bachtin uważa Dostojewskiego za wynalazcę powieści polifonicznej. Podczas gdy w dotychczasowej powieści autor poruszał swoimi postaciami niby figurami na szachownicy, sprawując nad nimi kontrolę, tak że jego światopogląd był obecny w ich zachowaniach się i słowach, powieść polifoniczna polega na puszczeniu wolno postaci, z których każda wchodzi w stosunki z innymi postaciami na zasadzie własnej logiki, nie przewidywanej z góry przez autora, czyli zyskuje autonomię, a w ten sposób żadna nie staje się autorskim *porte parole*. Pomysł ten, bardzo interesujący, niezbyt przekonuje jeżeli bliżej przyjrzeć się jego zastosowaniu. Na przykład polifonia *Braci Karamazow* słusznie została podana w wątpliwość przez niektórych krytyków. Bo choć Iwan Karamazow jest tak potężnym umysłem, że jego poemat, „Legendę o Wielkim Inkwizytorze", niektórzy (Lew Szestow) uważali za wyraz poglądów samego Dosto-

jewskiego czyli jego niewiary, trudno powiedzieć, że występuje on jako jeden z elementów dialektycznej całości utrzymanej w stanie równowagi. Nie tylko przeciwstawiona jest mu czystość Alioszy i żywot świątobliwego starca Zosimy, ale sam Iwan jest poddany kompromitacji jako rzeczywisty sprawca ojcobójstwa ręką Smierdiakowa. Moralistyczna, chrześcijańska intencja autora jest wyraźna, mimo że autor stosuje swoją zwykłą metodę, określaną przez niego samego jako „kupowanie drogo swojej wiary", czyli dawanie możliwie dużo argumentów ateizmowi.

Moim zdaniem wolno podejrzewać w teorii polifonii chęć oddzielenia twórczości Dostojewskiego od jego publicystyki, a przez to uratowanie jego powieści od politycznych podejrzeń. Reakcjonista, tym bardziej niebezpieczny, że znający swoich przeciwników niejako od środka dzięki swojej rewolucyjnej młodości, ukazuje się jako ktoś zupełnie inny, kiedy tylko wciąga go sama technika narracji. Zmienia się wtedy, bo wkładane łopatą do głowy polityczne tezy jego dziennikarstwa zostają przeniesione w inny wymiar, zaopatrzone innym znakiem. Nawet zdawałoby się najbardziej zbliżone do politycznego pamfletu *Biesy* operują zasadą ciągłej kompromitacji, ciągłego podgryzania tego, co dla autora jest najświętsze. Podgryzana jest nacjonalistyczna wiara Szatowa w świętą Rosję — zresztą nosi on nazwisko znaczące, od *szatatsia*, chwiać się, obijać się. Ale i nawrócenie, wyzwolenie inteligencji spod władzy legionu złych duchów, symbolicznie pokazane przez ucieczkę Wierchowienskiego-ojca w Rosję i spotkanie wędrownej sprzedawczyni tomików Ewangelii, imieniem Sophia (też imię znaczące!) — jest skompromitowane, bo przecie stary Wierchowienski jest postacią komiczną, ciągle kłamiącą sobie. Tym niemniej, twierdzę, zapominając o filozoficznej i politycznej orientacji Dostojewskiego, wyrażanej w jego publicystyce, dziennikach i listach, zubożamy jego dzieło i obracamy się przeciw jego intencjom.

Recepcja Dostojewskiego w krajach Zachodu musiała być oczywiście inna niż w Rosji. Występował tam przede wszystkim jako autor *Zbrodni i kary, Idioty* i *Braci Karamazow*, wielkich dzieł analizy psychologicznej, których ogólnoludzkie znaczenie wyglądało na związane z Rosją niemal przypadkowo. Był bardziej popularny w Ameryce niż inni powieściopisarze dziewiętnastego wieku znani w tłumaczeniach, niż Balzac czy Flaubert. Jak opowiadał mi profesor Proffer z Ann Arbor, studenci przerabiający *Zbrodnię i karę* mogli nabyć rodzaj bryku, składającego się ze streszczenia powieści oraz nagranego na taśmie głosu psychoanalityka, nb. z silnym akcentem niemieckim, jak przystoi freudyście z Nowego Jorku. Co prawda freudyzm miał wkrótce ustąpić miejsca analizie strukturalnej i wtedy Bachtin, jako poprzednik francuskiego strukturalizmu, stał się niemal zawołaniem. Można podejrzewać, że poza rzeczywistymi zaletami jego badań, jego teoria powieści polifonicznej trafiała w pewne skłonności amerykańskich intelektualistów. Nie byli oni nigdy zadowoleni dowiadując się, że pisarz o niezrównanej głębi spojrzenia był reakcjonistą i być może antysemitą, zapytywali więc siebie z niepokojem, jak to możliwe. Ustalenie kanonu, w skład którego wchodziły jedynie dzieła *fiction* i niejako wzięcie w nawias Dostojewskiego-kaznodziei i polemisty, częściowo przynajmniej dostarczało rozwiązania. Dodajmy, że spośród dwóch wielkich orientacji myśli rosyjskiej dziewiętnastego wieku, zapadników i słowianofilów, ci drudzy nie cieszyli się na Zachodzie sympatią i już same słowianofilskie akcenty u pisarza wystarczyłyby, żeby zniechęcić do niego jako politycznego myśliciela, nie mówiąc już o jego własnym mesjanizmie: wróżył przecie ostateczną dekadencję zachodniej Europie, której Rosja będzie musiała przynieść prawdziwe chrześcijaństwo. Mesjanizm zdaje się być stałą pokusą Słowian, zarówno Rosjan jak Polaków.

Dzisiaj jednak powstała sytuacja, w której podział na dwóch Dostojewskich trudno będzie utrzymać. Znikła tama wzniesiona z różnych powodów w Rosji, jak również na Zachodzie. Dostojewski staje się znów ważnym głosem w debacie o powołaniu i przyszłości Rosji. Nie jest może istotne, że odradzający się ruch nacjonalistyczno-autorytarny potrafi umieścić go na sztandarze. Zbyt złożony i zbyt wielokształtny, niezbyt nadaje się do przewodzenia prymitywnej, bądź co bądź, ideologii. Ale starając się dociec, jak doszło w Rosji do komunizmu, jaka, w przeszłości i teraz, jest rola prawosławia, na ile trafne były intuicje słowianofilów, poważnie myślący Rosjanie nie będą mogli przejść po prostu obok walki, toczonej przez Dostojewskiego przeciwko tym tendencjom, które ukształtowały Lenina.

Moim zdaniem Dostojewski miał jeden tylko wielki romans w życiu, z Rosją, i ta namiętność wymagałaby swoistej psychoanalizy. Była to miłość pełna niepokoju i nie przesadzimy, utrzymując, że był w nim ogromny *strach przyszłości*, lęk przed tym, co przyszłość niesie Rosji. Zasadnicze problemy jego pisarstwa, które, kiedy zostało odkryte na Zachodzie, rozpoznano jako problemy nowoczesnego człowieka, gdziekolwiek mieszka i jakimkolwiek mówi językiem, pojawiły się u niego w wyniku analizy mentalności rosyjskiej inteligencji — samoanalizy, ponieważ sam był takim inteligentem, i były formułowane w zamiarze polemicznym. Jego pierwsza podróż za granicę, w 1862 roku, czego owocem były *Zimowe zapiski po letnich wrażeniach*, oddziałała na niego potężnie, wyrabiając przekonanie, że zachodnia nauka i technika prowadzą ludzkość ku jakiejś apokalipsie i że jeżeli tak ma wyglądać wiek dwudziesty, to biada naszemu gatunkowi. Dość czytać jego opis Londynu, w którym uczucie

horroru na widok nędzy klas upośledzonych przewyższa nawet horror Karola Marksa, żeby zrozumieć, dlaczego ten patriota szukał dla Rosji innej drogi niż droga zachodnia i dlaczego był przeciwny importowi z Zachodu zarówno tzw. „światopoglądu naukowego", jak władzy pieniądza. Uświadomienie sobie wagi „przeklętych problemów" egzystencjalnych nie nastąpiło u niego przy zamknięciu się w środowisku czysto rosyjskim, bez konfrontacji z tym, co dzieje się na zewnątz. Tym niemniej jego inteligenccy bohaterowie-rezonerzy zbyt wyraźnie są częścią intelektualnej historii Rosji, żeby całkowicie poprawne było przebieranie ich w kostium międzynarodowy.

Święta Rosja wierna prawosławiu, Rosja dzwonów cerkiewnych, którą jeszcze w początkach stulecia wielbił Rainer Maria Rilke — tę Rosję, przede wszystkim mas chłopskich, idealizował Dostojewski, wbrew swoim krytykom spośród postępowców, którzy, jak na przykład Michałowski, posuwali się tak daleko, że każdego rosyjskiego chłopa uważali za „żywiołowego ateistę". Zdolny przewidzieć konsekwencje przyjęcia przez inteligencję „światopoglądu naukowego" — patrz *Biesy* — Dostojewski podtrzymywał w sobie nadzieję, że święta Rosja oprze się swoim wrogom, zarówno wewnętrznym jak zewnętrznym.

Na zachód od Rosji przebiegała granica pomiędzy chrześcijaństwem wziętym z Bizancjum i chrześcijaństwem rzymskim. Katolicyzm ukazywał się Dostojewskiemu jako źródło wszelkiego zła, ateizmu i socjalizmu. Mówi się o postaciach Żydów w jego powieściach. Jednakże imperium rosyjskie nie miało Żydów, aż do zabrania dużych połaci Rzeczypospolitej w osiemnastym wieku, a i wtedy zakaz pobytu został utrzymany w ten sposób, że utworzono „strefę osiedlenia" poza Rosją właściwą, na Ukrainie i na Białorusi. Jedynie stopniowo, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, zaczynają osiedlać się w miastach rosyjskich Żydzi, przeważnie zamożni kupcy. Na wiek dojrzały Dostojewskiego przypada początek tego procesu i, sądząc po jego powieściach, ich obecność zaznacza się dość słabo, a antysemityzm nie znalazłby w jego dziełach dużo pożywki. Akcenty Żydom niechętne są niczym w porównaniu z prawdziwą nienawiścią, jaką darzy katolików, w pierwszym rzędzie Polaków, następnie Francuzów.

Wykładając Dostojewskiego, czerpałem perwersyjną przyjemność z faktu, że należę do kategorii ludzi, których specjalnie nie znosił, i nawet widziałem w tym pewną korzyść, w sensie łatwiejszego zrozumienia niektórych z jego motywów. Na dodatek pochodzę z tego samego Wielkiego Księtwa Litewskiego, z którego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wywodziła się rodzina nazwana od dóbr Dostojewo koło Pińska, nadanych w szesnastym wieku. Było to pogranicze dwóch religii, prawosławia

i katolicyzmu. Jedna gałąź rodziny popełniła — z perspektywy powieściopisarza — podwójną zdradę oderwania się od ludu: zarzuciła prawosławie na rzecz katolicyzmu i ludowy dialekt wchodniosłowiański na rzecz polskiego. Choć i z bezpośrednimi przodkami nie było całkiem dobrze: rodzony dziadek Dostojewskiego był duchownym, ale nie prawosławnym, tylko greckokatolickim.

Tak więc pogranicze prawosławia i katolicyzmu wiele tłumaczy, ale bezpośrednie zetknięcie się z Polakami, współwięźniami w Omsku, tłumaczy więcej. Byli to ludzie wykształceni, pochodzenia szlacheckiego, zesłani za udział w spisku księdza Ściegiennego w 1846 roku. Według profesora Józefa Franka, którego kilkutomowa monografia pisarza jest nieprześcignionym osiągnięciem amerykańskiej dostojewskologii, poważny i głęboki konflikt ideologiczny z Polakami w twierdzy — jedynymi ludźmi, z którymi młody inteligent mógł naprawdę rozmawiać — przesądził o zmianie rewolucjonisty w konserwatystę i rosyjskiego nacjonalistę. Konflikt ten nie dotyczył cech charakteru; *Zapiski z domu umarłych* są jedyną książką Dostojewskiego, w której Polacy są traktowani z szacunkiem. Co do samych współwięźniów, to zostawili oni wspomnienia (patrz Wacława Lednickiego *Poland, Russia and the West*) i portret Dostojewskiego-ideologa nie wypada u nich pochlebnie. Dziwią się, że człowiek zesłany za swoje rewolucyjne przekonania nie ma w sobie nic z demokraty, że pochwala ustrój autorytarny i imperialną misję Rosji. Jak się zdaje, sednem sporu był stosunek Dostojewskiego do współwięźniów-kryminalistów. Przez swoją pokorę, zgodę na swoją kondycję grzeszników, uosobiali oni dla niego żywe siły rosyjskiego ludu i jego chrześcijaństwo. Natomiast Polacy, więźniowie polityczni, nie uznawali władzy cara, nie poczuwali się do żadnej winy i w ten sposób byli winni pychy.

Dlaczego jednak Dostojewski miał połączyć katolicyzm, ateizm i socjalizm w jedno trójdzielne zło? Zaważyły tutaj poglądy słowianofilów na chrześcijaństwo wschodnie. Podkreślali oni *sobornost*, to znaczy wspólnotowy charakter wiary we wschodnim Kościele, w przeciwieństwie do hierarchicznej struktury Kościoła rzymskiego. Również, ich zdaniem, Kościół wschodni opierał się na liturgii, modlitwie i uczuciu mistycznym, natomiast Kościół rzymski był zarażony racjonalizmem i wskutek budowania sylogizmów dokoła dogmatów prowokował rozum, stając się wylęgarnią ateistów. Z kolei ateizm nieuniknienie prowadził do socjalizmu, bo człowiek bez Boga chce wziąć zbawienie ludzkości w swoje ręce i w tym prometejskim zamiarze zamiast Boga-człowieka musi czcić Człowieka-boga.

Filozofia Dostojewskiego nie zasługuje na to, żeby ją trak-

tować jako wybaczalną aberrację wielkiego twórcy. Niektóre jego poglądy mogą drażnić albo nawet śmieszyć, jako całość stanowią jednak poważną próbę oceny sytuacji duchowej człowieka w chwili odpływu wiary religijnej i postępów tzw. „światopoglądu naukowego". Pod względem przenikliwości w ogarnięciu rozmiarów kryzysu, może on być porównany tylko z Fryderykiem Nietzschem. Wolno oczywiście dziwić się, dlaczego w zacofanej Rosji pojawiła się tak nowoczesna problematyka, jednakże wyjaśnia to dostatecznie historia Rosji. Idee rozwijające się w zachodniej Europie, co najmniej od siedemnastego wieku, trafiły do Rosji późno i nagle, w zbitce czasowej, zyskując ogromną siłę sprawczą. Te idee, na przykład deizm i ateizm, pojawiły się na Zachodzie w dobrze funkcjonujących społeczeństwach, które po każdej rewolucji szybko wracały do równowagi, sprzedając i kupując, podczas gdy w Rosji brakło po prostu przeciwciał zdolnych neutralizować działanie pomysłów skrajnych.

Rewolucja rosyjska była dotychczas wszędzie tłumaczona, nie bez wpływu doktryny marksistowskiej, jako wynik stosunków społecznych, ekonomii itd. Zważywszy jednak, że wylęgła się w głowach inteligencji i że zdobycie władzy przez bolszewików stało się możliwe dzięki przyzwalającej postawie oświeconych, uzasadnione jest pytanie, na ile prorocze były diagnozy Dostojewskiego. W roku 1908 ukazał się zbiór esejów pt. *Wiechi*, którego autorzy występowali jako spadkobiercy autora *Biesów*, obficie się na niego powołując. Zbiór ten, atakujący inteligencję, wywołał wściekłość tzw. kół postępowych, czyli większości. Ci sami mniej więcej autorzy (wśród nich Nikołaj Bierdiajew i Sergiusz Bułgakow) wydali w 1918 drugi zbiór, *Iz głubiny*, w którym zajmowali się spełnieniem się ich przepowiedni. Rewolucja rosyjska była dla nich zjawiskiem raczej metafizycznym niż społecznym oraz nieuniknionym następstwem pewnych zastarzałych inteligenckich sposobów myślenia, przede wszystkim padania plackiem przed wszystkim, co było zaopatrzone przymiotnikami „naukowy" i „socjalistyczny".

Szczególnie sprzężenie ideologii rewolucyjnej z zacofaniem gospodarczym i ustrojem autokratycznym sprawia, że nie jest łatwo oddzielić rzeczywiste przyczyny rewolucji od urojonych. Nie jest też łatwo oddzielić w myśli Dostojewskiego prawdziwe intuicje i proroctwa od przesądów szowinisty. W każdym razie teraz, kiedy pada pytanie „dlaczego?", krytyka inteligencji podjęta przez *Wiechi* i *Iz głubiny* zachowuje pełną aktualność. Obie te książki należały w Związku Sowieckim do tak ścisłych prohibitów, że prawie nikomu nie były znane. Można przewidzieć, że w najbliższych latach będą przedmiotem licznych rozpraw i dyskusji.

Próbując zamknąć w jednej formule walkę Dostojewskiego, wypada powiedzieć po prostu, że zmagał się on z utratą wiary religijnej u warstw wykształconych — i w samym sobie. Literatura rosyjska posiada dwa utwory o sile równej niemal przypowieściom z Ewangelii, którym podobnych żadna inna literatura nie wydała. Treścią tych dwóch utworów jest człowiek wobec czystego zła. Jeden to „Legenda o Wielkim Inkwizytorze" Dostojewskiego. Drugi to przypowieść o Antychryście, napisana w 1899 roku przez Władimira Sołowiowa, który znał Dostojewskiego w młodości i nawet, jeżeli wierzyć literackiej legendzie, posłużył za model postaci Alioszy w *Braciach Karamazow*. „Legenda", poemat Iwana w tejże powieści, zajmuje się wielkim „jeżeli". Jeżeli Jezus pomylił się apelując do wolności człowieka i do jego wyższego powołania, jeżeli ziemia cierpień i śmierci jest poddana ścisłemu determinizmowi czyli rządom Księcia Tego Świata, jak powinien postąpić człowiek, który współczuje ludziom i chce dać im tyle szczęścia, ile możliwe? Powinien współpracować z Księciem Tego Świata, bo tak tylko, to jest posługując się prawami przyczyny i skutku, zbuduje społeczeństwo jeżeli nie dokonałe, to bardziej realne niż niemożliwe Królestwo Boże. To właśnie wybiera Wielki Inkwizytor, kłamie ludziom i godzi się przyjąć cierpienie wiedzy o swoim kłamstwie. Sołowiowa przypowieść o Antychryście (umieszczona w jego ostatniej książce, *Tri rozgowora*, 1900) jest niejako dalszym ciągiem tego samego tematu: są to dzieje człowieka, który działa z najbardziej altruistycznych pobudek, ale tworzy zło. Akcja toczy się w dwudziestym pierwszym wieku. Szlachetny reformator, występujący w imię pokoju na całej ziemi, rzeczywiście przynosi pokój i dobrobyt całej ludzkości. Początkowo nie wie sam, że jest Antychrystem. Wybrany cesarzem wszystkich narodów, pokazuje kim jest naprawdę. I Wielki Inkwizytor i Cesarz Ziemi są przykładem, jak łatwo zwodzi nas na manowce miłość człowieka. Nikołaj Bierdiajew widział jako główną cechę Iwana Karamazowa (a też jego bohatera, Wielkiego Inkwizytora) *łożnuju czustwitielnost* — kłamliwą uczuciowość. Ta kłamliwa miłość człowieka wiele wyjaśnia w rewolucji bolszewików. A Dostojewski mógł jej skutki przeczuć, bo sam nie był wolny od owej *łożnoj czustwitielnosti*.

Czesław MIŁOSZ

Nicola: profil włoskiego przyjaciela

W dwudziestą rocznicę śmierci Nicoli Chiaromonte, według mnie najwybitniejszego współczesnego eseisty włoskiego, współredaktora (wraz z Silonem) miesięcznika *Tempo Presente*, wielkie wydawnictwo bolońskie *Il Mulino* przygotowuje obszerny wybór jego szkiców. Zaproponowano mi napisanie wstępu do tomu Nicoli. Postanowiłem napisać go po polsku, a potem przełożyć na włoski, i polski tekst ogłosić w *Kulturze*. Nicola był przyjacielem naszego miesięcznika (napisał o nim ładnie w turyńskim dzienniku *La Stampa* i odwiedził dom *Kultury* w Maisons-Laffitte), a jaką rolę odegrał w moim pisarstwie, wiedzą dobrze uważni czytelnicy *Dziennika pisanego nocą*. Niech mój *Profil włoskiego przyjaciela* wyłoni się najpierw z kart pisma polskiego.

Kiedy Bertrand Russel, bez żadnych z mojej strony próśb (posłałem mu po prostu odbitkę szczotkową książki), napisał i przysłał mi odwrotną pocztą przedmowę do *Innego Świata*, postanowiłem podziękować mu osobiście i w oznaczonej przez niego godzinie zapukałem do drzwi dużego domu jednorodzinnego w Richmond. Po zwykłych, krótkich zresztą, uprzejmościach konwencjonalnych, rozmowa zeszła na Conrada i wokół Conrada toczyła się przez całą godzinę mojej wizyty. W pewnej chwili Russell powiedział, ku mojemu zdumieniu, swoim skrzekliwym głosem, zapatrzony jakby w daleką przeszłość: *I was in love with him*. Był zakochany w Conradzie, kochał wielkiego pisarza za jego „szlachetną duszę", *a noble soul*. Wielokrotnie, w ciągu dwudziestu lat minionych od śmierci Nicoli, zadawałem sobie pytanie, czy i mój do niego stosunek nie był czymś w rodzaju zakochania w jego szlachetnej duszy. Nie brak tu było nawet klasycznego *coup de foudre* podczas naszego pierwszego spotkania, błahej niby historii lecz dla mnie wtedy bardzo ważnej. Spotkaliśmy się nazajutrz po stłumieniu rewolucji węgierskiej w kawiarni Rosati na *Vittorio Veneto*. Był napięty, zauważyłem to natychmiast. Wśród włoskich pisarzy i artystów, nie licząc maleńkiej grupki osób oburzonych i dających temu oburzeniu wyraz, większość „postępowa" zabawiała się w domysły „ile Amerykanie wydali dolarów na węgierską dywersję". Zaczęliśmy rozmowę od Węgier, widziałem jak napięcie Nicoli rośnie, pomyślałem że odżywa w nim duch eskadry Malraux w Hiszpanii (należał do niej podczas wojny domowej). Naraz wszedł do kawiarni Carlo Levi, zbliżył się do naszego stolika i zapytał czy może się przysiąść. Nie znałem go osobiście, znał go za to dobrze Nicola. Kiwnął głową i odburknął coś pod nosem, niezbyt zachęcająco. Ledwie autor głośnego *Chrystusa w Eboli* rozsiadł się naprzeciw nas, uznał za stosowne powtórzyć komunizancki slogan o „amerykańskich dolarach w Budapeszcie". Nicola zerwał się z krzesła blady, krzyknął *via dal nostro tavolino!*, „precz od naszego stolika!", i po niepysznym odejściu Leviego długo usiłował zapanować nad swoim wzburzeniem. Przyglądałem mu się w milczeniu; zapewne w ciągu tych wlokących się minut nastąpił *coup de foudre* na widok rzadkiego wówczas we Włoszech przejęcia się wypadkami węgierskimi (i polskimi). Po latach, gdy byliśmy już serdecznymi przyjaciółmi, mówił w naszym dialogu o Sołżenicynie: „W jego książkach widać odpowiedź, a raczej jasny zarys odpowiedzi, na piekielną udrękę, która, nawet jeśli nie jest narzucona przez system autokratyczny, gnębi dziś każdą świadomą jednostkę ludzką; udrękę pędzenia z dnia na dzień życia pozbawionego sensu, życia w którym człowiek czuje, że gubi z dnia na dzień własną duszę".

Umarł w styczniu 1972 na drugi zawał serca. Na wiadomość o jego śmierci zanotowałem krótko w moim dzienniku: „Powiedzieć że straciłem dobrego i wiernego przyjaciela, to za mało... Ciężko będzie bez niego we Włoszech, ciężko i pusto. Prócz bólu, uczucie osobistego zagrożenia". Nazajutrz, ochłonąwszy nieco, poświęciłem mu obszerny zapis. Kluczowy był w nim fragment: „Pisać tak, by zdanie było przekazem nie tylko jasnej i swobodnej myśli, lecz nieustannego napięcia moralnego, by w słowie żył całym sobą kto wypowiada je jako swoją długo odważaną i cierpianą prawdę — to pociągało mnie zawsze. I tak pisał Nicola". Potem wspomniałem o wstręcie Nicoli do „wielkich systemów" i „generalnych interpretacji", o jego nieufności wobec „sztuczek dialektycznych" kaleczących życie i „cieni ideologicznych" zasłaniających rzeczywistość. Gardził psychologizmem i historycyzmem. Interesował go konkretny człowiek w obliczu konkretnych wydarzeń, „po tołstojowsku zdolny do sądu etycznego i równocześnie świadomy czegoś poza nim nieprzeniknionego". Ateizm, lub co najmniej agnostycyzm, nie przeszkadzał mu raz powiedzieć: „Jest równie trudno wierzyć w Boga, jak w Niego nie wierzyć". Miał słuszność Silone: Nicola był nietknięty przez panującą retorykę, nie należał do żadnych „szkół" i „grup", chciał być sam, lub w kontakcie z kilkoma wybranymi i zaufanymi przyjaciółmi, i taki układ traktował jak porękę niezależności. Czytał głównie klasyków, zwłaszcza greckich, ale potrafił wyłowić z myśli i literatury współczesnej to, co naprawdę było w niej owocem indywidualności autora, a nie odruchem stadnym bądź efemerydą „rynkowej mody".

Pozwoliło mu to pisać o faszyzmie i komunizmie w sposób jasny, trafiający natychmiast w sedno rzeczy, bez wielopiętrowych rozważań filozoficzno-socjologicznych, które więcej na ogół zamącały niż rozjaśniały. Szkic *O faszyzmie* (z roku 1936), szkic *Sztuka i komunizm* (z roku 1952) były w pewnym sensie prekursorskie w stosunku do *Społeczeństwa otwartego* Poppera, którego nie znał na pewno w roku 1936, o którym mógł tylko słyszeć w roku 1952. Dla faszystów — pisał — „jednostka jest Państwem", „życie nie jest faktem osobistym, lecz faktem organizacyjnym". I faszyzmowi i komunizmowi zarzucał w pierwszym rzędzie zniszczenie autentycznego życia społecznego (lubił je nazywać „życiem zrzeszonym"), autentycznego społeczeństwa. Szkic *O faszyzmie* zamknął zdaniem bardzo cenionego Proudhona: „Nie ma przykładu wspólnoty, która zaczynając od entuzjazmu, nie skończyłaby na głupocie". I dodał: „Głupota faszyzmu tkwi w odcięciu się od najgłębszych rezerw człowieka, od prawdy i spontaniczności". Coś podobnego śledził w kretynizmie komunistów, usiłujących podporządkować sobie sztukę, zaprzęgnąć ją do „służby racjonalnym celom". Na szczęście — pocieszał się — życie ludzi toczy się gdzie indziej, na innym planie. Co dziś jest oczywiste, ale nie było bynajmniej oczywiste dla tzw. „intelektualistów zaangażowanych" w latach pięćdziesiątych.

List do Andrea Caffi, włosko-rosyjskiego przyjaciela i potrosze mentora, napisany w roku 1951 i zdaje się nigdy nie wysłany, jest znakomitym w swojej prostocie, i równocześnie w swoim logicznym rygorze, wyłożeniem *credo* Nicoli. Nie znosił moralizmu, podstawiania obowiązku moralnego na miejsce obowiązku intelektualnego. Obowiązek moralny każe opowiedzieć się za określonym stanowiskiem, obowiązek intelektualny każe wystrzegać się wszelkiej dwuznaczności. Uważał wręcz za upokorzenie dla sumienia mieszanie „moralnego" z „intelektualnym". Maksyma Sartre'a „człowiek jest odpowiedzialny za całą ludzkość" wydawała mu się — jakże słusznie! — formułą nowoczesnej sofistyki, która może w prostej linii prowadzić do formuły „zbrodni przeciw ludzkości". Wiemy coś o tym, wiemy aż za dużo o szaleństwie wojen „sprawiedliwych" i „niesprawiedliwych", historii „cząstkowej" i Historii z dużej litery, niezliczonych „odchyleń" i „spisków". Oglądamy dziś te bałamuctwa w gruzach, obliczamy na oko ich przerażający koszt. Niestety nie ma wśród nas Nicoli, którego włoscy „intelektualiści postępowi" omijali z daleka (jak nie ma Silonego, którego ci sami „intelektualiści" skazali na status „emigranta we własnym kraju"). Czy mogli uważać Nicolę za kogoś bliskiego, gdy każdym napisanym słowem uderzał w ich papierowe głowy prawdą żywą, prawdą w której krążyła krew? Pozwalał sobie drwić z marksistowskiego

„wyjaśnienia ostatecznego", przeciwstawionego „pozorom". Kto mówi (twierdził) nie o świecie naturalnym, lecz o rzeczywistości społecznej, powinien pamiętać że konflikt między „pozorami" i „wyjaśnieniem ostatecznym" jest fikcyjny, wymyślony. Ludzie żyją często rzekomymi „pozorami", narzucanie im „wyjaśnień ostatecznych" eliminuje siłą wszelką świadomość realności psychologicznej. I znów widać tu Nicolę wrażliwego na obronę człowieka żywego przed martwymi schematami, przed „ludzkością", mającego zawsze przed oczami indywidualne, spontaniczne dążenie do prawdy, oblężonej i dławionej przez dogmaty i doktryny, przez obłęd pogoni za tym co „ostateczne", za kształtem „definitywnym" bogatej i skomplikowanej gry życia zrzeszonego i jednostkowego. Dlatego, jak sądzę, uwielbiał teatr Pirandella. Widział w nim wyzwanie rzucone wszystkiemu, co w poplątanych i nieuchwytnych losach ludzkich pragnie uchodzić za rozwiązanie „definitywne" i posłuszne „żelaznym prawom".

Trzeba zwrócić uwagę na datę *Jezuity*, pierwszej bodaj rzeczy jaką Nicola napisał po powrocie z emigracji do Włoch. *Jezuita* ukazał się na początku roku 1948 w miesięczniku amerykańskim *Partisan Review*. Trudno go nazwać opowiadaniem, jakkolwiek ma pewne cechy opowiadania. Jest raczej świadectwem w formie narracyjnej, czy zbeletryzowanym esejem. Czymkolwiek jest, myślę, że Nicola wystartował świetnie, dobiwszy po emigracyjnej wędrówce do rodzinnych brzegów.

Na szkolnej ławie autor *Jezuity* przyjaźnił się z chłopcem nazwiskiem Martelli. Po maturze ich drogi się rozeszły: Martelli wstąpił do zakonu jezuitów, autor wyzwolony z przelotnego, szkolnego zachłyśnięcia się faszyzmem zbliżył się do (nielicznych zresztą) antyfaszystów. Martelli wyszedł z trzyletniego odosobnienia gruntownie zmieniony, zdawał się ucieleśnieniem reguły Ignacego Loyoli, szczególnie rozdziału *De Oboedientia*. Rzadkie ówczesne spotkania kończyły się sprzeczkami. Martelli usprawiedliwiał flirt Kościoła z faszyzmem w imię dalekosiężnych celów Kościoła i potrzeby zbliżenia do współczesnego człowieka, zaniedbującego wiarę ojców. Autor przerwał mu zdaniem Flauberta z roku 1850: „Nasza dusza jest zamkniętą księgą dla kleru". Przestali się widywać. W roku 1934 autor wyjechał za granicę, wrócił do Włoch w roku 1947. Po powrocie dowiedział się, że Martelli jest proboszczem w jednej z rzymskich parafii i przedstawicielem nowego kierunku, nazywanego „neo-faszyzmem". W swoich kazaniach mówił przede wszystkim o niezbywalnych fundamentach „władzy", „autorytetu", z niezwykłą u duchownego zaciekłością. Dochodzi do ostatniego spotkania, które jest mistrzowską syntezą ówczesnej włoskiej „problematyki". Monologuje „realista" Martelli, autor przerywa mu rzadko i skąpo, ale nie odmawia sobie refleksji w duchu na marginesie

tego co słyszy. „We Włoszech nie ma miejsca dla imperatywu kategorycznego". „Najsamotniejszym we Włoszech człowiekiem jest idealista". „We Włoszech realizm nie jest nowością, oznaczał zawsze cynizm". A Martelli? „Jeśli Włosi trzymać się będą, zjednoczeni, dwóch swoich matek, Kościoła i Ojczyzny, ostateczny triumf nadejdzie niezawodnie". Nie czas (niestety!) na teokrację czy dyktaturę, ale Kościół może uratować społeczeństwo od społecznego zamętu. Restauracja chrześcijańska jest jedynym sposobem ocalenia narodu w drodze przywrócenia autorytaryzmu. Włochy są na szczęście w posiadaniu dwóch skarbów, Rzymu i papieża.

Piękne jest zakończenie. „Pożegnałem go i znalazłem się na ulicach i placach Rzymu; ten rzymski wymiar przestrzeni, tak szczodry, pozbawiony wszelkiego przymusu, niczego nie odmawiający jednostce i niczego od niej nie żądający; chyba tego tylko by włożyła maskę, odgrywała rolę i w niej zapomniała o sobie. Aktorzy są niezliczeni, scena jest dana raz na zawsze. Jest miejsce dla Fanatyka i dla Cynika. Tylko ten, kto chce być samym sobą, musi być wykluczony: heretyk". Nicola nie był heretykiem, lepiej określa go słowo „nonkonformista". Nie z przekory. Z zasady która głosi, że do prawdy możesz dążyć wyłącznie sam, nigdy w tłumie. Ostatnie zdanie szkicu *Sytuacja masowa i walory szlachetne* (do którego jeszcze wrócę) brzmi: „Pozostaje fakt, że z pieczary (platońskiej) nie wychodzi się w masie, lecz po kolei, jeden za drugim".

Czytając któryś już raz *Jezuitę* (mój ulubiony tekst), zastanawiałem się czy zachował aktualność. We Włoszech, jak sądzę, stracił ją w znacznej mierze od pontyfikatu Jana XXIII. Natomiast wart jest przełożenia na polski i wydrukowania razem z głośnym artykułem Miłosza *Państwo wyznaniowe?*..

Niezmiernie istotny rys profilu Nicoli spróbuję uprzytomnić jego stosunkiem do dwóch pisarzy: Malraux i Camusa. Nie mógł nie podziwiać Malraux, choćby jako członek jego eskadry lotniczej w Hiszpanii. Nie mógł, jako wrażliwy krytyk literacki, nie zachwycać się piórem i inteligencją autora *Doli człowieczej*. Ale wnikliwy esej *Malraux i demony działania* (niestety nie włączony do tego tomu esejów wybranych Nicoli) jest w pewnym sensie porachunkiem z pisarzem opanowanym pasją polityczną, od wczesnego okresu komunistycznego do późniejszych lat bałwochwalczego giermka De Gaulle'a. „Wielki pisarz który godzi się zostać ministrem — powiedział kiedyś Jerzy Stempowski w rozmowie o Malraux — jest jak minister, zdegradowany do roli woźnego we własnym resorcie". Nie o to chodziło Nicoli. Stawiał pod znakiem zapytania nowy ideał „bohatera liberalnego", który od pułkownika T.E. Lawrence'a prowadził Malraux prosto do generała De Gaulle'a. Człowiek nie potrafi zbawić samego siebie, potrzebuje odkupienia lub odkupiciela. Malraux — zdaniem Nicoli — opowiadał się za gaullizmem tym samym argumentem, którym niegdyś podparł się w swoim akcesie do komunizmu: nie ma innej *siły*, zdolnej wykonać misję historyczną, *il faut parier*.

Nicola odnosił się nieufnie do „ryzyka zakładu", opartego na sile, i do poczucia „misji historycznej". Węszył w obu, *w naszej epoce*, groźny mit aktywizmu, samowystarczalności działania. Podkreśliłem „w naszej epoce", gdyż to właśnie, świadomość niebezpieczeństw zrodzonych w XX wieku, zbliżyło go do Camusa. Poznał Camusa w Algierze w roku 1941. Wojenna znajomość była naskórkowa, w przyjaźń zamieniła się później. Nicola witał Camusa w porcie nowojorskim nazajutrz po wojnie, jako prelegenta zaproszonego do Stanów. Słuchając go, zrozumiał (a raczej potwierdził w sobie) wszystko, czego nauczyła nas wojna. Że w każdym z nas przetrwała szczypta jej trucizny, zachowały się resztki idolatrii władzy, działania jako kategorii absolutnej, wywyższania „zadań historycznych"; że wojna oduczyła nas łatwego optymizmu, ale nauczyła nas również, że o ile optymizm jest głupotą, to pesymizm jest tchórzostwem. Z Camusem związała Nicolę mocno nienawiść do uroszczeń „globalnych" wszelkich ideologii, oraz wiara w sekret zamknięty w sercu każdego człowieka, w transcendencję człowieka wobec historii, w prawdę której nie potrafią zatrzeć żadne imperatywy społeczne. Nicola nie lubił Kafki, lecz często i chętnie powoływał się na jego refleksję, że człowiek nie może żyć bez uporczywej ufności w coś niezniszczalnego w sobie samym, bywa jednak przez całe życie nieświadomy owego niezniszczalnego „jądra" w sobie i jedną z form tej ustawicznej nieświadomości jest wiara w Boga. Nicola, podobnie jak Camus, chciał Boga zastąpić pełną świadomością. Byli bliźniaczymi duszami. I byli może bliźniaczymi duszami także w tym, że zdawali sobie sprawę jak syzyfowy zaakceptowali trud i los.

W kwietniu 1956 wyszedł pierwszy numer *Tempo Presente* pod redakcją Silonego i Nicoli. Znalazł się w nim długi, jakby programowy, esej Nicoli *Sytuacja masowa i walory szlachetne*. Punktem wyjścia była naturalnie *Rewolta mas* Ortegi y Gasseta z roku 1930. Nicola zanalizował następnie, z wielką precyzją i sumiennością, nieprzerwany rozwój „sytuacji masowej", aż po powstanie nowego, „martwego" języka środków masowego przekazu. Ale azylu dla wypieranych stopniowo „walorów szlachetnych" nie szukał w obrębie tradycji, kultywowanej przez intelektualnych kustoszów muzealnych. Zadawał sobie pytanie, czy w procesie społecznej „masyfikacji" możliwe jest ocalenie „walorów szlachetnych" jako więzi szerokiej wspólnoty ludzkiej, a nie atrybutu „elity". W gruncie rzeczy konkluzja jego wywodów wy-

rażała ten sam niepokój, jaki doszedł do głosu w naszym dialogu o Sołżenicynie, chociaż nie padło w niej słowo „dusza". Natomiast, w położeniu które nazwał „krańcowym", mówił o „prawdzie przeżywanej i naznaczonej uczestnictwem", która jest racją bytu kultury. „Gdyż kultura nie jest terenem prawdy, lecz terenem dysputy wokół prawdy". I parę wierszy dalej: „Prawda nie tylko wymaga wolności, lecz przede wszystkim musi być poszukiwana i upragniona". To nieustanne poszukiwanie prawdy czymże jest w końcowej klamrze eseju Nicoli o „walorach szlachetnych"? Synonimem duszy, gubionej i zatracanej w „sytuacji masowej".

W kilkanaście lat później odpadło synonimowanie, Nicola napisał rzadkiej urody szkic *Granice duszy*. Otworzył go zdaniem Heraklita: „Choćbyś długo wędrował, nie znajdziesz granic duszy". Granice duszy oddalają się w nieskończoność, a sama dusza odnajduje wtedy nieznaną dotąd wolność. W dwudziestą rocznicę śmierci Nicoli tak właśnie go wspominam, jakkolwiek jest to wizerunek częściowy, widziany z profilu. Widzę wędrowca w poszukiwaniu prawdy, który wie że samo jej wieczne i mężne poszukiwanie poszerza duszę i odsuwa w nieskończoność jej granice, obdarzając człowieka jedynym indywidualnym poczuciem duchowej wolności. Czy nie to kryje się w słowach *a noble soul*?

Grudzień 1991

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Asymetria

W szybko zmieniającym się politycznym krajobrazie Europy państwo i społeczeństwo polskie — często chadzające odmiennymi drogami — mają do załatwienia wiele problemów dotyczących nowych stosunków z sąsiadami. Dotyczy to także Niemiec — zarówno dlatego że, jak to powtarza Andrzej Szczypiorski, „droga Polski do Europy wiedzie przez Niemcy", jak i dlatego, że droga Niemiec na Wschód powinna wieść przez Polskę (choć coraz częściej Niemcy wybierają drogę okrężną lub na skróty). Jest rzeczą oczywistą, że kraj borykający się z takimi problemami jak Polska nie może z przyczyn zasadniczych ani w części dorównać swą aktywnością polityczną rosnącym w znaczenie Niemcom — już choćby bariery finansowe stanowią dość skuteczną zaporę. Możliwe

jest jednak — przynajmniej teoretycznie — podjęcie działań zmierzających do zmniejszenia istniejących dysproporcji. Tymczasem każdy nieuprzedzony obserwator musi z przerażeniem zauważyć, że od obalenia berlińskiego muru w Polsce czyni się niewiele, by zmienić niekorzystną dla naszego kraju asymetrię w stosunkach polsko-niemieckich. Kraj traci czas, a w tym właśnie momencie historycznym oznacza to utratę szans, której nie da się w przyszłości nadrobić. A przynajmniej będzie to bardzo trudne.

Można, rzecz jasna, załatwić sprawę stwierdzeniem, że podejmowanie inicjatyw mających na celu zbliżenie polsko-niemieckie jest w Polsce niezwykle trudne ze względu na zaszłości historyczne. Te zaszłości jednak nie przeszkodziły ćwierć wieku temu podjąć biskupom polskim inicjatywy o wielkim politycznym znaczeniu. List biskupów polskich do biskupów niemieckich stał się, niestety, jedną z tych inicjatyw politycznych, które zawisły w historycznej próżni i nie zostały przez państwo polskie we właściwej mierze zdyskontowane. Ta inicjatywa, praktycznie rzecz biorąc, nie ma dalszego ciągu.

Tu wypada dotknąć problemu niesłychanie ważnego, jakim jest stosunek do państwa w Polsce i w Niemczech. Otóż obywatel niemiecki — także z dawnej NRD, choć tu rzecz wygląda nieco inaczej niż na terenach byłej RFN — ma wpojone myślenie w kategoriach interesu państwowego: podejmowane przezeń działania lub zaniechania są z tego punktu widzenia znaczące, choć nie zawsze, a może nawet bardzo rzadko, są one w tych kategoriach wypowiadane. Obywatel polski w tych właśnie kategoriach myśli niesłychanie rzadko — utożsamia się z państwem wyłącznie niemal w sytuacjach zagrożenia, prawie nigdy zaś nie widzi swoich działań, czy to indywidualnych czy grupowych, jako mających konsekwencje polityczne — dla niego ważniejsze są manifestacje nastrojów, jak to się dzieje choćby w pozbawionej odpowiedzialności części wystąpień publicystycznych dotyczących kwestii stosunków polsko-niemieckich.

W tym kontekście warto porównać społeczną aktywność Niemców i Polaków w sferze tych właśnie stosunków. Przytoczę tylko niektóre fakty — nie chcę się na ten temat specjalnie rozpisywać. Nie wiem czy istnieje w odpowiednich instytucjach badawczych w Polsce (studia MSZ, Instytut Zachodni) lista polskich stypendystów w Niemczech. Warto jednak zauważyć, że cała sieć fundacji i towarzystw (choćby Adenauera, Bölla, Eberta, *Deutscher Akademischer Austauschdienst* itd.), w ciągu ostatniego ćwierćwiecza gościła tysiące polskich stypendystów — studentów i uczonych, pisarzy i artystów, wykładowców uniwersyteckich i dziennikarzy. Inaczej mówiąc: wiele niemieckich instytucji społecznych oraz społeczno-politycznych zdołało nawiązać liczące kontakty z liczącą się grupą ludzi reprezentujących polskie środowiska opiniotwórcze. Od ponad dziesięciu lat w Darmstadzie działa Niemiecki Instytut Kultury Polskiej, instytucja o unikalnym charakterze (który kraj funduje u siebie innemu krajowi podobny instytut?), której patronują najwyższe autorytety polityczne

w Niemczech, z prezydentem kraju włącznie. Z działalnością Instytutu powiązana jest ściśle działalność Fundacji Boscha, dzięki której nie tylko fundowane są nagrody dla tłumaczy literatury niemieckiej na polski oraz wydawana kosztowna seria Biblioteki Polskiej, lecz nadto opracowywane są programy zbliżenia naukowo-technicznego. Towarzystwa Niemiecko-Polskie lub pokrewne im organizacje działają w Augsburgu, Bad Oeynhausen, Bad Segeberg, Berlinie, Bielefeld, Bonn, Bremie, Darmstadzie, Düsseldorfie, Norymberdze, Getyndze, Hamburgu, Hannoverze, Heidenheim, Kiel, Monachium, Norderstedt, Oldenburgu, Mannheimie, Verden, Waldbröl, Wiesbadenie i Wolfsburgu — a z całą pewnością nie wymieniłem wszystkich. Przy uniwersytecie w Moguncji od lat działa program zatytułowany *Schwerpunkt Polen*, w ramach którego zapraszani są tu co semestr polscy uczeni, zaś w przerwie wakacyjnej prowadzony jest kurs języka i kultury polskiej „Polonicum". Badaniami dotyczącymi Polski i współpracą z Polakami zajmuje się uniwersytet w Bremie. Corocznie organizowane są w całych Niemczech — w różnych miastach (np. w Achim) Dni Kultury Polskiej. We Frankfurcie nad Odrą, w Schwedt i Poczdamie w ostatnim okresie rozbudowie ulegają programy zatytułowane „Projekt historii polsko-niemieckiej". W Lipsku, po przebudowie, kontynuuje działalność mające 200-letnią historię Towarzystwo Jabłonowskich. Trudno zliczyć ilość imprez poświęconych problematyce stosunków polsko-niemieckich (tylko w pierwszej dekadzie marca w samym Berlinie odbyły się dwie), spotkań z polskimi pisarzami i artystami. W połowie marca powołano w Magdeburgu do życia Towarzystwo im. Anny Morawskiej, przekształcone z półlegalnie działającego w byłej NRD Anna-Morawska-Seminar. Liście tej, oczywiście, daleko do kompletności — przywołuję tylko te niemieckie inicjatywy, z których działalnością sam się w ten czy inny sposób zetknąłem. Jest ich o wiele więcej.

Żadna z tych inicjatyw sama w sobie nie ma wymiaru politycznego. Ich suma jest zjawiskiem politycznym o niezwykłej doniosłości. Ich działalność ma wpływ na kształtowanie stosunku polskich elit do Niemiec. I jest to postępowanie ze wszech miar pożyteczne — w wymiarze doświadczeń indywidualnych, społecznych i państwowych. Trzeba z żalem stwierdzić, że po stronie polskiej szalenie trudno znaleźć dla niego odpowiedniki. Dwa działające w kraju Towarzystwa Niemiecko-Polskie czy olsztyńska Wspólnota Kulturowa „Borussia" (która zorganizowała sympozjum poświęcone tradycji i przyszłości dawnych Prus Wschodnich dzięki wsparciu Fundacji Bölla), prace Instytutu Zachodniego w Poznaniu to niewiele. Niewiele się też czyni, by studenci, naukowcy czy artyści niemieccy dostawali w Polsce stypendia, by przyjeżdżali na wspólne polsko-niemieckie imprezy. Bariera finansowa wszystkiego nie tłumaczy. Jest rzeczą ważną, by działalność wątłych inicjatyw polsko-niemieckich (naukowych, kulturalnych, gospodarczych czy jakich tam jeszcze) zyskiwała uwagę w oczach zarówno państwowych instytucji i środków masowego przekazu — w tej dziedzinie dzieje się niewiele i na ogół niekompetentnie.

Jesteśmy niesłychanie dumni z obecności kultury polskiej w Niemczech, z przyznawanych tu Polakom nagród — i słusznie. Nie bez racji pisał ostatnio Andrzej Stach (*Kultura* 3/92): „Niezależnie od tego, w jakiej mierze przedstawiony w niemieckich środkach masowego przekazu obraz Polski i Polaków odpowiada rzeczywistości, w jakiej zaś spełnia tylko oczekiwania mass mediów i ich konsumentów, (...) najjaśniejszym, a nawet dominującym elementem jest polska kultura. Jej twórcom i propagatorom należy przede wszystkim zawdzięczać, iż nawet środki masowego przekazu w Niemczech nie zredukowały słów 'Polska' i 'Polacy' do zbioru cech budzących niechęć i brak poważania". Nie bez znaczenia będzie uzupełnienie tej opinii podkreśleniem, że wśród propagatorów polskiej kultury w Niemczech są właśnie przede wszystkim Niemcy i że ich działalność zyskuje poparcie nie tylko najwyższych czynników państwowych, lecz także ośrodków regionalnych. Dzieje się tak dlatego, że w Niemczech nie ma tej przepaści, jaka w Polsce dzieli inicjatywy osobiste i grupowe od sfery polityki państwowej. Tu wszystko się wzajemnie zazębia i uzupełnia.

Nie lubię wielkich deklaracji o „pojednaniu i przyjaźni", gdyż to tylko puste slogany. Sądzę jednak, że dziś, ponad pół wieku od rozpoczęcia wojny, możliwe i konieczne jest zacieśnianie kontaktów polsko-niemieckich. Sądzę też, że skazanie się w tej dziedzinie na jednostronność jest politycznym błędem. Błąd ten obciąża nie tylko państwo. Wynika on z braku wyobraźni politycznej całego społeczeństwa polskiego. W pewnej mierze są tym błędem obciążone także i jego elity, nie zdające sobie sprawy z politycznego znaczenia pozornie drobnych działań lub zaniechań. Brak wyobraźni politycznej oddala od realistycznego rachunku możliwości i powoduje utratę tych szans, jakie jeszcze istnieją. W odniesieniu do Niemiec — a chodzi w końcu nie tylko o Niemcy — doprowadza to do niekorzystnej dla Polski asymetrii. Nie wiem, czy jest z tej sytuacji jakieś wyjście — poprzestaję na konstatacji faktu.

Krzysztof ZAWRAT

Ci, co odeszli

Roman Zimand („Leopolita") 1926-1992

Poznawaliśmy Go w różnych czasach, ale gdy miał już za sobą okres zaczadzenia komunizmem. Zapadł na komunizm, jak wielu, na przekór doświadczeniom — wojnę spędził na zesłaniu w Kazachstanie.

Był to jedyny znany nam człowiek, który szybko, jednoznacznie i bezlitośnie ocenił swoją własną „hańbę domową". Uważał, że nie tłumaczy go niewiedza ani młodzieńcza naiwność. „Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie" — stwierdzał. Był gotów odpowiadać za to, co robił. „Ale też: tylko za to" — dodawał. Stał się ideowym antykomunistą, a zarazem intelektualnym samotnikiem. Darzony i darzący przyjaźnią wielu ludzi, nigdy już nie mówił w chórze. Wypowiadał się odważnie, pełnym głosem, ale tylko we własnym imieniu i na swoją odpowiedzialność. I nie pchał się na scenę. „Gdy słyszę o braniu władzy, przechodzę na drugą stronę ulicy" — mawiał; kiedyś już przecież przystał do awangardy... Przedkładał nieefektowną, mrówczą pracę w obronie zagrożonych ludzi i wartości nad podpisywanie zbiorowych petycji i protestów. Zorganizował społeczną obronę braci Kowalczyków, zabiegając o ocalenie od kary śmierci jednego z nich; wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, wysadzenie w powietrze pustej auli przed rocznicową uroczystością Służby Bezpieczeństwa było dla wielu ludzi czynem niezrozumiałym, a obrona sprawców tego czynu przed zemstą komunistycznej władzy była tylko dla nielicznych naturalnym odruchem moralnym.

Jako historyk i socjolog literatury upominał się głośno o miejsce dla „literatury źle obecnej" — dla polskiej i obcej literatury emigracyjnej: Miłosza, Tyrmanda, Kundery, Zinowiewa. W latach osiemdziesiątych wydawał w podziemiu cenione pismo

Almanach Humanistyczny. Zainicjował też wydawanie polskich zeszytów *Commentary*.

Urodził się we Lwowie — Leopolis — i przez dziesięciolecia zachował anonimowość pseudonimu „Leopolita"; tylko zielony atrament korekt mógł zdradzić autorstwo tekstów wysyłanych do *Kultury*, *Pulsu*, *Tygodnika Mazowsze*, *KOS*-a czy *Kultury Niezależnej*. Identyfikował się z prawicą laicką, uważał kapitalizm za jedyny wybór dla Polski, choć nie miał wątpliwości, że wybór ten nie przysporzy Jemu podobnym ani zaszczytów, ani zamożności. W swoim zawalonym książkami, czternastometrowym pokoju z ciemną kuchnią nigdy nie myślał o własnej karierze.

Po 1989 roku niewielu chciało go słuchać. Łatwiej było głosować „za" lub „przeciw" niż dyskutować z Jego chłodną krytyką kompromisu zawartego przy Okrągłym Stole i późniejszych kroków nowej elity politycznej.

Jego „gatunek: podróż" — ostatnia książka pod tym właśnie tytułem i drogi własne — są już zakończone. W ostatnim okresie życia i podczas miesięcy strasznej choroby powtarzał, że chce leżeć na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Świadom trudnych rachunków krzywd, które próbował rozplątać w szkicu „Piołun i popiół", uparcie pragnął pozostać sobą.

PRZYJACIELE

Jan Leszcza (1918-1992)

Przed dwoma tygodniami (5 marca 92), w czwartek nad ranem, zmarł w Los Altos w Kalifornii poeta polski, Jan Leszcza (prawdziwe nazwisko Wiktor Londzin). Urodził się 20 maja 1918 w Zabrzegu na Śląsku Cieszyńskim. Po ukończeniu podchorążówki został przydzielony do 1 PSP w Nowym Sączu i z tą formacją poszedł w roku 1939 na front. Był ciężko ranny pod Przemyślem. Po powrocie z frontu został aresztowany i osadzony najpierw w obozie koncentracyjnym w Dachau, a potem w Guzen.

Po zakończeniu wojny znalazł się w Niemczech zachodnich, przebywał przez jakiś czas w Regensburgu, gdzie współpracował z pierwszym polskojęzycznym pismem codziennym *Dziennik Polski*. Z Regensburga przeniósł się do Monachium, aby studiować

na tamtejszym uniwersytecie. W tym okresie stał się współorganizatorem Związku Pisarzy Polskich w Niemczech (w strefie amerykańskiej) i późniejszego Polskiego Klubu Literackiego.

Pierwszy tomik pt. „Czas obłąkany" ukazał się w 1947 roku i został dobrze przyjęty przez ówczesnych krytyków (w prasie polskiej w strefie amerykańskiej).

W roku 1951 opuścił Niemcy i przybył do Chicago, gdzie mieszkał przez osiem lat. W tym okresie, wraz z poetą Zbigniewem Chałko, dziennikarzem Józefem Białasiewiczem i publicystą dr. Kazimierzem Nawrockim założył tzw. *Żywy Dziennik* będący jednym z najciekawszych i najdowcipniejszych przeglądów życia polskiego i polonijnego. W tym też okresie drukuje swoje wiersze w *Wiadomościach* londyńskich.

W 1959 przenosi się wraz z żoną Olgą do Los Altos w Kalifornii i wkrótce potem nawiązuje współpracę z „Oficyną Poetów i Malarzy" (Czesława i Krystyny Bednarczyków) w Londynie. U nich ukazuje się w 1967 roku zbiorek wierszy „Konie drewniane", za który otrzymuje nagrodę im. Tadeusza Sułkowskiego. W roku 1969 drukarnia „Gryf", również w Londynie, wydaje trzeci tomik Jana Leszczy „Szkicownik", a w roku 1980 nakładem Oficyny Poetów i Malarzy ukazują się „Trzy ściany".

Jan Leszcz nie był poetą płodnym. W ostatnich latach nosił się z zamiarem wydania obszerniejszego zbioru, z wierszami nowymi i tymi, które drukował w rozmaitych czasopismach, a które nazywał „wierszami pominiętymi".

Jan Leszcza był też tłumaczem poetów amerykańskich, niemieckich i czeskich. Przekłady ogłaszał w rozmaitych czasopismach literackich, chciał je kiedyś ogłosić drukiem, ale nie uważał że jest to sprawa najpilniejsza, stale ten pomysł odkładał na dalsze lata.

Znany i ceniony na emigracji, w Polsce był zjawiskiem prawie nieznanym. Nie doczekał się ani druku choćby jednego wiersza, ani krytycznych analiz, oprócz opracowania (ułamkowego) Michała Sprusińskiego.

Dopiero w roku akademickim 1988/89 na uniwersytecie Śląskim w Katowicach (wydział filologiczny) Anna Dudek-Hermann przedstawiła obszerną pracę magisterską „Poezja Jana Leszczy". Autorka pisze w swej pracy m.in.: „Leszcz jest katastrofistą, który przeżył katastrofę, ona zabiła w nim pragnienie życia, ale nie zniszczyła sensu przeszłości zachowanej w pamięci".

Róża NOWOTARSKA

Książki i wydawnictwa

Detektywi

Pani Zofii Hertz — amatorce i znawczyni powieści kryminalnych — na imieniny

W mało znanej powieści Brechta pt. *Interesy pana Juliusza Cezara* na tej samej uczcie w Rzymie spotykają się dwaj ludzie: parweniusz tak wulgarny, że *jeszcze* mlaszcze przy jedzeniu, oraz wyrafinowany patrycjusz, który *znowu* mlaszcze. Ich spotkanie symbolizuje nie tyle egalitaryzm, co charakterystyczne dla epok przełomowych „gustów pomieszanie". Nieco podobnie ma się rzecz z lekturą powieści detektywistycznych: ich czytelników można podzielić na takich, którzy *jeszcze* je czytają oraz na takich, którzy *znów*... Ta druga kategoria powiększyła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat tak gwałtownie, że zjawisko to zaczyna budzić niepokój, wydaje się bowiem, że wkrótce samo przyznanie się do lubienia (w rozsądnych granicach) tego rodzaju piśmiennictwa stanie się podobną oznaką snobizmu, jak podejrzany entuzjazm dla twórczości Paul'a Valery czy Henry Jamesa. Nim więc nie jest jeszcze za późno, chciałbym omówić świetną książkę „metadetektywistyczną", tzn. poświęconą w całości powieściom kryminalnym*. Już sam zawód jej autora — wykładowcy literatury rosyjskiej (!) w Oxfordzie — i wydawnictwo (*Oxford University Press*) świadczą o niepokojącym wzroście *respectability* tej tematyki. Niemniej rzecz jest naprawdę znakomita: napisana *con amore*, ale ze wszystkimi rygorami akademickimi (daty, oryginalne tytuły, rozszyfrowane pseudonimy); zwięźle, ale z masą faktów i cytatów; z humorem, ale bez paternalistycznej „wyższości kulturalnej". Binyon nie jest

* T.J. Binyon, *Murder Will Out. The Detective in Fiction.* Oxford-New York 1989 (paperbeck 1990, 166 p.), ISBN 0-19-282730-8.

tyko *hobby*'stą, gdyż regularne recenzowanie kryminałów dla poważnych gazet angielskich jest dlań od wielu lat nieomal drugim zawodem i zakres jego oczytania w tej dziedzinie jest imponujący, toteż jego *Morderstwo chce się ujawnić* (niezręcznie to brzmi po polsku, ale jak przetłumaczyć inaczej?) słusznie zostało zaliczone do klasycznych pozycji „kryminałoznawczych". Przy okazji warto zaobserwować różnicę pomiędzy anglosaskim a kontynentalnym stylem (czy wręcz *savoir vivre*'em) akademickim: sławistom oxfordzkim jakoś nie przeszkadza, że ich kolega obok Tołstoja i Turgieniewa zajmuje się też Conan Doyle'em i Chandlerem, podczas gdy w Heidelbergu czy Krakowie tego rodzaju profesor miałby ciężkie życie.

Praca Binyona nie jest oczywiście pierwszym przeglądem tej dziedziny: bibliografia „ogólnych" książek na ten temat podana na końcu *Morderstwa* zawiera ok. 30 pozycji, przy czym sam autor podkreśla swój szczególny dług wobec dwóch historii tego gatunku: J. Symonsa *Bloody Murder* (2nd ed., Harmondsworth 1985) i R.F. Stewarta *...And Always a Detective* (London 1980). Oryginalnością omawianej książki jest metoda prezentacji materiału według typów występujących w różnych „kryminałach" detektywów. Autor uzasadnia tę metodę następująco: centralną postacią klasycznej powieści kryminalnej — w odróżnieniu od *thriller*'a, powieści szpiegowskiej i innych pokrewnych gatunków — jest detektyw, czyli osoba systematycznie dążąca do rozwiązania zagadki zbrodni; w gatunkach raczej „awanturniczych", przygodowych, bohaterami mogą być inne postacie: zbrodniarze, ofiary, czy też osoby przypadkowo wciągnięte w akcję. W kryminale *sensu stricto* bohaterem jest zawsze detektyw, reprezentujący jeden z dwóch podstawowych typów: amatora lub zawodowca. Podział ten pojawił się już u zarania tego gatunku, którego niezaprzeczalnymi twórcami są — zdaniem Binyona — dwaj określeni autorzy: Amerykanin Edgar Allan Poe (1809-49) i Francuz Emile Gaboriau (1832-73). Bohater opowiadań Poe'a (*Morderstwa przy rue Morgue*, 1841 i in.), *Chevalier* C. Auguste Dupin jest klasycznym *amatorem* — mieszka z romantycznego wyboru w zrujnowanym pałacyku w opuszczonej części Faubourg St. Germain i rozwiązuje zbrodnicze zagadki głównie celem rozproszenia nudy istnienia; jego jedynym towarzyszem jest lojalny, tępawy przyjaciel, który pełni też rolę narratora. Nietrudno dostrzec, że prostym — i nieprzypadkowym — przedłużeniem tej pary jest genialny Sherlock Holmes z nieodłącznym doktorem Watsonem u boku, który pojawia się w literaturze 40 lat później (pierwsza nowela Arthura Conan Doyle'a [1859-1930] z tym bohaterem ukazała się w 1887).

Narodziny *zawodowca* tzn. detektywa-policjanta związane są z kolei z serią powieści Gaboriau (dziennikarza z zawodu), których bohaterem jest *Monsieur Lecoq* — tak zwie się najlepsza z tych powieści, wydana w 1869. „Najlepszość" w tym wypadku oznacza jedynie, że inne powieści z Lecoq'iem są gorsze. Główną wadą Gaboriau jest rozwlekłość, powiększona jeszcze dwudzielną budową utworów: w pierwszej części czytelnikowi prezentuje się już dokonaną zbrodnię i proces identyfikacji zbrodniarza, w drugiej zaś — jak do przestępstwa doszło. W angielskich tłumaczeniach wydawcy szybko wpadli na pomysł, żeby tę drugą część w ogóle pomijać — niemniej Conan Doyle zastosował jeszcze ten chwyt w trzech nowelach o Holmesie, co im nie wyszło na zdrowie. Conan Doyle (lekarz z zawodu) przyznawał się zresztą do długu wobec swych poprzedników; w zbiorze *Memories and Adventures* (1924) napisał wręcz: *Gaboriau podobał mi się z uwagi na zgrabną konstrukcję fabuły, podczas gdy wspaniały detektyw Poe'a, p. Dupin, był moim bohaterem od dzieciństwa.*

Sherlock Holmes jest ważny nie tylko jako nader udana postać literacka, ale i szczególny podtyp detektywa; Binyon nazywa go „zawodowym amatorem" i wprowadza do swej pracy jako dalszą jednostkę kwalifikacyjną. Uważa on, że tego rodzaju postać była koniecznym kompromisem pomiędzy dwoma typami skrajnymi, z których każdy z osobna zawiera zbyt dużą porcję nieprawdopodobieństwa: *sytuacyjnego* w wypadku czystego amatora i *psychologicznego* w wypadku profesjonalisty. Rzecz w tym, iż czytelnik nie bardzo skłonny jest wierzyć, że np. sympatyczny aczkolwiek zazwyczaj zbyt nonszalancki młodzieniec z dobrego towarzystwa londyńskiego może bez żadnych przeszkód pętać się po miejscu zbrodni, przesłuchiwać świeżą wdowę i służbę, tudzież z góry traktować policję, która nie tylko toleruje to, lecz ochoczo spełnia jego polecenia i sugestie. Toteż klasyczny amator z powieści lat międzywojennych (*exemplum*: Lord Peter Wimsey z powieści Dorothy Sayers [1893-1957] z lekka tylko uprawdopodobniony okolicznością, że ma szwagra-inspektora Scotland Yard'u) szybko ustąpił pola „zawodowemu amatorowi", tzn. prywatnemu detektywowi działającemu za pieniądze i będącemu w znacznie gorszej komitywie z policją. Z kolei zaś wcześni zawodowcy — powieściowi policjanci — musieli walczyć z *handicap*'em socjalnym: zawód ten bowiem długo *nie* uchodził za synonim wyrafinowania umysłowego i pozycji towarzyskiej, toteż zbyt interesujący sierżant czy komisarz nie był postacią przekonywującą. Dodatkowym obciążeniem był literacki stereotyp tępego przedstawiciela prawa jako tła dla Sherlocka Holmesa i jego następców.

Najwybitniejszym i w pewnym sensie „ulepszonym" Holmesem jest bohater licznych powieści prawie-rówieśnika Conan Doyle'a, R.A. Freemana (1862-1943), nazwiskiem Dr John Eve-

lyn Thorndyke. Po raz pierwszy pojawia się w powieści *Ślad czerwonego kciuka* (1907) i to od razu w roli zawodowego tropiciela, choć nie policjanta — jest bowiem profesorem medycyny sądowej w Londynie. Dr Thorndyke jest pierwszym w pełni nowoczesnym detektywem: na miejsce zbrodni udaje się zawsze z walizeczką zawierającą palnik spirytusowy, probówki, odczynniki, mały mikroskop, itd. Już tym warsztatem góruje nad Holmesem z jego samotną lupą, ale co szczególnie imponuje, to jego *prawdziwa* wiedza o sposobach rozróżniania krwi ludzkiej od wielbłądziej lub ustalania, czy dany włos ludzki wypadł czy też został wyrwany. Dr Thorndyke jest niezawodny i można na nim polegać — w przeciwieństwie do Holmesa, który rozprawia o indyjskiej „żmii bagiennej" (nieistniejący gatunek), twierdzi, że zna „japoński sytem walki *baritsu*" (?!) i utrzymuje iż na podstawie śladów kół roweru można stwierdzić kierunek jego jazdy (nie można). Twórca tego naprawdę poważnego amatora był podobnie jak Conan Doyle lekarzem, a ponadto jeszcze studiował farmację; pracował też w Afryce, skąd wrócił jako półinwalida na skutek febry tropikalnej i zaczął pisać powieści dla zarobku. Niewątpliwie był lepiej wykształcony (i bardziej dbały o realia) niż twórca Holmesa — ale ten z kolei był o wiele lepszym pisarzem. Dr Thorndyke nie stał się więc postacią tak mityczną jak jego sławny kolega z Baker Street 221 B mimo, że sam Raymond Chandler określił Freemana jako *a damn good writer*.

Tak czy owak R.A. Freeman stworzył pierwszego niepolicjanta, którego związek ze zbrodniami i kwalifikacje nie budzą u czytelnika wątpliwości. Trudno byłoby go skarykaturować — podczas gdy niezliczone parodie „holmesowskie" (m.in. Marka Twaina *Dwufalowy detektyw*, 1902), są miarą swoistej niepowagi bohatera *Psa Baskerville'ów*. Od tego czasu dominującym typem nie-zawodowca jest w powieściach kryminalnych bohater, którego zawód cywilny w jakiś sposób łączy się z zakresem pracy policji. Najodpowiedniejszą profesją wydaje się tu prawo — i istotnie wielu autorów (często rzeczywiście prawników) w niej właśnie uplasowało swoich detektywów-amatorów. Pierwszym był amerykański autor Arthur Train (1875-1945), twórca postaci szlachetnego adwokata o nazwisku Ephraim Tutt (pierwsza powieść o nim wyszła w 1920) — niestety, nadmiar tej szlachetności *plus* nieznośnie „żartobliwy" styl powodują, iż dziś książki Traina są już nieczytelne. Wielu innych detektywów-prawników zwekslowało szybko na tory powieści typu *prive eye (vide infra)* i jedynym godnym reprezentantem tego gatunku jest Perry Mason, nie starzejący się adwokat z Los Angeles, bohater ok. 80-ciu powieści Earle Stanley Gardnera (1889-1970), ukazujących się nieprzerwanie od 1933 r. przez 40 lat; ostatnia pozycja

z tych *The case of...* wydana została pośmiertnie w 1973 pt. *Sprawa odłożonego morderstwa*. Gardner był sam adwokatem i praktykował od 1922 aż do końca II wojny; skąd znajdował czas na pisanie (a jest też autorem równie długiej — choć gorszej — serii powieści, w których detektywem jest prokurator i nieco krótszej o parze detektywów „agencyjnych") to zagadka większa, niż tajemnica twórczości Kraszewskiego czy Simenona. Faustowsko aktywny Perry Mason i jego równie niezniszczalna sekretarka Della Street (*plus* parę innych osób z ich otoczenia) osiągnęli nieśmiertelność równą nieomal tej, jaka jest udziałem komisarza Maigreta i Herkulesa Poirot, o których niżej. Podtrzymuje ją unowocześniona seria „masonowska" w TV, w której nasz bohater lata odrzutowcem i posługuje się radiotelefonem, a p. Street wyszukuje dane o klientach w komputerze — co trochę mnie jednak razi, bo kiedy 40 lat temu uczyłem się na tych powieściach angielskiego, takich cudów w nich nie było. *Où sont les neiges d'antan*?

Autor omawianej tu książki robi krótki, ale — jak zwykle — treściwy przegląd innych zawodów „detektopodobnych" i z pewnym rozczarowaniem stwierdza, że tak obiecujące dziedziny jak medycyna, dziennikarstwo, ubezpieczenia i buchalteria (!) nie wydały tylu „zawodowych amatorów", ilu można by się po nich spodziewać. Jedynym ciekawszym typem „medycznym" w literaturze omawianego tu gatunku jest Mrs Bradley — doradca d/s psychiatrii w Home Office, a zarazem bohaterka ok. 60-ciu powieści pióra Gladys Mitchell (1901-83). Pani Bradley jest nie tylko niezłym detektywem, ale odbija też korzystnie od najbardziej ogranych postaci żeńskich w tej branży, oscylujących między typem „młoda-ładna-pełna entuzjazmu" (por. Tuppence Beresford w serii „detektywi-małżeństwo" Agathy Christie i — w nowszym wydaniu — Cordelia Gray w powieściach P.D. James), a typem matczyno-ciotkowym (Miss Jane Marple, tejże pani Agathy). Mrs Bradley (występująca po raz pierwszy w *Szybkiej śmierci*, 1929) jest sucha, oschła, bez wieku i w ogóle — jak podaje sama autorka — „*przypomina pterodaktyla*". Początkowo stosuje do rozszyfrowania zbrodni jedynie teorię Freuda, ale gdzieś przy dwudziestej książce — niestety — zaczyna uciekać się do czarów, co dyskwalifikuje ją jako detektywa w tradycji Dr. Thorndyke'a. Nie dopisują również dziennikarze. Paryski reporter Rouletabille (*Tajemnica żółtego pokoju*, 1907), bohater Gastona Leroux (1868-1927) lepiej znanego jako autor *Upiora w Operze* (1911), jest godny wzmianki jedynie ze względów historycznych: jako detektyw-amator rozwiązuje bowiem jedną z pierwszych — później klasycznych — zagadek zbrodni dokonanej w zamkniętym od środka pokoju. Dopiero w ostatnim dwudziestoleciu — i to tylko w Ameryce — pojawiły się

godniejsze uwagi postacie detektywów-dziennikarzy; Binyon chwali szczególnie powieści pióra Antonii Fraser (ur. 1932).

Pora na prawdziwych prywatnych detektywów. Zacznijmy od angielskich, bo oczywiście nie sposób pominąć w tym dziale Agathy Christie (1890-1976), autorki, której nakłady ustępują jedynie Biblii i dziełom Szekspira. Jej najbardziej znanym detektywem jest emerytowany policjant belgijski, *monsieur Hercule Poirot* („gruszka") — mały, łysy, stary, zawsze grzeczny. Pojawia się po raz pierwszy w 1920 r. (*The Mysterious Affair at Styles*) i od tego czasu występuje regularnie w „głównym bloku" kryminałów p. Christie, skonstruowanych jako zawiłe zagadki usytuowane w zamkniętym kręgu (goście w dworze baroneta, pasażerowie *Orient Express*'u, turyści na pokładzie parowca na Nilu, itp.). Poirot nie jest udaną kreacją i sama pisarka dała jego karykaturę w późniejszych powieściach, których bohaterka — również autorka powieści kryminalnych — rozpaczliwie zmaga się z postacią *„okropnego fińskiego detektywa"*, którego nieopatrznie wprowadziła do swoich utworów. Popularność powieści *„poirot*'owych" jest więc raczej wynikiem kombinacji dobrej zagadki i atmosfery, tak angielskiej jak *a nice cup of tea* czy zmiana warty przed pałacem Buckingham. Znacznie bardziej udaną postacią jest Miss Marple (pierwszy występ w *Morderstwie na plebanii*, 1930), choć reprezentuje ona — w przeciwieństwie do Poirot, który dyskretnie inkasuje honoraria — typ czystego amatora.

Zdaniem Binyona najlepszym w ogóle brytyjskim (powieściowym) detektywem prywatnym lat 30-tych jest Nigel Strangeways, bohater kilku powieści Nicholas Blake'a (pseudonim C.D. Lewis'a [1904-72], poety wysokiej klasy). Strangeway jest ulepszoną wersją Lorda Wimsey: studiował w Oxfordzie, ale wydalono go stamtąd za odpowiadanie na egzaminach pisemnych za pomocą *limerick*'ów; po kilku podróżach zagranicznych został detektywem prywatnym w Londynie i ma dużo sukcesów, w czym nieco pomaga mu fakt, że wuj jest wysokim funkcjonariuszem Scotland Yard'u. Świetna „dedukcja" (ściślej: *wnioskowanie*, ale nie ma co walczyć z terminem uświęconym przez samego Holmesa, dobra psychologia i — naprawdę — dobry typ humoru. Ten ostatni punkt jest ważny, gdyż humor(ek) jest piętą achillesową całego omawianego tu gatunku. Binyon podaje kilka rad praktycznych, jak ustrzec się zbyt facecyjnych utworów już w trakcie wertowania książki w księgarni. Sygnałami ostrzegawczymi są m.in.: zbytnie podobieństwo bohatera do postaci Bertie Woostera z powieści Wodehouse'a, detektywistyczne pary małżeńskie i narzeczeńskie, a już szczególnie — psy lub/i koty hodowane przez detektywa i obszernie opisywane przez autora.

Podobnie jak „zawodowy zawodowiec" czyli policjant, zawodowy detektyw prywatny również długo musiał zmagać się ze swoim niskim statutem społecznym, choć z innych powodów. W latach międzywojennych termin „detektyw prywatny" kojarzył się bowiem automatycznie z osobnikami trudniącymi się za pieniądze zbieraniem tzw. dowodów wiarołomstwa (w celach rozwodowych). Nie była to więc postać budząca zaufanie i sympatię — szczególnie w Ameryce. Stąd też ten typ „zawodowego amatora" występuje raczej w powieściach europejskich i to głównie angielskich. Zbiurokratyzowanie policji na kontynencie sprawiło, że prywatni detektywi „nie-rozwodowi" nie mieli tu zbyt szerokiego pola do popisu — stąd też większą popularnością cieszyli się zawodowcy o cechach amatorów, jak np. komisarz Jules Maigret, bohater Georges Simenona (1903-90), który mało zajmuje się rutyną zbierania odcisków palców, ustalania alibi, etc., natomiast intensywnie „wczuwa się" w *genius loci* i siłą intuicji rekonstruuje psychologiczne motywy zbrodni. Zauważmy, że Maigret niewiele odbiega w swych metodach od Ojca Browna, bohatera czterech zbiorów opowiadań G.K. Chestertona (1874-1936).

Jedynym dobrze znanym powieściowym detektywem prywatnym typu klasycznego (wręcz fotelowego) w Ameryce lat 30-tych jest Nero Wolfe, bohater powieści Rexa Stouta (1886-1975). Autor zrobił wszystko, by odróżnić Wolfe'a od rzeczywistego „prywatnego": jego bohater (z pochodzenia Czarnogórzec!) jest zamożny, b. otyły (ok. 140 kg.) i prawie nie opuszcza swojego wytwornego apartamentu na 35 St. West w Nowym Jorku. Najchętniej zajmuje się pielęgnowaniem orchidei w oranżerii na dachu i eksperymentami kulinarnymi; klientów przyjmuje jedynie, gdy zmusza go do tego niski stan konta bankowego. Wówczas zagłębia się w zagadkę zbrodni, rozwiązuje ją na podstawie danych dostarczonych przez pomocnika, zbiera podejrzanych w swym gabinecie, ujawnia zbrodniarza i oddaje go w ręce zaprzyjaźnionego inspektora policji. Książki, w których występuje (pierwsza ukazała się w 1934) zawdzięczały swą popularność zręcznej adaptacji atmosfery Sherlocka Holmesa do realiów amerykańskich. Dziś to już *vieux jeu*, mimo nudnawej rezurekcji w formie serialu telewizyjnego.

Brak przekonywujących detektywów prywatnych typu klasycznego Ameryka zrekompensowała — i to z nawiązką — wytworzeniem postaci tzw. *private eye*, co niby oznacza to samo, ale w istocie jest czymś zupełnie odmiennym. Binyon nazywa to transatlantyckie „rozdwojenie" zawodowego amatora *„schizmą lat 20-tych"*.

Amerykański detektyw typu *privat eye* (dosł. „prywatne oko" — aluzja do emblematu powstałej w 1850 Agencji Pinkertona, którym było otwarte oko nad dewizą „nigdy nie śpimy")

jest figurą typową dla okresu prohibicji i w wielu istotnych punktach (literackich) różni się od swego klasycznego kolegi: często jest pracownikiem (lub szefem) biura detektywistycznego, operuje prawie wyłącznie w scenerii wielkiego miasta, odznacza się dużą konsumpcją alkoholu, nie stroni od seksu i z reguły jest w konflikcie z policją. Jego „sprawa" to nie martwy wicehrabia w zamkniętej bibliotece swej wiejskiej posiadłości, a raczej polecenie zlokalizowania osoby od kilku tygodni nie odpowiadającej na telefon czy też zbadania źródeł dochodów *play boy*'a, którym interesuje się atrakcyjna i już 3-krotnie rozwiedziona jedynaczka zleceniodawcy (z reguły milionera, często senatora). Już pierwsze kroki na tej drodze powodują, że w biurze bohatera pojawiają się gangsterzy z *tommy-gun*'ami, pod wskazanym adresem znajduje on (drzwi były uchylone...) nie dające się zidentyfikować zwłoki, a wszyscy potencjalni informatorzy giną jeden po drugim; w tle szantaże, spekulacja gruntowa i skorumpowana policja. W prymitywnej formie ten typ detektywa pojawia się już w opowiadaniach zamieszczanych w tzw. *pulp magazines*, grubych (ok. 120 str.) broszurach drukowanych na tanim papierze z miazgi drzewnej, które w latach 20-tych skutecznie konkurowały jeszcze z kinem; najsławniejszy był „magazyn" pt. *Czarna Maska*. Początkowo ten poprzednik Philipa Marlowe — kreacji nieprześcignionego mistrza tego gatunku, Raymonda Chandlera (1888-1958) — nie różnił się wiele od *pistolero* do wynajęcia, z wyjątkiem pewnej rudymentarnej etyki zawodowej *plus* obowiązkowego zastrzeżenia, iż nie podejmuje się spraw rozwodowych. Kształt bardziej artystyczny nadał mu dopiero Dashiell Hammet (1894-1961), który sam pracował przez kilka lat w agencji Pinkertona i żywił prawdziwy kult tego zawodu; najbardziej znanym z jego *operators* jest Sam Spede z *Sokoła maltańskiego* (1930).

Wspomniany przed chwilą Chandler świadomie nawiązał do Hammeta, tworząc sylwetkę Marlowe'a (pierwszy występ: *Wielki sen*, 1939), ale wprowadził istotne innowacje: 1. — podniósł *język* powieści o kilka pięter; 2. — nadał bohaterowi cechy romantyczne i obdarzył wyższą kulturą ogólną; 3. — poprowadził narrację w pierwszej osobie. To ostatnie jest niesłychanie ważne dla procesu identyfikacji czytelnika — czy po prostu: sympatyzowania — z bohaterem.

Sukces Chandlera był wynikiem zarówno talentu literackiego jak i znacznie większego niż u jego kolegów wykształcenia i doświadczenia życiowego. Pochodził z Illinois, ale kształcił się w Anglii i walczył w I wojnie światowej. Po powrocie do Stanów osiedlił się w Kaliforni, gdzie zaszedł wysoko w hierarchii dużej kompanii naftowej. Na szczęście dla omawianego tu gatunku zwolniono go w 1932 r. za pijaństwo, po czym zaczął

pisać dla zarobku. Po szeregu nowel wydał w 1939 r. wspomniany *The Big Sleep* — pierwszą z 7-miu obecnie już klasycznych powieści „marlowe'owskich". Ktokolwiek czytał choćby jedną z nich (aż po niezbyt udany *Playback*, 1958) wie na czym polega słynna chandlerowska atmosfera. Marlowe jest niezbyt młody — w pierwszej powieści ma już 33 lata — pracował niegdyś w policji, ale został zwolniony za niesubordynację; posiada (stale zagrożoną) licencję *private eye* na teren Los Angeles z przyległościami i przyjmuje klientów w obskurnym biurze na 3-im piętrze brudnawego *building*'u przy Hollywood Boulevard. Jest nieżonaty, cyniczny i bezwzględnie uczciwy („25 dolarów dziennie *plus* wydatki; żadnych spraw rozwodowych"). Nie ma złudzeń co do wartości moralnej większości swej klienteli (i słusznie), ale jest wobec niej lojalny we wszystkich okolicznościach obejmujących szykany policyjne, zagrożenie przez gangsterów i presje lokalnych plutokratów. Jego jedyną satysfakcją po rozwikłaniu „sprawy" — przeciętnie 5-6 trupów różnego autorstwa, ale głównym czarnym charakterem okazuje się zawsze kobieta — jest sarkastyczny monolog na temat otaczającego świata i powrót do kawalerskiego mieszkania-sanktuarium, gdzie czeka nań szachownica z nierozwiązanym problemem i napoczęta butelka whiskey.

Philip Marlowe stał się równie emblematyczną postacią dla Kalifornii końca lat 30-tych i okresu wojny (bo w istocie tę epokę Chandler opisuje), co Holmes dla wiktoriańskiej Anglii i nic dziwnego, że wciąż na nowo kusi reżyserów filmowych, choć „klasyczną" wersję tej postaci stworzył już Humphrey Bogart. Kusi też literatów — i warto wspomnieć o jednej z prób jego kontynuacji. Podjął ją niejaki Robert B. Parker (ur. 1932; właściwy zawód: profesor jednego z *college*'ów w Bostonie; hobby: kulturystyka). Autor ten zaczął od dość zręcznego pastiszu pt. *Rękopis Godwulfa* (1973) usytuowanego w Bostonie, którego bohater o równie literackim nazwisku Spenser przypomina swój pierwowzór sardonicznym stylem, wolnym stanem i wizytówkami (skrzyżowane sztylety nad nazwiskiem). Wprawiwszy rękę serią dalszych „spenserów" Parker wziął na warsztat niedokończony oryginalny manuskrypt Chandlera pt. *Poodle Springs* (ca. „Pudli Zdrój' — karykatura Palm Springs w Kalifornii) i zrobił z tego zręczną powieść, w której Marlowe występuje jako mąż — chwilowy na szczęście — młodej i pięknej milionerki. Zachęcony powodzeniem tej książki Parker niemal natychmiast napisał domniemany ciąg dalszy *Wielkiego snu* Chandlera, pt. *Perchance to Dream* (1991); było to możliwe dzięki temu, że Marlowe w oryginale z lekka zakochał się w starszej siostrze naczelnego *schwarzcharakter*'a — rozwydrzonej i pół obłąkanej *spoiled brat* — i zamiast wydać ją policji zgodził się, by rodzina umieściła

dziewczynę w prywatnej klinice psychiatrycznej. W pseudokontynuacji pióra Parkera staje się ona naturalnie narzędziem w rękach nikczemnego właściciela tej instytucji i Marlowe ma sporo roboty, by pokrzyżować jego ciemne machinacje. Rzecz jest nieźle zrobiona i lektura sprawia podobną przyjemność, jak np. śledzenie wyników konkursu na najlepsze naśladownictwo stylu Hemingwaya, organizowanego corocznie w Honolulu *of all possible places*.

Tu wtrącę dygresję-ostrzeżenie dla ewentualnych amatorów reszty twórczości prof. Parkera, ponieważ zmylony omówionymi powyżej — niezłymi — jego osiągnięciami, nabyłem w czasie ubiegłych wakacji kilka nowszych „spenserów" i przeczytałem ze wzrastającym zirytowaniem. Rzecz w tym, iż autor z racji wieku, miejsca zamieszkania i urzędu stał się typowym okazem amerykańskiego *liberal*, co można porównać — *mutatis mutandis* — z zanikającym już typem francuskiego *intellectuel de gauche*. Nic by to nie szkodziło, gdyby Parker nie zaczął coraz natarczywiej kształtować swych powieści jako ilustracji tej „wizji światopoglądowej", ale niestety tak właśnie się dzieje. Właściwy bohater, Spenser, stał się stopniowo tylko cieniem pomocnika-przyjaciela Murzyna, który jest nie tylko stuprocentowym herosem, ale i rodzajem termometru moralnego tych powieści. W jednej z nich np. para ta musi — celem zdemaskowania perfidnego milionera — konferować z zastępczynią *district attorney*; jest nią wprawdzie sympatyczna młoda kobieta, ale niestety biała, no i reprezentuje *establishment*, toteż Spenser (również biały) czuje się nieswojo, jako że przyjaciel-termometr siedzi ponury i pogardliwie milczy. Dopiero w momencie gdy z wypowiedzi pani prokurator okazuje się, iż jest lesbijką, twarz Murzyna ogarnia ciepły uśmiech i atmosfera staje się bardziej kordialna. Takich scenek ilustrujących *correct politics* jest w tych utworach mnóstwo, toteż główną ich wartość stanowi przypomnienie, iż socrealizm niejedno ma imię, a szczególnie zabójczy okazuje się właśnie w omawianym tu gatunku piśmienniczym.

Warto wspomnieć, że podobną klęskę odnotowuje już Binyon w odniesieniu do utworów wcześniejszych. W połowie lat 60-tych szwedzka para małżeńska Maj Sjöwall i Par Wahlöö (komuniści) rozpoczęła publikację 10-tomowej serii „proceduralnej" (tzn. o pracy całego komisariatu) usytuowanej w Sztokholmie, a której celem miało być wg ich własnej deklaracji *„użycie powieści kryminalnej jako skalpela otwierającego wnętrzności spauperyzowanego ideologicznie i wątpliwego moralnie tzw. państwa opiekuńczego typu burżuazyjnego"*. Binyon chwali tę książkę za sumienność opisu mechanizmu pracy policyjnej, ale zżyma się na irytującą tendencyjność, a szczególnie na ambiwalencję w traktowaniu policjantów, raz przedstawianych jako wyzyskiwane ofiary

systemu, a kiedy indziej jako żałosne pajace „na pasku". *„Rezultatem tego braku równowagi* — konkluduje — *jest dezorientacja czytelnika i popsucie serii jako całości"*.

Skądinąd forma proceduralna wydaje się najbardziej współczesną i obiecującą mutacją powieści kryminalnej w jej aspekcie zawodowym. Aspekt „prawny" bowiem nie tylko stał się już nieco anachroniczny, ale też dziesięciolecia eksploatacji postaci *private eye* sprawiły, że następcy Marlowe'a stali się wręcz nieodróżnialni jeden od drugiego. Ze współczesnych klasyków kryminałów proceduralnych Binyon uważa dwóch autorów: Amerykanina Ed McBain'a (ps. Evana Huntera ur. 1926) i Anglika Williama Marshalla (ur. 1944). Zbiorowym bohaterem powieści McBaina (pierwsza z tej serii: *Cop Hater*, 1956) jest fikcyjny nowojorski *precinct 87*; po kilku powieściach wszyscy pracownicy tego komisariatu stają się dla czytelnika dobrymi znajomymi, wliczając w to ich kłopoty rodzinne, stały niedobór personelu i ciasnotę pomieszczeń urzędowych. Świetne opisy rutyny policyjnej w wielkiej metropolii w ostatnich powieściach zostały nieco zmącone niefortunnym pomysłem autora, by wprowadzić do nich rodzaj Profesora Moriarty („Deaf Men'), z którym musi walczyć gwiazda zespołu, porucznik Steve Carella. Akcja powieści Marshalla toczy się w Hong Kongu, w komisariacie przy ulicy „Żółtej Nici" (tak też nazywa się pierwszy utwór serii: *Yellowthread Street*, 1975). Nie byłem i nie czytałem — ale Binyon bardzo chwali, szczególnie ich dyskretny humor i świetne pomysły; np. w jednej z powieści wszystkie ofiary tajemniczego zbrodniarza łączy wspólna cecha: mają przy sobie kartę szczepień na *cudze* nazwisko...

Amerykańska linia powieści kryminalnych rysuje się więc dość jasno: długo przeważał w niej typ „zawodowego amatora" dwóch kategorii — *private eye* i półprofesjonalisty w stylu Perry Masona; ostatnio zaczął dominować zawodowiec i to często w oprawie powieści proceduralnej. Nie jest to oczywiście katalog wyczerpujący, gdyż inne typy — wliczając w to czystego amatora — również tu występowały. Dla porządku należy wymienić dwie dość znane postacie amatorów: Philo Vance'a z powieści S.S. Van Dine'a (ps. W.H. Wrighta, 1888-1939) i Ellery Queen'a z dość dziwacznych utworów publikowanych pod tymże nazwiskiem (w istocie pseudonimem dwóch współautorów-kuzynów, F. Dannay [1905-71] i M.B. Lee [1905-82]. W okresie międzywojennym „Philo Vance" uchodził za szczyt detekcji i wyrafinowania gatunku, dziś jest trudny do strawienia. Autor — znany nowojorski krytyk sztuki — we wczesnych latach 20-tych miał zapaść nerwową i jako terapię polecono mu czytanie kryminałów; przeczytał ich ok. 2000 i wysnuł teorię, jak należy te rzeczy pisać. Jego bohater jest więc angielskim arysto-

kratą (z butlerem), ale mieszka w N. Jorku i naturalnie interesuje się sztuką. Jego metoda polega na tzw. psychologicznej identyfikacji zbrodniarza, co w połączeniu z jego przemądrzałością i afektowanym stylem wyrażania się ukazuje, jak bardzo ten gatunek posunął się od tego czasu w ewolucji. Powieści „Queen'a" są nieczytelne z dwóch powodów: bohater pisze o sobie w trzeciej osobie, mieszka wraz z ojcem (inspektorem policji) i służącym w Nowym Jorku i rozwiązuje szarady tak skomplikowane, że czytelnik nawet po skończeniu książki nie bardzo wie „kto i po co", choć autorzy w przedostatnim rozdziale zachęcają go do rozwikłania problemu samemu na podstawie zgromadzonego uprzednio „materiału dowodowego". Wiem o czym piszę, bo przeczytałem z dziesięć książek Ellery Queen'a i nie pamiętam ani jednej; było to wprawdzie dawno temu, ale czytanych w tym czasie Gardnera i Chandlera pamiętam (jako klimat) do dziś świetnie.

Jak już powiedzieliśmy wyżej powieściowi policjanci w Europie, a szczególnie w Anglii, mieli trudny start. Pierwszym zawodowcem na serio nie licząc nudnego Lecoq'a jest inspektor French z angielskich powieści F.W. Croftsa (1879-1957), celowo wystylizowany na antytezę Holmesa — nie tylko fizycznie (niski, tęgi, żonaty), ale i w zakresie metody — (ścisła procedura, każdy szczegół uwzględniony, żelazna logika).

Crofts był z zawodu inżynierem kolejowym i pracował w tej branży na wysokich stanowiskach; nic więc dziwnego, że koleje — nie jako sprzęt, a rozkład jazdy (alibi!) — grają w jego powieściach ważną rolę. Powieści te mają świetną konstrukcję, ale przez to też nabierają cech przewidywalności, bo przestępcą z reguły okazuje się osoba o najbardziej nieposzlakowanym alibi. Niemniej „inspektor French" wiele zdziałał w zakresie rehabilitacji detektywa-policjanta i jego wpływ jest widoczny u licznych angielskich autorów międzywojnia. Do przywrócenia zawodowca do łask przyczynił się też rzeczywisty rozwój wydarzeń: w 1931 r. Lord Trenchard (legendarny twórca RAF) gruntownie zreformował policję londyńską i od tego czasu w „literaturze przedmiotu" zaczynają pojawiać się inspektorzy nowego typu: młodsi, szczuplejsi, nierzadko z uniwersyteckim wykształceniem czy zgoła parantelami arystokratycznymi. Była to naturalna ewolucja w stronę typu pośredniego — „amatorskiego zawodowstwa" — o którym już wspomnieliśmy w związku z postacią komisarza Maigret. W Anglii zyskał sobie w swoim czasie niejaką renomę „*Chief Inspector* Roderick Alleyn" z powieści Ngaio Marsh (1899-1982; z pochodzenia Nowozelandka), który zrezygnował był z pracy w dyplomacji, by przejść do policji i którego uwielbiają tam jego najbardziej prostaccy podwładni. Nieprawdopodobieństwo sytuacji pogarsza jeszcze grubo

wyeksponowany snobizm autorki. Niemniej typ „niekonwencjonalnego policjanta" mocno się zakorzenił i kwitnie do dziś, szczególnie w powieściach niekwestionowanej następczyni Agathy Christie o nazwisku P.D. James (ur. 1920). Jej stałym bohaterem jest naczelny inspektor Adam Dalgliesh z policji metropolitalnej, w której przysługuje mu też tytuł *Commander*: przystojny wdowiec i (poza godzinami służbowymi) poeta, publikowany i ceniony przez krytyków. Pani James, których pełnych imion nie podaje nawet prof. Binyon (podejrzewam, że są ukrywane celowo, bowiem skrótowa forma '*Pi-Di-Dżejms*' jest idealnym anapestem i łatwo wpada w ucho) zawdzięcza swe powodzenie nie tyle doskonałej dedukcji, co znakomicie oddanej atmosferze — równie angielskiej co u Agathy Christie, a znacznie bardziej współczesnej i realistycznej. Autorka spędziła większość życia w administracji (szpitale i zakłady medycyny sądowej), a więc „zna życie" zarówno od strony cywilnej, jak i procedury kryminalnej. Większość powieści z Dalglieshem toczy się na prowincji; Londyn jest tłem krótszej serii jej pióra (też dobrej, a zdaniem niektórych lepszej), której bohaterem jest przystojna właścicielka małej agencji detektywistycznej w pobliżu Soho, nazwiskiem Cordelia Gray. Osobiście uważam twórczość p. James za najlepszą współczesną kontynuację angielskich kryminałów typu klasycznego i ubolewam, że autorka *Cover Her Face* (1962; debiut Dalgliesha) pracuje znacznie wolniej od swej sławnej poprzedniczki: jak dotąd napisała zaledwie tuzin książek...

Czytelnicy tego omówienia zauważyli być może, iż nie wymieniłem w nim wielu znanych nazwisk, tradycyjnie zaliczanych do gwiazd tego gatunku, jak np. Edgar Wallace (1875-1932). Powodem jest usiłowanie zachowania ram typologicznych zaproponowanych przez Binyona, tzn. nieopuszczanie przestrzeni wyznaczonej przez 4 typy detektywów: „amatora" — „zawodowego amatora" — „amatorskiego zawodowca" — „zawodowca". Większość znanych powieści Wallace'a mieści się raczej w kategorii *thriller*'ów; do interesującej nas tu kategorii autor *Trzech sprawiedliwych* wniósł stosunkowo niewiele: serię nowel, z których najlepsze ukazały się w zbiorze *The Mind of Mr J.G. Reeder* (1925). Z podobnych względów nie należą do tematu powieści szpiegowskie i awanturnicze, które oczywiście też mają swe szczyty w postaci utworów Johna le Carré (*discutable*), czy Frederica Forsytha, pagórki (Ludlum), i rynsztoki (Gérard de Villiers: francuski sadopornograf, snob i szowinista, na domiar wszystkiego bezczelnie reklamujący [zapewne za opłatą] w swych opowieściach o „Jego wysokości księciu Malko" japońskie zegarki i jeden z mało chodliwych koniaków).

Nieco podobny status mają warianty klasycznego modelu kry-

minału, a więc parodie, adaptacje w konwencji *science fiction* (Lem się kłania), a także „detektywi historyczni" w typie Brata Williama z Baskerville (bohatera słynnego *Imienia róży* [1983] Umberto Eco). Binyon umieszcza tego rodzaju utwory w małym podrozdziale pt. *A Few Oddities*; spośród tych „ekscentryczności" warto tu tylko odnotować serię powieści angielskich Ellis Petersa (ps. Edith Mary Pargeter, ur. 1913), których bohaterem jest Brat Cadfael (eks-krzyżowiec i bystry detektyw), żyjący w XII w. w świetnie odmalowanym opactwie benedyktyńskim w Shrewsbury. Zważywszy, że pierwsza książka o nim (*Morbit Taste for Bones*) ukazała się dopiero w 1977 r., podobieństwa pomiędzy tą serią a *Imieniem róży* są być może tylko przypadkowe.

Na temat powieści kryminalnych „w ogóle" napisano już dziesiątki uczonych rozpraw w tonacji historycznej, socjologicznej, filozoficznej, strukturalistycznej i „dekonstruktywistycznej", toteż Binyon słusznie powstrzymuje się od niepotrzebnych wywodów sprowadzających się w istocie do prostej konstatacji, iż *genre* ten jest swoistym bajkopisarstwem dla dorosłych i że przyjemność płynąca z lektury dobrego kryminału należy do podobnego gatunku przyjemności — prostych i biernych, ale niewątpliwych — co pogawędka z przyjaciółmi, rolmops i duża czysta czy spacer nad rzeką w letnie popołudnie. Mimo więc ogłaszanego od czasu do czasu „kryzysu powieści" *te* powieści mają jeszcze przed sobą zapewne długą przyszłość.

M. BROŃSKI

Sučasnist' (1961-1991)

Słowo sučasnist', zapożyczone przez Ukraińców od Czechów w XIX w. w znaczeniu 'współczesność', jest tytułem miesięcznika, który wydawany był przez 31 lat w Monachium, w London (Ontario), w Nowym Jorku i w Newark (New Jersey) przez Ukraińskie Towarzystwo Studiów Zagranicznych, związane z Ukraińską Główną Radą Wyzwoleńczą (UGRW), powstałą w podziemiu w Galicji historycznej (po austriacku: wschodniej) w 1944 r. W ostatnim okresie, po zwinięciu działalności w Monachium (1990-91), wydawcą pisma było związane z tą samą UGRW wydawnictwo „Prolog". *Sučasnist'* powstała

przez połączenie dwutygodnika UGRW *Sučasna Ukrajina* (Monachium 1951-60) i miesięcznika *Ukrajińska Literaturna Hazeta*, wydawanego przez zespół Ukraińców ze wschodu, I. Koszeliwcia, J. Ławrinenkę i innych (Monachium 1955-60). W 1976 r. *Sučasnist'* wchłonęła wydawany w USA kwartalnik *Ukraińskyj Samostijnyk* wraz z jego redaktorami (z których szczególnie aktywnym w *Sučasności'* stał się politolog A. Kamiński). Kolejnymi redaktorami naczelnymi *Sučasności* byli I. Koszeliweć (1961-6, do skandalu z I. Kosteckim, o czym poniżej), W. Stachiw (1967) i W. Burghardt (1967-70). Od 1970 do 1976 r. *Sučasnist'* redagował zespół bez oficjalnego redaktora naczelnego. Od 1976 r. funkcję tę piastowali kolejno I. Koszeliweć (1976-8), J. Szewelow (1978-81), M. Skorupska (1981-3), I. Koszeliweć (1983-4) i T. Hunczak (1984-91). Cząstkowe wyobrażenie o liczbie czytelników pisma daje *Sučasnist'* z 1977 r., która rozesłała wówczas ankietę czytelniczą na 700 adresów w samych Stanach Zjednoczonych. Wśród respondentów przeważały osoby w wieku 51-60 lat, raczej o wykształceniu wyższym. Nie było wśród nich osób w wieku poniżej 21 lat.

Ukraińcy, z których wielu prenumerowało polską *Kulturę* paryską, nieraz porównywali oba pisma. Już w 3-cim nrze *Sučasności* z 1961 r. I. Kamenecki wyraził wiarę w to, że *Sučasnist'* „stanie się dla nas tym, czym dla Polaków na emigracji stała się *Kultura*". A w *Sučasności* z 1986 r. znajdujemy artykuł P. Turuły pt. „O czasopismach — *Sučasności* ukraińskiej i *Kulturze* polskiej. Porównania i podobieństwa". „Nie jest tajemnicą — pisał autor — że *Sučasnist'* od początku uważała za swą ambicję i swój cel osiągnięcie prestiżowego poziomu *Kultury*" (1986/5). Turuła uważał, że „*Sučasnist'* jest bogatsza w treść i tematykę" niż *Kultura*, natomiast przydaliby się *Sučasności* wzorem *Kultury* stali autorzy w stałych rubrykach. Wydaje się, że Turuła przekładał kryteria ilościowo-formalne nad jakościowe. Gdy o jakość chodzi, *Sučasnist'* nigdy nie miała autorów tej klasy co *Kultura*. Być może tematyka *Sučasności* była rzeczywiście bardziej wielostronna, ale wynikało to z różnicy zdań między polityczną emigracją polską i ukraińską: o ile pierwszej chodziło głównie o walkę o niepodległość i o odkłamanie dziejów najnowszych, Ukraińcy musieli walczyć o zachowanie całej substancji narodu zagrożonej w kraju (języka, literatury, całej historii, religii itd.), wobec czego *Sučasnist'* musiała brać na siebie też takie zadania encyklopedyczno-wychowawcze, które nie obarczały polskiej emigracji politycznej.

O czym pisano w *Sučasności* w ciągu tych 31 lat? Pomińmy tematykę encyklopedyczno-wychowawczą, informacyjną i artystyczną i skupmy się tylko na ideach i orientacjach polityczno-społecznych pisma. Spengleryzmem tchnęły wieszczby E. Rajsa o

„rychłej zagładzie Zachodu" i „wyczerpaniu się" Europy zachodniej (1961/1). Wtórował mu W. Hołubnyczy zapowiadając „koniec ducha zachodniego" (1963/8).

Pociechą stały się „ukryte konflikty między Pekinem a Moskwą", które może by się dało jakoś wygrać (W. Stachiw — 1961/1). Motyw tego konfliktu będzie długo wałkowany (I. Majstrenko — 1961/2, B. Hałajczuk — 1961/3), W. Hołubnyczy — 1962/2, 1962/6). Kawę na ławę wyłożyli J. Wreciona („w konflikcie Moskwa-Pekin nasze sympatie są po stronie Pekinu" — 1964/3), M. Prokop (konflikt ten „jest korzystny dla Ukraińców" — 1965/5), M. Łebed (trzeba „szukać powiązań z Chinami" — 1965/10). Przedstawicielstwo Zagraniczne UGRW („naród ukraiński zainteresowany jest w tym, by cele jego walki rozumiał też tak prastary naród jak Chińczycy" — 1970/4). Ale gdy Chińczycy nie odpowiadali na te zaloty, zawiedzeni zalotnicy próbowali dokonać zwrotu o 180° (M. Prokop, 1979/7-8: „kierownicy imperium powinni szukać pojednania z narodami nierosyjskimi, bo tylko wspólnym frontem mogłaby się Rosja przeciwstawić ew. inwazji chińskiej"). Zaczęto zaprzeczać, że istnieje orientacja na Chiny (M. Prokop, 1971/12: czy „nowa ukraińska orientacja na Chiny? Nie"). Ale to nie był koniec karty chińskiej. A. Kamiński uznał, że trzeba niepojętnym Chińczykom podpowiedzieć, czego się od nich oczekuje: Chiny powinny „wysunąć wyraźną koncepcję narodowego i społecznego wyzwolenia wszystkich narodów bloku sowieckiego" (1973/1); „potrzebne jest dokładne wyjaśnienie chińskiego stosunku do koncepcji wyzwoleńczej narodu ukraińskiego" (1975/10). W. Sereda (pseudonim niżej podpisanego) odrzucił rachuby niektórych Ukraińców na wojnę chińsko-sowiecką (1976/4). A. Kamiński niecierpliwił się coraz bardziej: „Pekin dotychczas nie wysunął pozytywnego programu wobec Ukrainy" (1978/2). A. Wudka martwił się, że nawet w wypadku zwycięstwa militarnego nad Sowietami Chiny nie ujmą się za Ukrainą (1978/9). P. Bałej proponował, by emigracja ukraińska wysłała ukraińskiego marksistę I. Majstrenkę do Chin, „gdzie miałby okazję szerzyć w osobistych kontaktach ideę rozbicia imperium sowieckiego i niepodległości socjalistycznej Ukrainy" (1980/5). Dopiero polska „Solidarność" usunęła temat Chin z łamów *Sučasności*.

Niedoszły romans z Chinami wiązał się z sympatiami do komunizmu narodowego. Nawet I. Łysiak-Rudnycki, choć daleki od socjalizmu, bronił ukraińskiego komunizmu narodowego z lat 20-tych przed krytyką ze strony emigrantów z USSR (1961/1). Pojawiły się przychylne artykuły o ukraińskich komunistach narodowych (O. Semenko o M. Skrypnyku — 1961/6). J. Wreciona wzdychał: „Gdyby na Ukrainie istniała teraz partia komunistyczna Szumskiego-Chwylowego, to i sytuacja na Ukrainie byłaby

dziś podobna do tej w Albanii" (1964/3). M. Prokop przypominał tezę I. Bahrianego, że kadry przyszłej rewolucji ukraińskiej są w partii komunistycznej i Komsomole (1965/8, 1968/10). Przeciw tendencji narodowokomunistycznej wystąpił P. Martiuk: „Czy mogę i chcę stawać do walki z komunistami rosyjskimi z pozycji komunisty ukraińskiego? Na emigracji powinniśmy być maksymalistami i o żadnym 'filstwie' [tj. sowietofilstwie] nie może być u nas mowy" (1967/10). Czytelnikowi postulującemu „przestawienie naszej działalności na platformę sowiecką" R. Rachmanny odpowiadał: „Nie zadowolimy się minimalistyczną autonomią kulturalno-terytorialną, którą oni [młodzi komuniści narodowi w USSR] próbują wywalczyć" (1968/6). P. Czernow (R. Szporluk) przewidywał pojawienie się ukraińskich polityków „nawet w szeregach KPU" (1968/7), por. zacytowaną wyżej opinię Bahrianego). Wątek narodowokomunistyczny wzmocnił A. Dubček: O. Rudnycki oczekiwał, że liberałowie w USSR" wysuną żądania podobne do czeskich też z pozycji marksistowskich" (1968/8). Mimo klęski czechosłowackiego socjalizmu o ludzkiej twarzy S. Olijnyk twierdził, że neomarksistowski „model jugosłowiański i czechosłowacki są atrakcyjnymi wzorami do naśladowania" (1969/12). I. Łysiak-Rudnycki w obronie tolerancji skrytykował Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki w Nowym Jorku za wrogość wobec „propagandy neochwylowizmu i komunizmu narodowego" (1971/5). Interpretując koncepcję pokojowej rewolucji A. Kamińskiego, K. Horbacz widziała w niej ideę komunizmu narodowego, który miałby zrodzić socjalizm o ludzkiej twarzy (1971/7-8). R. Borkowski krytykował „spóźnione widmo sowietofilstwa" wśród emigracji ukraińskiej (1973/4). Nie zrażony tą krytyką A. Kamiński mówił, że „potrzebny jest dalej idący niż za Chruszczowa odwrót od stalinizmu ku marksistowsko-leninowskiemu reformizmowi" (1976/2). W okresie gorbaczowowskiej przebudowy Kamiński zastosował wobec komunizmu narodowego wykładnię rozszerzającą: „nasze możliwości wpływania [na kijowską nomenklaturę] wykraczają poza umacnianie tradycyjnego komunizmu narodowego. Chodzi o reorientację aparatu partyjnego w stronę społeczeństwa" (por. późniejsze przejście kierownika wydziału ideologii KC KPU Ł. Krawczuka na stronę społeczeństwa). Kamiński przypomniał słowa M. Kostomarowa z 1896 r.: „W każdym choć trochę myślącym, nie głupim południowym Rusie drzemie Wyhowski, Doroszenko, Mazepa — i obudzi się, gdy nastanie pora" (1988/4); okazało się, że Wyhowski drzemał nawet w Krawczuku. Marksiście J. Badzi z USSR marzyła się jeszcze w 1989 r. „rewolucja socjalistyczna", która by pokonała partię komunistyczną i zastąpiła upaństwowienie uspołecznieniem (1989/11).

Problemem autorów *Sučasności* była nieprzychylna postawa

Zachodu wobec aspiracji ukraińskich. I. Łysiak-Rudnycki uważał, że walka Ukraińców przeciw amerykańskiej polityce „nieprzesądzania" (o przyszłym kształcie ZSSR po upadku komunizmu) skazana jest na fiasko, bo żaden polityk amerykański nie zaangażuje się w przesądzanie na korzyść niepodległości Ukrainy (1961/1). Politykę Amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia i radia „Liberty" w duchu nieprzesądzania krytykowała J.S. (1961/4). Proimperialne stanowisko USA piętnował W. Stachiw (1962/3). Natomiast J. Pełeński bronił amerykańskiej polityki nieprzesądzania jako rozsądnej i uczciwej, ale wytykał jej nadużycia, np. ukrywanie moskowityzacji Ukrainy (1962/7). W. Łebed' uważał, że amerykańskie widzenie Ukrainy tylko w związku z Rosją wynika z „wieloprzestrzennych koncepcji od dawna pielęgnowanych w świecie anglosaskim" (1962/7). W. Hołubnyczy dostrzegał podobieństwo Amerykanów do Rosjan: oni też podają się za kosmopolitów, podczas gdy w istocie dbają głównie o własny interes (1963/8). R. Rachmanny wręcz utożsamiał Zachód z Rosją: „Rosjanie i działacze Zachodu siłą wpychają naród ukraiński do worka rosyjskiego" (1964/2). O traktowaniu „Rosji" przez historyków amerykańskich jako jednolitego obszaru pisał I. Łysiak-Rudnycki (1966/1). Zamazywanie różnic między państwem a narodem na Zachodzie (korzystne dla imperiów) przypominał P. Kowaliw (1966/4). A. Kary stwierdził, że „wykładanie historii w zachodnich szkołach i uniwersytetach jest tak skonstruowane, że jest totalnym zaprzeczeniem istnienia narodu ukraińskiego" (1967/11). O. Danko zauważył, że rosyjska propaganda imperialna trafiła na podatny grunt w USA, gdzie wierzy się, iż amerykański „wzór inteligencji" nadaje się do zastosowania nawet tam, gdzie istnieją stare kulturalne narody (1968/7). Według I. Koropeckiego negatywny stosunek slawistów amerykańskich do ukrainistyki powstały pod wpływem rosyjskich tradycji imperialnych zaczął się zmieniać dopiero od niedawna (1972/10). M. Prokop przypomniał zachodni „daltonizm imperialny": pod wpływem emigracji rosyjskiej modne było w latach 50-tych na Zachodzie mówienie, że za 25 lat kwestia narodowa w ZSSR przestanie istnieć (1973/4). Prokop (podobnie jak *Kultura*) potępił doktrynę H. Sonnenfeldta jako logiczny dalszy ciąg zachodniego „kapitulanctwa w Helsinkach" (1976/9). B. Osadczuk pisał o tradycyjnym moskwofilstwie prasy francuskiej, które zaczęło się zmieniać dopiero pod wpływem sprawy ukraińskiego dysydenta Ł. Pluszcza (1978/1). Moskwofilstwo nauki amerykańskiej połączone z ignorowaniem Ukrainy odnotował też I. Reszetar (1983/3). Nawet w 1991 r. A. Kamiński musiał stwierdzić, że stawianie przez Zachód na zreformowany ZSSR nie sprzyja aspiracjom ukraińskim (1991/4).

Polska zajmowała dużo miejsca na łamach *Sučasności*, zwłaszcza od lat 70-tych. W. Markuś miał nadzieję, że i na Ukrainie „znajdą się Markowie Hłaskowie" (1961/2, przed pojawieniem się młodych gniewnych pisarzy na Ukrainie w latach 60-tych). R. Rachmanny uderzył w ton szantażu mówiąc, że gdyby Polska lub inne kraje środkowoeuropejskie chciały naruszyć granice Ukrainy, Ukraińcy musieliby „zrewidować swój stosunek do odrębnych umów z mocarstwami [chyba Rosją], aby ochronić całość swego państwa" (1963/9). Ale taki ton był wyjątkiem. M. Prokop stwierdzał jako „aksjomat", że „geografia polityczna i interesy narodowe Ukrainy i Polski wymagają jak najbardziej przyjaznych stosunków i ścisłej współpracy obu narodów" (1971/2). W odpowiedzi na proukraińską linię *Kultury* Prokop pisał, że „po rozpadzie dzisiejszego imperium porozumienie i współpraca między Ukrainą a Polską będzie jednym z centralnych warunków wstępnych ich niepodległości" (1972/9). „Ukraińsko-polska jednomyślność może wpłynąć na wyraźniejsze i bardziej pozytywne stanowisko postępowej części dysydentów rosyjskich w kwestii narodowościowej", stwierdzał K. Złenko (1974/4). Poparł go W. Wytwycki (1974/9). B. Cymbalisty uważał, że Polacy i Ukraińcy powinni zaniechać wypominania sobie przeszłości, aby rany same się zabliźniły (1975/1). P. Turuła (podobnie jak wielu innych czytelników *Sučasności*) przychylnie ocenił artykuł Polaka przesłany z kraju pod pseudonimem „Lwowianin" z propozycją zbliżenia polsko-ukraińskiego jako osi zjednoczenia wszystkich narodów ujarzmionych (1976/1, 1976/4). A. Kamiński z aprobatą wymienił akcję robotników z Ursusa jako przykład skutecznego uderzenia w przeciwnika (1976/10). W. Marczenko (piszący w łagrze w 1975 r.) stwierdzał, że wiersze polskie odkrywały mu „świat normalnych stosunków ludzkich" (1976/12). B. Osadczuk wyraził „głębokie przekonanie o potrzebie sojuszu polsko-ukraińskiego" (tamże). I. Smolij podkreślał „wyjątkową rolę Polski jako szermierza ujarzmionych i zagrożonych wynarodowieniem narodów państw Europy wschodniej" i zapewniał, że „w Ukraińcach znajdą Polacy dobrych partnerów" (1977/2). Niżej podpisany stwierdzał, że literaturze polskiej, która czytana jest w USSR, „przypada w udziale rola nadrabiania dla Ukraińców tego, czego nie dostają z książek ukraińskich" (1977/5). W odpowiedzi na ogłoszoną w *Kulturze* „Deklarację w sprawie ukraińskiej" *Sučasnist'* zamieściła „Deklarację solidarności" podpisaną przez środowiska polityczne zbliżone do *Sučasności* (1977-10). M. Dobriański stwierdzał, że „sojusz polityczny narodu ukraińskiego i polskiego jest warunkiem wstępnym wyzwolenia się Ukrainy od imperializmu rosyjskiego, a po wyzwoleniu — utrzymania jej niepodległości" (1978/1). „Słomiany ogień czy początek wielkiego dzieła?" — zapytywał B. Osadczuk po konferencji polsko-ukraińskiej w Ha-

milton, w Kanadzie (tamże). A. Kamiński podawał Polaków jako przykład dynamiki dla narodów sowieckich (1978/10). W związku z „Solidarnością" M. Prokop pisał, że polscy robotnicy „stworzyli klasyczny skuteczny model walki z wszelką dyktaturą" (1981/2). Model ten A. Kamiński uważał za „najlepszy dla Ukrainy" (1981/5). Wtórował mu M. Prokop chwaląc wzór polski jako „oryginalny model walki o niepodległość" i stwierdzając, że „wśród Ukraińców panuje pogląd o pilnej potrzebie szukania dróg współpracy i przyjaźni z narodem polskim" (1981/6). Ubolewał też nad tym, że „w odróżnieniu od dzisiejszej Polski nie mamy narodu, którego najszersze warstwy jednoczy idea walki o niepodległość" (1981/7-8). W. Wytwycki stwierdzał, że „po raz pierwszy od tysiąca lat wspólnej historii Ukraińcy szczerze i całkowicie są po stronie Polaków" i że zarówno historia jak geopolityka i logika wymagają „jak najszybszego nawiązania bliskich i przyjaznych stosunków między Polakami a Ukraińcami" (1981/10). W. Stus notował w łagrze w 1982 r.: „psychologicznie my, Ukraińcy, jesteśmy bliscy, a może najbliżsi polskiej natury, ale brak nam tego, co najważniejsze — świętego patriotyzmu"; „jaka szkoda, że Ukraina nie jest gotowa do pobierania lekcji od polskiego nauczyciela" (1983/11). Przedstawicielstwo Zagraniczne UGRW oświadczyło, że „Ukraińcy i Polacy powinni stawiać na porządku dziennym to, co ich łączy, a nie to, co ich dzieliło", i że „nierosyjskie narody imperium będą w pierwszej kolejności orientowały się na Ukrainę i Polskę" (1985/4). Ta sama organizacja powitała polskie oświadczenia o uznaniu granic z Ukrainą (1986/4). R. Kupczyński radził Ukraińcom w USSR naśladowanie polskiego przykładu społeczeństwa alternatywnego (1987/7-8). Gdy Polska wkroczyła w okres reform postkomunistycznych, D. Pawłyczko powiedział: „pełen jestem wiary i pragnienia, by eksperyment polski się udał. Jeżeli Polakom się nie uda, to trudniej będzie to zrobić w innych państwach" (1990/3).

Wiele pisano też o drugim sąsiedzie Ukrainy — Rosji. „Jeżeli nie znajdziemy pozytywnego oddźwięku wśród narodu rosyjskiego", oświadczał M. Łebed', „to przed wszystkimi narodami Europy wschodniej stanie zadanie stworzenia frontu wyzwoleńczego bez Rosjan" (1961/6). Według I. Majstrenki Ukraińcy w ZSSR woleli już raczej reżym niż opozycję rosyjską, w której widzieli krok wstecz ku ideologii „jednej niepodzielnej Rosji". Wniosek: „Dziś nie istnieją ani w ZSSR, ani na emigracji konkretne grupy rosyjskie, w których Ukraińcy znaleźliby poparcie swych dążeń wyzwoleńczych" (1961/7). Wszelako należy się wystrzegać zoologicznego szowinizmu wobec Rosji lub krucjaty przeciw narodowi rosyjskiemu (I. Łysiak-Rudnycki — 1961/10, M. Prokop — 1969/7). „Suwerenna Ukraina nie zechce

być państwem buforowym lub bazą wypadową dla rywali Rosji", stwierdzał R. Rachmanny, „ale i nie zgodzi się być bazą Rosji przeciw innym krajom" (1963/9). O.B. Pynchwycz widział potrzebę walki z „anachronicznym uniwersalizmem rosyjskim" (1965/11). I. Kostecki wywołał skandal, gdy wskazał (słusznie), że język rosyjski stał się wzorcem dla Ukraińców, i uznał (niesłusznie) „twórczą, dla nas absolutnie konieczną dwujęzyczność" rosyjsko-ukraińską (1966/7). Zamiast spokojnie podyskutować z Kosteckim redakcja odsądziła go od czci i wiary (1967/1). M. Prokop wyraził proroczą opinię, że renesans narodowy w Rosji jest korzystny i dla Ukraińców i że narody nierosyjskie mogą zdobyć niepodległość tylko wtedy, gdy do wstrząsów dojdzie w samym sercu imperium, tj. w Rosji (1967/8). Zarzucił on też programowi dysydenckiego Ruchu Demokratycznego Rosji brak uznania praw narodów do niepodległości (1970/6). Dopiero po kilku latach wrócił do skandalu z Kosteckim I. Łysiak-Rudnycki, broniąc jego prawa do wypowiadania „nieortodoksyjnych myśli", a z drugiej strony wytykając mu ślepotę na nierównoprawny stosunek członków rosyjsko-ukraińskiej „dwujęzyczności" (1971/5). J. Tarnawski zauważył, że puryzm językowy może być korzystny tylko w obronie przed zalewem rosyjskim, natomiast wpływy polskie, rumuńskie czy niemieckie mogą być sprzymierzeńcem Ukraińców w tej walce (1972/3). I. Majstrenko odrzucał „racjonalne" argumenty Rosjan, jakoby przynależność mniejszych narodów do większych państw była dla nich korzystna, powołując się na imponderabilia (1972/9). M. Prokop krytykował opozycję rosyjską w kraju i za granicą za propagowanie rzekomego anachronizmu niepodległości — z wyjątkiem własnej, rzecz jasna (1973/4). R. Borkowski nawoływał do skierowania wszystkich akcji przeciw „jednemu wrogowi tj. imperializmowi rosyjskiemu, komunistycznego czy innego typu" (1973/4). „Moskiewszczyzna wżarła się trująco w organizm naszej kultury", pisał alarmistycznie I. Koszeliweć, którego własny język jest tego przykładem (1973/9). B. Cymbalisty wskazywał, że „panowanie rosyjskie dlatego jest niebezpieczniejsze" od dawnego panowania polskiego, że „nie stwarza jednolitego frontu wśród Ukraińców" (1975/1). Cytując literaturę rosyjską J. Szewelow zauważył: „Inteligent skolonizowanego przez Rosję narodu nie może bez trudu i wysiłku mówić rosyjskimi cytatami przy każdej okazji" (1975/9), nie dostrzegając, jak się zdaje, że nie jest to powód do dumy czy radości; dawny ukraiński inteligent galicyjski potrafił bez trudu mówić cytatami łacińskimi, greckimi, niemieckimi i polskimi — chyba z większą korzyścią dla Ukrainy. Przewidująco brzmią dziś słowa W. Markusia: „Każda choć trochę zdemokratyzowana Rosja wkrótce stanie przed problemem Ukrainy i ukraińskiego ruchu niepodległościowego

(1976/2). A. Kamiński usiłował zachęcić opozycję rosyjską do walki z „rosyjskim ośrodkiem imperialistycznym" (1976/2). M. Prokop i P. Hryhorenko odrzucali ideę plebiscytu lansowaną przez rosyjskich demokratów w nadziei, że „uda się utrzymać przy Rosji choćby część Ukrainy" (1977/1, 1978/5). P. Bałej ubolewał nad tym, że wierność prawosławiu gubiła Ukrainę, pchając ją w objęcia Moskwy. Z drugiej strony bronił on P. Hryhorenki przed atakami ukraińskiej prawicy za jego propozycje współpracy z opozycją rosyjską pod warunkiem uznania przez nią ukraińskich dążeń niepodległościowych (1980/5). I. Badzio, zwracając się do historyków ukraińskich i rosyjskich, stwierdzał, że sowiecka teoria „jednego ludu (czy narodu) sowieckiego" to bliźniak carskiej i sowieckiej idei „jednego narodu ruskiego" z epoki Rusi kijowskiej (1980/11). W „Deklaracji ukraińsko-rosyjskiej" czytamy, że „front walki sił demokratycznych narodów Związku Sowieckiego trzeba zaczynać od współpracy ukraińsko-rosyjskiej" (1980/11). Polemizując z nacjonalistyczną postawą A. Sołżenicyna A. Kamiński wzywał do współpracy z tymi Rosjanami, którzy uznawali dążenia niepodległościowe innych narodów (1980/12). W. Moroz zwracał uwagę na to, że Rosjanie chętnie akceptowali Ukraińców, ale tylko jako „etnograficzno-humorystyczny dodatek do imperium" (1984/9). K. Mytrowycz stwierdzał, że bizantyjsko-mongolska autokracja rosyjska zahamowała okcydentalne dążenia Ukrainy. Aktualnie brzmią jego przestrogi przed iluzjami idei „europeizacji" głoszonej przez niektórych Rosjan i Ukraińców, tj. w związku narodów między Europą i Azją, zamiast zwykłego przyłączenia się do Europy (1985/2). W. Moroz pod charakterystycznym tytułem „Zadusić w objęciach" wydrwiwał sowieckie „sałatkowe pojęcie *atieczestwa* zszytego z kawałków ukraińskiej haftowanej koszuli, uzbeckiego chałatu, mokasynów Czukczy i rosyjskich łapci" (1985/6). Kontynuując temat rosyjsko-ukraińskiej dwujęzyczności niżej podpisany stwierdzał, że sowiecka dwujęzyczność jest właściwie półjęzycznością i prowadzi do niedorozwoju umysłowego połowy ludności ZSSR (1985/9). W polemice z W. Malinkowiczem, redaktorem wydawanego przez „Prolog" pisma rosyjskiego *Forum*, R. Moroz odrzuciła jego pogląd, że nie-Rosjanie w ZSSR powinni tylko walczyć o język i demokrację, a nie o niepodległość (1986/4). A. Kamiński przestrzegał przed „federalizmem sączonym z łamów niektórych publikacji, które finansujemy", tj. z *Forum* Malinkowicza. Widział on analogię w wykorzystywaniu dyspozycyjnych Ukraińców do reformowania imperium przez Piotra I (T. Prokopowycz jako prezes Najświętszego Synodu) i Gorbaczowa (W. Korotycz jako redaktor *Ogońka*) (1988/4). Ku przestrodze Ukraińców pragnących rewindykacji również dóbr zmoskiewszczonych, J. Łucki pisał: „Ci wśród nas, którzy chcą odzyskać dla

naszej literatury Gogola, muszą sobie zdawać sprawę, że przyszli Gogolowie są też możliwi, a nawet pożądani z punktu widzenia oficjalnej polityki" ZSSR (1988/9).

Na uwagę zasługują dyskusje na temat orientacji kultury ukraińskiej. W. Hołubnyczy próbował dowartościować kulturę ukraińską strukturalistyczną teorią równej wartości wszystkich kultur („również kultura ukraińska w niczym nie jest gorsza od jakiejkolwiek innej") i odrzucał padanie plackiem przed Zachodem (co przypomina stalinowską kampanię przeciw „czołobitności wobec Zachodu") (1963/8). Replikując mu, J. Łucki przypomniał, że tylko kultura Zachodu wytworzyła takie wartości jak szacunek do człowieka, tolerancja, bezstronność, samokrytycyzm i poczucie humoru i że ich istnienie w kulturze ukraińskiej wiąże ją z Zachodem, nie ze Wschodem czy z Południem (1964/1). R. Rachmanny uważał, że nieostra („pastelowa") odrębność kultury ukraińskiej zmusza Ukraińców do szczególnie troskliwej obrony tradycji narodowych (1964/2). M. Carynnyk (wówczas młody gniewny z Kanady) wołał (również pod adresem Rachmannego): „Udowodnijcie ukraińskiemu studentowi, że kultura ukraińska nie jest trzeciorzędną prowincjonalną kopią, a wtedy pozostanie Ukraińcem" (1964/9). R. Rachmanny zarzucił działaczom kultury w USSR, że „za cenę pielęgnowania języka, folkloru i literatury o prowincjonalnym charakterze rezygnują z najelementarniejszych praw narodu (1965/3). O.B. Pynchwycz krytykował ukraińskie społeczeństwo w międzywojennej Galicji i na Wołyniu, które zamiast tworzyć elitę przedsiębiorców wybrało kult wiejszczyzny i Ukrainę irracjonalną (1965/11). J. Tarnawski (też młody gniewny na ten czas, z literackiej Grupy Nowojorskiej) pisał: „Dajmy młodzieży gitary elektryczne zamiast bandur, wąskie spodnie zamiast szarawarów, mini spódniczki zamiast fartuchów i powiedzmy jej, że to ukraińskie, a wtedy nie odejdzie od ukraińskości" (1969/3). J. Łucki wskazywał, że ukraińska megalomania kulturalna (Światosław Hordyński to ukraiński Michał Anioł") wyrasta z kompleksu niższości (1969/6). B. Ołeksandriw oburzał się na J. Tarnawskiego, że proponuje minispódniczki, wąskie spodnie i „wszelką inną pederastię" (1969/7). Nie przerażony tym Tarnawski zaatakował też literacki język ukraiński za jego niewyrobienie. „Jeżeli język ukraiński pójdzie ostatecznie w tym kierunku, w którym idzie dzisiaj [tj. ucieczki do zachodnich wzorców stylistyczno-składniowych], to niech go diabli, raczej się go wyrzeknę". Tarnawski proponował też ukraińską odmianę gombrowiczyzmu: „Literatura ukraińska powinna odzwierciedlać problemy poszczególnych Ukraińców, czyli pisarzy, którzy ją tworzą, a nie jakieś mityczne problemy ogólnonarodowe" (1969/12). Zgrozę wzbudzała w R. Rachmannym kultura przybyszów z USSR: na Expo

67 w Montrealu widział tylko „tradycyjnego człowieka wszechrosyjskiego mieszkającego na południu imperium wszechrosyjskiego" (1971/1). Według niego zarówno w kraju jak i na emigracji nowoczesne „zburżuazyjnienie zagraża samej istocie ukraińskości" (1971/2). Tego samego fałszywego wroga, „drobnomieszczańskość", dostrzegała u studentów ukraińskich w Niemczech K. Hrobacz zarażona modnym lewactwem niemieckim (1971/6). I. Koszeliweć biadał, że język ukraiński, od którego zależy istnienie kultury ukraińskiej, stał się w USSR „językiem martwym, rodzajem łaciny, którą piszą członkowie Związku Literatów Ukrainy" (1973/9). Przecząc tezie emigrantów ukraińskich, że kultura ukraińska była od wieków związana z Zachodem, B. Bojczuk stwierdzał z dezaprobatą: „Była u nas i jest odwieczna odraza do 'obcego' Zachodu, do jego głębi i 'niezrozumiałości'" (1975/2). O apolitycznej orientacji J. Tarnawskiego i innych literatów z Grupy Nowojorskiej J. Szewelow pisał: „Potrzebna nam była jak powietrze poezja bez Ukrainy — i nowojorczycy nam ją dali" (1975/9; por. lechoniowe: „a wiosną — niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę"). Odpowiadając B. Bojczukowi K. Horbač stwierdzała: „Przejawem prowincjonalizmu może być też bezkrytyczny podziw dla wszystkiego, co zachodnie" (1975/9). S. Hordyński przestrzegał przed przenoszeniem do kultury ukraińskiej amerykańskiego kosmopolityzmu i moralności społeczeństwa konsumpcyjnego (1979/10). Niżej podpisany zrównał amerykanizację z „ochlokratyczną popularyzacją" (1979/11). W. Stus uważał za błąd przyjęcie przez Ruś-Ukrainę chrześcijaństwa z Bizancjum, które wprowadziło „paseistyczny duch prawosławia" (1983/11). Podobnie wypowiadał się O. Pricak: 1000 lat temu „poszliśmy do szkoły, która miała już zarodek zastoju, upadku". Za zadanie na przyszłość uważał stworzenie „człowieka ukraińskiego miasta, jedynego możliwego nosiciela i oparcia państwa ukraińskiego" (1984/1-2). K. Mytrowycz żałował, że na Ukrainie „dynastyczna tradycja wareska została przerwana przez całkowitą asymilację [dynastii] z miejscową ludnością" wschodniosłowiańską (1985/2). Niżej podpisany narzekał na „natywistyczno-folklorystyczno-feeryczno-sentymentalno-trywialną tradycję" literatury ukraińskiej jako cechę kultury niedojrzałej i zamkniętej (1986/4). A. Kamiński przestrzegał, że zanik języka ukraińskiego w USSR może doprowadzić do tego, że „znajdziemy się w sytuacji popów-ateistów, którzy głoszą szczęśliwe życie pozagrobowe, wiedząc, że go nie ma" (1988/4). O. Pricak obwiniał narodników ukraińskich o to, że „stworzyli niezdolną do życia utopijną koncepcję narodu bez miasta" (1988/9). I. Fizer odrzucał (z pozycji strukturalistycznych) opinie o niepełności kultury ukraińskiej, ale przyznawał jej „nadmierną bierność" wobec innych kultur, czyli niepełną aktywność, a więc jakąś niepełność (1989/2). J. Szewelow pisał o „lepkim mroku bizantynizmu" i „70-leciu bizantynizmu znomenklaturyzowanego" (1989/11). O. Honczarenko piszący z USSR postulował ponowne przyłączenie się do kultury europejskiej (1991/10). Wszystko to wskazuje na to, że ukraińska tradycja bizantyjsko-chłopska znalazła się w *Sučasności* na cenzurowanym.

W wydawnictwie „Prolog" ukazywało się też kilka pism obcojęzycznych: *Digest of the Soviet Ukrainian Press* (1957-77), *Soviet Nationality Survey* (1984-5), *Focus on Ukraine* (1985) i *Forum* (1982-9, w języku rosyjskim). „Prolog" wydał też w 1985 r. jeden zeszyt *Sučasności* po polsku, zawierający artykuły specjalnie napisane do tego zeszytu. W „Prologu" wyszło drukiem ok. 200 książek i broszur beletrystycznych, politycznych, historycznych i filologicznych na ogół w języku ukraińskim oprócz kilku pozycji po angielsku, rosyjsku, portugalsku. Wśród przekładów na ukraiński znalazł się „Zniewolony umysł" Cz. Miłosza w przekładzie niżej podpisanego (1985 r.). „Prolog" wydał też ok. 30 kaset magnetowidowych.

Po ogłoszeniu niepodległości przez Ukrainę w następstwie puczu sierpniowego w Moskwie kijowska *Literaturna Ukrajina* podała do wiadomości, że *Sučasnist'* będzie od 1 stycznia 1992 r. wychodziła w Kijowie staraniem republikańskiego Stowarzyszenia Ukrainistów i „Prologu". Artykuł nosi tytuł „Gdzie niepodległość, tam i *Sučasnist'*". Współredaktorami naczelnymi mieli być T. Hunczak, pozostający nadal w USA, oraz I. Dziuba, głośny dysydent o orientacji narodowokomunistycznej z lat 60-tych, o którym wiele pisano w *Sučasności* (1974/1, 7-8, 9, 11, 1976/12). Powierzenie mu współredakcji pisma jest przykładem o wiele bardziej wyrozumiałego stosowania „grubej kreski" na Ukrainie niż u nas w Polsce.

Jak powiadomił mnie w rozmowie telefonicznej redaktor P. Sodol' z *Sučasności* (w grudniu 1991 r.), wydawnictwo „Prolog" pozostaje w Newarku. Druk i kolportaż *Sučasności* będzie zlokalizowany w Kijowie, a w USA pozostanie tylko część redakcji. Na pytanie, co zrobi *Sučasnist'*, jeżeli niepodległość Ukrainy we Wspólnocie Niepodległych Państw skończy się tak, jak skończyła się po unii z Moskwą w 1654 r., mój rozmówca zapewnił mnie, że koło historii wstecz nie zawróci. Koło jako przedmiot okrągły ma to do siebie, że czasem zawraca. Ale przyjmijmy zapewnienia redaktora w dobrej wierze.

Bohdan STRUMIŃSKI

Wydawnictwa emigracyjne 1945-89*

Dwa wypadki przesądziły o powstaniu piśmiennictwa emigracyjnego. Pierwszym było cofnięcie uznania rządowi polskiemu w Londynie przez jego zachodnich aliantów 5 lipca 1945, które oddało Polskę na pastwę sowiecką. Koniec wojny zastał setki tysięcy obywateli polskich w wolnym świecie. Wojsko polskie walczyło pod dowództwem brytyjskim na afrykańskim, włoskim i zachodnim froncie. Ludność cywilna dzieliła się z grubsza na trzy grupy, z których najmniejsza uciekła z Polski w r. 1939 i po upadku Francji jej część przybyła do Wielkiej Brytanii wraz z polskim rządem i jego siłami zbrojnymi. Drugą, bardzo liczną, stanowiły ofiary sowieckich wywózek z lat 1940-41, którym udało się w r. 1943 wydostać na Środkowy Wschód wraz z armią polską powstałą w ZSSR. W okresie 1944-45 do tej ludności cywilnej dołączyły ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych i robót przymusowych oraz uwolnieni jeńcy wojenni. I teraz właśnie skazanie Polski na komunizm i oddanie jej wschodnich terytoriów Związkowi Sowieckiemu spowodowały, że bardzo duża część tej ludności i członków PSZ odmówiła powrotu. Tak powstała polska emigracja polityczna, która stworzyła literaturę.

Drugim faktem o zasadniczym znaczeniu dla formowania się tej literatury było oficjalne wprowadzenie w Polsce cenzury prewencyjnej 5 lipca 1946, gdy utworzono Główny Urząd Kontroli Prasy, Wydawnictw i Widowisk. Jego zadaniem była eliminacja i skazanie na niebyt bardzo obszernej tematyki „szkodliwej dla interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej": przede wszystkim dotyczącej wszelkich aspektów stosunków polsko-sowieckich i historii Polski od r. 1914, a często wcześniejszej, o ile byłyby przedstawione z pewną dozą prawdy, oraz wszystkiego, co dotyczyło utraconych ziem wschodnich, utraconych na rzecz ZSSR, które obecnie przestały istnieć nawet retrospektywnie. W ten sposób wszystkie te zagadnienia stały się monopolem piśmiennictwa emigracyjnego, którego wstęp do Polski został surowo zakazany, jego prywatne posiadanie stało się przestępstwem karalnym i nawet materiał wysyłany do bibliotek naukowych często podlegał konfiskacie. Niezależnie od ich tematu prawie wszystkie druki polskie pochodzenia zachodniego miały wzbroniony wstęp do Polski.

W r. 1947 Jan Bielatowicz sprecyzował zadanie literatury polskiej przeciętej żelazną kurtyną:

„Literatura na emigracji służyć ma nie tyle emigracji, co Krajowi, tak jak literatura Kraju służy też nam — emigracji. Literatura polska jest bowiem jedna i niepodzielna[1]".

Rodowód

Piśmiennictwo emigracyjne wywodzi się z literatury Polski Walczącej, powstałej w latach wojny wszędzie tam, gdzie przebywali wolni Polacy. Miała on trzy główne ośrodki: Wielką Brytanię, gdzie przebywał rząd polski, jego siły zbrojne i związana z nimi ludność cywilna; Środkowy Wschód, gdzie w r. 1942 znalazło się wojsko polskie z ZSSR i wielkie rzesze uratowanej stamtąd ludności, oraz Włochy, gdzie to wojsko walczyło jako 2 Korpus. W Wielkiej Brytanii druki polskie wychodziły głównie w Londynie (różni wydawcy), Glasgow (Książnica Polska, 1940-48) i Edynburgu (Składnica Księgarska, 1942-46).

Pierwsze polskie wydawnictwo w Londynie, Minerwa, zostało założone przed wojną przez warszawskiego wydawcę M. Przeworskiego dla publikowania po angielsku dzieł pisarzy polskich i na polskie tematy; przetrwało do r. 1943. W 1940 pracownicy Minerwy założyli firmę M.I. Kolin w celu wydawania polskich książek; w 1944 przejął ją Orbis. Obok tych, różne instytucje i organizacje wydawały swój materiał, a wydawnictwa rządowe drukowały angielskie firmy: Hutchinson, Allen and Unwin, Nelson oraz Oliver and Boyd.

W r. 1942 Środkowy Wschód zaczął wyłaniać się jako drugi ważny ośrodek wydawniczy i wkrótce wyprzedził Londyn. Materiał polski drukował się na szlaku wędrówki wojska i ludności: w Teheranie, Bagdadzie, Bejrucie, Kairze, Tel-Avivie i Jerozolimie. Ta ostatnia stała się główną centralą produkującą różnego rodzaju wydawnictwa obok podręczników szkolnych i wydań klasyków polskich i obcych na użytek szkół rozsianych po polskiej diasporze, których masowe wydawanie przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie bardzo utrudniało surowe racjonowanie papieru w Anglii. Obok wydawnictw cywilnych działały wojskowe podległe Oddziałowi Kul-

* Artykuł napisany na Międzynarodową Konferencję Bibliotekarzy Slawistów w Harrogate w lipcu 1990 i ogłoszony w 5 tomie wydawanego w Londynie pisma *Solanus* (1991). W niniejszej wersji wprowadzono drobne zmiany. Warto podkreślić, że artykuł był przeznaczony dla bibliotekarzy cudzoziemców i stąd porusza szereg faktów, dobrze skądinąd znanych czytelnikowi polskiemu.

1. *Kultura*, 1947, nr 2/3.

tury i Prasy Armii Polskiej na Wschodzie i w r. 1944 przeniosły się wraz z 2 Korpusem do Włoch. Wśród ich materiału była głównie gazeta wojskowa *Orzeł Biały*, założona w 1941 w Buzułuku (dotąd, po wielu metamorfozach, wychodząca w Londynie) oraz wartościowa seria książek (ponad 100 tytułów) Biblioteka Orła Białego. W r. 1946 ta prasa i placówki wydawnicze przybyły wraz z 2 Korpusem do Anglii.

Londyn

Pierwsze lata powojenne były bardzo trudne. Demobilizacja PSZ i wyschnięcie polskich funduszy publicznych spowodowały kryzys również w dziedzinie wydawnictw. Ich czytelnicy, do niedawna spodziewający się powrotu do Polski, a teraz bezpaństwowi, próbowali znaleźć dla siebie miejsce w ich rozbitym świecie i osiedlić się w Zachodniej Europie czy za morzami. Wśród tego chaosu Londyn trwał jako „polska stolica za granicą", obecnie stolica emigracji politycznej, siedziba rządu na wygnaniu oraz instytucji i stowarzyszeń dawnych i nowych. Tutaj w 1945 r. powstał Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z członkami rozproszonymi po świecie. Londyn też stał się głównym ośrodkiem wydawniczym na emigracji. Z czasów wojny przetrwał Orbis i pojawiały się i znikały nowe domy wydawnicze. Niektóre jednak przetrwały, by po latach poszczycić się swoim dorobkiem:

1. Gryf Publications powstało w r. 1947 jako spadkobierca wydawnictw 2 Korpusu, wśród nich *Orła Białego*. Do r. 1976 wydało ponad 100 książek[2].

2. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, założony w 1948. Obok prasy katolickiej, do r. 1976 wydał ponad 600 książek o szerokiej tematyce: religia, historia, literatura piękna i popularno-naukowa, pamiętniki[3].

3. Oficyna Poetów i Malarzy, zał. w 1950 dla wydawania materiału określonego jej nazwą. W 1966-80 wydawała również swój kwartalnik *Oficyna Poetów*.

4. Bolesław Świderski (1955 — schyłek lat 60-ych): wyróżniające się szatą zewnętrzną wydania pisarzy emigracyjnych („Londyńska Biblioteka Literacka"). Tu również ukazywały się materiały Związku Pisarzy.

5. Polska Fundacja Kulturalna, która w r. 1959 wyrosła z

2. *Pamiętnik Literacki* (Londyn), 1976. str. 183-84.
3. Tamże, str. 184-85.

wydawnictwa jedynej na emigracji gazety codziennej *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* (założonej w r. 1940). Od r. 1963 prowadziła ona bardzo ożywioną działalność i do 1975 wydała ok. 200 tytułów: literatura piękna, pamiętniki, historia, literatura etc.[4].

6. Odnowa (zał. 1963): historia najnowsza, filozofia, pamiętniki i in.

7. Polonia Book Fund (zał. 1959): historia najnowsza, polityka.

8. Kontra (zał. ok. 1970): książki polskie, w tym dzieła Józefa Mackiewicza, oraz rosyjskich dysydentów w oryginale.

Cenne opracowania oraz zbiory źródeł historycznych dotyczących historii Polski od r. 1939 ukazywały się nakładem instytucji naukowych, szczególnie Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego i Studium Polski Podziemnej.

W r. 1946 Związek Pisarzy rozpoczął swą własną działalność wydawniczą. Jego największym dziełem zbiorowym jest dwutomowa *Literatura polska na obczyźnie 1940-1960*. W 1976 zaczął wydawać *Pamiętnik Literacki*, szczególnie cenny jako informator przynoszący materiały o funkcjonowaniu literatury emigracyjnej, w tym życiorysy i spisy dzieł swych członków, dane dotyczące polskich bibliotek, muzeów, instytucji i wydawnictw, spisy książek emigracyjnych przełożonych na języki obce oraz wydawanych poza Polską i otrzymanych przez Bibliotekę Polską w Londynie.

W latach 1970-ych żywotność piśmiennictwa emigracyjnego zaczęła słabnąć w miarę wymierania starszego pokolenia pisarzy i spadku zainteresowania polską książką wśród młodszych pokoleń emigracji. Przeciętne nakłady 2 tys. egzemplarzy kurczyły się i niektórzy wydawcy zaczęli pobierać opłaty od autorów.

Paryż

We wczesnych latach powojennych Paryż został drugim głównym ośrodkiem wydawniczym na emigracji i siedzibą najstarszego i najbardziej prestiżowego domu wydawniczego, Instytutu Literackiego, wydawcy *Kultury* (1947-) i *Zeszytów Historycznych* (1962-) oraz serii książek „Biblioteka Kultury". Trudno przecenić rolę Instytutu w najnowszej historii Polski, którą odegrał dzięki swemu wpływowi na intelektualistów w kraju i na emigracji; świadczy o tym szczególna furia, z jaką jego wydaw-

4. Tamże, str. 168.

nictwa były tępione w Polsce i ich redaktor oraz współpracownicy mieszani z błotem.

Instytut powstał w Rzymie w 1946 r. w środowisku 2 Korpusu i w 1947 przeniósł się do Paryża. W pierwszym numerze *Kultury* (1947) redakcja określiła swe zadanie, wykraczające daleko poza ciasny świat emigracyjny:

„Upłynie zapewne znowu wiele lat, zanim narody obu półkul zrozumieją, że 'nowatorstwo' sowieckie jest takim samym narzędziem znieczulenia kultury europejskiej, jak katastrofizm niemiecki był wcześniej narzędziem jej rozkładu. Nadchodzą czasy ponownego osłabienia woli, ponownego zatrucia myślą o śmierci. Bo i o cóż walczyć, czego bronić w obliczu powszechnego *Ex oriente lux*?

W tych warunkach rola, cel i zadania *Kultury* są dostatecznie jasne i nie wymagają zbyt szczegółowego wyjaśnienia.

Kultura pragnie uprzytomnić czytelnikom polskim, którzy wybrawszy emigrację polityczną znaleźli się poza granicami kraju ojczystego, że krąg kulturalny, w którym żyją, nie jest kręgiem wymarłym.

Kultura pragnie dotrzeć do czytelników polskich w kraju i wzmóc w nich wiarę, że wartości, które są im bliskie, nie zawaliły się jeszcze pod obuchem nagiej siły.

Kultura chce szukać w świecie cywilizacji zachodniej tej 'woli życia', bez której Europejczyk umrze tak, jak umarły niegdyś kierownicze warstwy dawnych imperiów".

Do r. 1990 Instytut wydał ok. 455 tomów „Biblioteki Kultury", wśród nich dzieła najważniejszych pisarzy emigracyjnych: Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza.

Najstarszą polską księgarnią (i niekiedy wydawcą) za granicą jest Księgarnia Polska w Paryżu (zał. 1833). Po wojnie wydała ona ponad 50 książek, zanim zarzuciła tę stronę swej działalności. Drugą paryską księgarnią-wydawcą jest powstała w r. 1946 Libella, która w 1956 podjęła działalność wydawniczą i obecnie ogłasza serię monografii na tematy określone jej tytułem „Historia i teraźniejszość" (od 1979). Pod koniec lat 1960-ych powstała firma Editions du Dialogue, specjalizująca się w intelektualnej katolickiej literaturze po polsku i francusku. Ten sam rodzaj materiału wydają oo. Pallotyni.

Inne kraje

W najwcześniejszych latach powojennych polskie druki ukazywały się w kilku innych krajach Zachodniej Europy. W Brukseli działały trzy wydawnictwa: Klon, La Colonne i Polski Instytut Wydawniczy. W Rzymie, obok placówek wydawniczych 2 Korpusu, w latach 1946-47 K. Breiter wydał kilka tuzinów książek, głównie beletrystyki. Prócz tych działały dwie małe firmy: Lektura i La Rondine. W późniejszym okresie rozpoczął tam działalność Polski Instytut Historyczny, który od r. 1960 wydaje cenną serię źródeł do historii Polski „Elementa ad fontium editiones" i w r. 1990 rozpoczął nową serię „Acta nuntiaturae Poloniae". Innym jego wydawnictwem był rocznik *Antemurale*, ogłaszający w językach zachodnich opracowania na polskie tematy.

Ruch wydawniczy na dużą skalę, choć dotąd mało zbadany, rozwinął się w Niemczech Zachodnich od r. 1945. Księgarnie i wydawnictwa powstały w wielu miastach i ogłaszały różnego rodzaju materiał, m.in. podręczniki szkolne i teksty literackie dla szkół. Głównym ośrodkiem był Hannover, gdzie Związek Wychodźstwa Przymusowego w latach 1945-47 ogłosił ok. 200 tytułów książkowych. W Dachau działało Słowo Polskie, w Bremie Książnica Domu Polskiego i w Stuttgarcie Dom Książki Polskiej, a różne organizacje produkowały swój materiał. Cała ta działalność ok. r. 1950 zanikła tak szybko jak powstała, gdy rozproszyli się odbiorcy wskutek powrotu do Polski lub emigracji na Zachód.

Dzieje polskich wydawnictw w USA sięgają XIX wieku. Podczas ostatniej wojny warszawski Rój przeniósł się do Nowego Jorku (Roy Publishers), gdzie do r. 1958 wydawał dzieła pisarzy przebywających na Zachodzie. W 1970 Polonia w Chicago zaczęła wydawać książki w jęz. polskim, ale w tym kraju zamieszkałym przez największą ilość Polaków poza Polską ruch wydawniczy w tym języku jest żenująco ubogi. Zapotrzebowanie na polskie druki jest tak małe, że w r. 1985 w tym wielkim kraju z trudnością mogły utrzymać się przy życiu cztery (!) księgarnie[5]. Pisarze emigracyjni, którzy osiedli tam po wojnie, zmuszeni byli wydawać swe dzieła w Paryżu i Londynie.

Kanada z jej licznym polskim wychodźstwem również nie zdobyła się na większy wysiłek. Trochę polskich książek ukazało się nakładem miejscowych polskich gazet (*Związkowiec, Głos Polski*). W r. 1978 w Toronto powstał Polski Fundusz Wydawniczy, założony przez grupę pisarzy przerażonych faktem, że większość wydawnictw emigracyjnych stała się drukarniami pobierającymi opłaty za drukowanie książek, co oznacza, że o

5. *Oświata, książka i prasa na obczyźnie.* Prace Kongresu Kultury Polskiej, tom IX (Londyn 1989), str. 90.

wydaniu często decyduje nie wartość tekstu, a pieniądze jego autora[6]. O realności tego zagrożenia świadczy duża liczba „dzieł", które ukazały się w schyłkowym okresie piśmiennictwa emigracyjnego.

Czasopiśmiennictwo

Prasa emigracyjna stanowi rozległy i mało zbadany teren. Pojęcie o jego rozległości daje liczba 4.617 tytułów wydawanych w 60 krajach w okresie 1939-84, które rejestruje bibliografia Jana Kowalika[7], choć *de facto* nie wszystkie należą do kategorii emigracyjnych. W piśmiennictwie emigracyjnym wielką rolę odegrały — i czynią to dotąd — czasopisma literackie, polityczne, społeczno-kulturalne i inne, a rozproszone w nich drobniejsze utwory ważnych pisarzy uchodźczych nadal oczekują na wydania zbiorowe.

Obok *Kultury* drugim wielkim pismem z odbiorcami w całym wolnym świecie był londyński tygodnik *Wiadomości*, założony w Warszawie w r. 1924 jako *Wiadomości Literackie*. W r. 1940-ym po krótkim postoju w Paryżu *Wiadomości Polskie* osiedliły się w Londynie. Nieugięcie antysowieckie, a więc „siejące niezgodę wśród narodów sprzymierzonych", w r. 1944 zostały zlikwidowane przez władze angielskie, które cofnęły im przydział papieru. Podjęły działalność w 1946 i przetrwały do 1981, gdy zostały zamknięte wskutek ciężkiej sytuacji finansowej.

Masa cennego materiału, ukryta w prasie emigracyjnej, jest trudna do odnalezienia nie tylko dlatego, że zespoły różnych tytułów, często niekompletne, są bardzo rozproszone, ale też z braku spisów ich zawartości. Jedynym wyjątkiem są wydawnictwa Instytutu Literackiego z ich osobną bibliografią oraz *Wiadomości*, których ostatni numer każdego roku zawiera roczny indeks zawartości.

Oficyny bibliofilskie

Określenie, co należy do piśmiennictwa i druków emigracyjnych, nie jest takie proste, jak można by oczekiwać. Oczywiście kategoria ta obejmuje to wszystko, co do niedawna nie mogło być jawnie wydane w Polsce z powodu tematyki oraz osoby autora i wydawcy, skazanych na oficjalny niebyt. Z jego

6. Tamże, str. 129.

7. *World index of Polish periodicals published outside of Poland since September 1939.* tom 5, cz. 1, str. v.

politycznym wydźwiękiem, terminu „emigracyjny" nie można zastosować do materiału wydanego poza Polską przed, a czasem również po r. 1939, np. przez wychodźstwo polskie we Francji i USA. Tak samo wydawnictwa w języku polskim pisane i wydawane w Izraelu przez i dla polskojęzycznych Żydów nie należą do tej kategorii. Na pograniczu znajdują się druki oficyn bibliofilskich.

Samuel Tyszkiewicz założył swą oficynę we Florencji w r. 1928 i aż do śmierci w 1954 tłoczył piękne książki po polsku, włosku i angielsku. W latach 1940-49 działał w Nicei, gdzie wydał bibliofilskie tomiki poezji autorów emigracyjnych. Oficyna Warszawska na Obczyźnie (kontynuacja przedwojennej Oficyny Warszawskiej) podjęła działalność w 1945 w Monachium, gdzie wydała kilka druków bibliofilskich, po czym przeniosła się do Detroit, gdzie przez jakiś czas produkowała materiał angielski. W latach 1950-ych i wczesnych 60-ych oficyna Prochasków działała w Paryżu i następnie w Aix-en-Provence. Obok materiału francuskiego wydała kilka tytułów po polsku.

W powojennej Anglii istniały dwie polskie oficyny. Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie początkowo specjalizowała się w drukach bibliofilskich. Oficynę Stanisława Gliwy uważa się czasem za najlepszą współczesną pracownię w Anglii[8]. Gliwa, niegdyś główny artysta-grafik w wydawnictwach 2 Korpusu, w r. 1953 wydał pierwszą książkę pod własną firmą i w 1962 otworzył oficynę w Southend-on-Sea. W latach 1953-80 wydał ok. 40 tomów, w tym 21 po polsku. Zmarł w r. 1986.

Smutna degrengolada ludzi, sprzedających swój talent służbie antynarodowej[9]

Władze komunistyczne robiły co się da, żeby nie dopuścić literatury emigracyjnej do czytelnika krajowego, co miało uboczny — a dla nich bardzo niepożądany — skutek: rozbudziło ciekawość zabronionego owocu i mit o jego niezmiennej doskonałości. W r. 1970-ym wyszła w Warszawie broszura Witolda Fillera *Literatura małej emigracji* w propagandowej serii „Ideologia — polityka — obronność", która normalnie porastała kurzem w księgarniach, daremnie oczekując czytelnika. Wtedy właśnie pojechałam do Polski i w nadziei znalezienia mimowol-

8. Tak twierdzą A. i P. Ward, *The small publisher*. (Cambridge, 1979), str. 187.

9. W. Filler, *Literatura małej emigracji*, str. 7.

nego humoru, próbowałam nabyć to dzieło, ale wszędzie było już wyczerpane. Wreszcie gdzieś na dalekim przedmieściu panienka za ladą powiedziała:

— Ma pani szczęście, to nasz ostatni egzemplarz.

— Czy to takie poczytne?

— Ależ tak! Ludzie chcą przynajmniej zapoznać się z nazwiskami autorów i tytułami, których nie mogą przeczytać.

Ta broszura jest typową próbą obrzydzenia odbiorcy rzeczy, której i tak nie może spróbować. Przez wiele lat książki, autorzy i wydawcy, oraz literatura emigracyjna jako taka, padali ofiarą urzędowych oszczerstw, a w świecie naukowym byli ignorowani tak daleko, jak tylko się dało. Bibliografia narodowa — *Przewodnik Bibliograficzny* — pomijała wydawnictwa emigracyjne i dopiero w r. 1960 Biblioteka Narodowa rozpoczęła wydawanie rocznika *Polonica zagraniczne*, który w 1969 przeszedł do kategorii „tylko do użytku wewnętrznego", co pozbawiło go nawet największe biblioteki naukowe na Zachodzie, którym został przywrócony dopiero w r. 1989. Encyklopedie i informatory naukowe, ze *Słownikiem współczesnych pisarzy polskich* (2 serie, 1963-80) włącznie, wydawanym przez Instytut Badań Literackich PAN, pomijały niektórych pisarzy emigracyjnych, a innych opisywały jako „wrogich Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Z rzadka tylko ważny pisarz emigracyjny bywał ułaskawiany i ogłaszano wybór jego dzieł spreparowany *ad usum delphini*, ale dopiero po jego śmierci.

Pomimo tych różnych usiłowań pierwsze szczerby w tej literackiej żelaznej kurtynie zaczęły się pojawiać pod koniec lat 1950-ych, gdy niektórzy pisarze krajowi szarpani przez cenzurę odważyli się starać o wydanie ich prac tak, jak zostały napisane, przez wydawców emigracyjnych, przede wszystkim Instytut Literacki. Początkowo ukazywały się anonimowo lub pod pseudonimem, później pod prawdziwym nazwiskiem, i ich autorzy padali ofiarą represji, w tym zakazu druku i pozbawienia pracy, o ile byli zatrudnieni. Niektórzy dołączyli do swych emigracyjnych kolegów na Zachodzie, poczynając od wypędzenia intelektualistów w r. 1968.

I wreszcie powstanie wydawnictw podziemnych, od końca lat 1970-ych, rozpoczęło okres, gdy przedrukowywane przez nie książki emigracyjne stały się szerzej dostępne czytelnikowi krajowemu. Powstanie Solidarności i próba przykrócenia cenzury w Ugodzie Gdańskiej, zwróciły powszechną uwagę na istnienie literatury emigracyjnej, czemu świadczyło hasło „literatura polska jest jedna". Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy Czesław Miłosz otrzymał nagrodę Nobla, co zmusiło Policję Myśli do ułaskawienia (aczkolwiek wybiórczo) pisarza wrogiego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a przy tym żyjącego.

Nie udało się również zdusić na zawsze naukowego zainteresowania literaturą „najmniej znaną", „źle obecną". W r. 1976 po raz pierwszy w powojennej Polsce odbył się wykład o niej w Uniwersytecie Jagiellońskim i periodyki literackie zaczęły przejawiać ostrożne zainteresowanie. I wreszcie w latach 1980-81 zaczęto o niej pisać — wybiórczo, ale bez rytualnych obelg — w czasopismach szerokiego obiegu, przede wszystkim w artykule M. Sprusińskiego „Literatura mniej znana" w *Polityce* nr 13, 1981, który zalecał wydawanie w Polsce dzieł bardziej strawnych pisarzy emigracyjnych.

Wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 nie zdołało przykrócić przenikania piśmiennictwa emigracyjnego do Polski. Podziemne prasy pracowały wydajnie i przemyt książek z Zachodu nasilał się. Jawnie również próbowano zgłębiać obszar tej *terra incognita* łatwiejszy do przełknięcia przez cenzora. Takie podejście dawało sporo rzeczowych informacji, z drugiej jednak strony tworzyło wykrzywiony i niekompletny obraz przedmiotu. Ilustrują to dwie książki wydane w Warszawie w r. 1983. *Historia literatury polskiej w zarysie* opracowana przez Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego zawiera rozdział pióra Mariana Stępnia o okresie po r. 1939, gdzie po raz pierwszy jest ona ujęta jako całość, bez podziału na kraj i emigrację, ale pomija szereg ważnych pisarzy emigracyjnych. Druga, Zygmunta Lichniaka, *Zanim powstanie panorama*, pragnie „przerzucić mosty" między tymi dwiema gałęziami literatury i usunąć białe plamy tam, gdzie jest to możliwe i słuszne[10].

Przemiany

W latach 1970 charakter literatury emigracyjnej zaczął się zmieniać. Wymierało stare pokolenie pisarzy i autorzy mogący sobie pozwolić na zapłacenie za wydanie swych pism, często wątpliwej wartości, zaczęli odgrywać coraz większą rolę, podczas gdy kolejne „wypadki" w Polsce przysparzały Zachodowi politycznych emigrantów. Ożywiali oni piśmiennictwo emigracyjne nie tylko włączając się w jego istniejące środowisko, ale też zakładając własne czasopisma i domy wydawnicze w starych ośrodkach wydawnictw emigracyjnych i poza nimi; w Szwecji, zachodnim Berlinie, USA i Australii. W 1973 zaczął wychodzić w Uppsali kwartalnik *Aneks* i po przeniesieniu się do Londynu firma o tej samej nazwie podjęła przedruk krajowego pisma podziemnego *Krytyka* oraz wydawanie książek. *Aneks* został zawieszony w 1990, gdy jego redakcja uznała, że wobec wypadków w Polsce

10. Z. Lichniak, *Zanim powstanie panorama*, str. 7, 81.

pismo straciło swój pierwotny cel. W 1978 powstało w Paryżu Editions Spotkania i do r. 1990 wydało ok. 70 książek, kwartalnik *Spotkania* i nieregularny periodyk *Libertas*. Londyński Puls początkowo drukował pismo o takim samym tytule, a w 1981 podjął również wydawanie książek. Wiele czasopism „nowej emigracji" okazało się krótkotrwałe, inne jednak wytrzymały próbę czasu. Są to, obok już wymienionych, *Kontakt* (1982-) i *Zeszyty Literackie* w Paryżu (1982-). Kilka rozpoczęło żywot w polskim podziemiu zanim przeniosły się lub zaczęto je przedrukowywać na Zachodzie. Należą tu *Puls* (1978-9), *Spotkania* (1977-), *Krytyka* (1978-) i *Zapis* (1977-9), ten ostatni wydawany w Londynie przez Index on Censorship. Ale pierwszym i najszerzej czytanym polskim czasopismem na Zachodzie pozostała *Kultura*.

Przemiany w Polsce w latach 1989-90 i oficjalne zniesienie cenzury 1 kwietnia 1990 umożliwiły połączenie się dwu gałęzi piśmiennictwa polskiego w jedną całość zarówno w teorii, jak i praktyce. Tematy do niedawna stanowiące wyłączną własność literatury emigracyjnej są otwarcie poruszane w Kraju i wydawanie polskich książek na Zachodzie traci swój pierwotny cel. Książek, ale niekoniecznie tych periodyków, które interpretują sprawy polskie tak, jak je widzą z Zachodu i sprawy zachodnie tak, jak je widzą Polacy.

Hanna ŚWIDERSKA

Nowa bibliografia wydawnictw podziemnych

Po „Bibliografii publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981-VI 1986" Józefy Kamińskiej (Editions Spotkania, 1988), „Materiałach do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982-1986" Józefa Gajewskiego (Oficyna Literacka, 1988) oraz katalogiem zgromadzonych przez *Forschungsstelle Osteuropa* przy uniwersytecie w Bremie czasopism podziemnych opracowanym przez Angele Murche-Kikut, ukazała się obecnie kolejna tego typu praca: „Literatura i krytyka poza cenzurą 1977-1989 (Bibliografia druków zwartych)* w opracowaniu Jadwigi Czachowskiej oraz Beaty Dorosz.

* Jadwiga Czachowska, Beata Dorosz „Literatura i krytyka poza cenzurą 1977-1989". Wyd. Wiedza o Kulturze, Wrocław 1991, s. 118.

W porównaniu z poprzednimi opracowaniami ma ona dwie zalety: jest bibliografią jednego przedmiotu oraz obejmuje całość zjawiska: od chwili rozpoczęcia wydawania literackich publikacji pozacenzuralnych w roku 1977. Nie jest to, niestety, bibliografia pełna, niemniej obejmuje olbrzymią większość pozycji wydanych w kraju poza zasięgiem cenzury. Obejmuje 1.907 pozycji oraz (w aneksie) dodatkowych 11 wcześniej nie uwzględnionych. Wielu zmianom ulegnie zapewne w przyszłości indeks nazwisk — wiąże się to z rozwiązaniem kryptonimów i pseudonimów: np. „Jarota Maria" można dziś już rozwiązać na „Smolka Iwona" (autorka powieści „Rozpad") itd. Odpowiednie dane zbiera w tej chwili Instytut Badań Literackich. Konieczne będą uzupełnienia dotyczące całych wydawnictw — autorki nie uwzględniły np. ponad 20 tomów wydawanej we Wrocławiu w końcu lat 70-tych Biblioteki „Agory" (m.in. tomy Bocian, Herbsta, Pulki, Brody, Beresia, Stabry). Należy jednak przypuszczać, że nie ma tu wielu błędów tego rodzaju. Szkoda, że — wzorem opracowania Gajewskiego (właść. Marka Jastrzębskiego) nie opracowano indeksu wydawców.

Autorki wyodrębniają dwa główne działy: „Literatura i krytyka polska" oraz „Przekłady z literatur obcych". Ten drugi wydaje się niezmiernie interesujący — zgromadzono tu dane o przekładach z 19-stu literatur, m.in. z tak mało znanych jak fińska, kambodżańska czy litewska.

Dział dotyczący literatury polskiej podzielony został na cztery części: pierwsza prezentuje „antologie, wydawnictwa zbiorowe, śpiewniki", druga — „dokumenty życia kulturalnego", trzecia — „książki autorskie", wreszcie czwarta — „wydawnictwa anonimowe". Sądzę, że podział ten jest mało czytelny i w przyszłości należałoby go zastąpić tradycyjnym, wyróżniającym, obok wartego zachowania rozdziału „dokumenty życia literackiego", podziały „poezja", „proza", „dramat", „krytyka i esej literacki". Bez wątpienia ułatwi to posługiwanie się bibliografią, która w tej postaci, w jakiej została skonstruowana, stanowi po prostu listę publikacji literackich ułożoną w autorskim porządku alfabetycznym.

W tym zakresie, w jakim została opracowana, bibliografia Czachowskiej i Dorosz stanowi niewątpliwie pracę pionierską — jest jednak dopiero wstępnym rozpoznaniem, wymagającym i uzupełnień i przeredagowania. Warto tę pracę podjąć i bez wątpienia też warto ją wydać. Byłoby dobrze, gdyby autorki w przyszłości mogły — jeszcze przed publikacją — skonsultować wyniki swej pracy z wydawcami. Być może jednak warto poczekać na opracowanie — podobno rzecz jest w toku — literackiej bibliografii zawartości poszczególnych czasopism podziemnych i wydać rzecz w komplecie. Przydałaby się taka bibliografia, która objęłaby swym zasięgiem przynajmniej pisma literackie.

Leszek SZARUGA

Nadesłane nowości wydawnicze

Wojna żydowsko-niemiecka. Polska prasa konspiracyjna 1943–1944 o powstaniu w getcie Warszawy. Wybór i opracowanie Paweł SZAPIRO. Str. 448. (Wyd. Aneks, Londyn 1992).

Wieczór poezji drugiej emigracji. Red. Irena DELMAR i Olga ŻEROMSKA. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. PTNO, Londyn 1990).

DAINAUSKAS (Jonas). *Chrzest Litwy oraz Litwinów w roku 1387.* Str. 206. (Chicago 1989).

LEITGEBER (Bolesław). *Rzym w radościach i troskach dawnej Polski. Momenty historyczne.* Str. 248. (Wyd. OPiM, Londyn 1992).

WAT (Aleksander) *Poezje zebrane.* Opr. Anna Micińska i Jan Zieliński. Str. 564 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1992).

LAZARI-PAWŁOWSKA (Ija). *Nehru.* Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1991).

MOCZULSKI (Leszek). *U progu niepodległości. „Rewolucja bez rewolucji"*, cz. 2. Str. 88. (Wyd. Wydawnictwo Polskie KPN, Lublin 1990).

WEŁNA (Matylda). *Serce kontynentu.* Wiersze. Str. 155 i 3 nlb. (Wyd. nakładem własnym, Lublin 1991).

CZERNIAWSKI (Adam). *Koncert życzeń.* Str. 44. (Wyd. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 1991).

WOJTYŁA (Karol). *Osoba a miłość.* Str. 105 i 7 nlb. (Wyd. Daimonion, Lublin 1991).

BARTNIKOWSKI (Bogdan). *Dzieciństwo w pasiakach.* Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989).

BRAKONIECKI (Kazimierz). *Idee.* Wiersze. Str. 56. (Wyd. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1991).

RATAJCZAK (Józef). *Spisane z murów (w latach 1956–1984).* Wiersze. Str. 80. (Wyd. Anagram-Fundacja Sztuki, Warszawa 1991).

KOSOWSKI (Stanisław W. dr hab.). *Radosna twórczość Balcerowicza pod patronatem Zachodu z błogosławieństwem komuny czyli w obronie narodu przed Balcerowiczem, przed Zachodem i przed komuną (tezy i fragmenty).* Str. 85 (Wyd. Wydawnictwo „in statu nascendi", Warszawa 1991).

IWANIUK (Wacław). *Moje obłąkanie.* Wiersze. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1991).

MICKIEWICZ (Adam). *Powieści poetyckie. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.* Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

WISNER (Henryk). *Litwa i Litwini. Szkice z dziejów państwa i narodu.* Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy, Olsztyn 1991).

ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK (Janusz). *Polonika zbierane po świecie.* Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Iskry, Warszawa 1992).

JASIENICA (Paweł). *Tylko o historii.* Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

CIENIAWA (Stanisław). *Humanizacja kultury. Stopnie kultury osobistej.* Str. 352. (Wyd. Uniwersytet Szczeciński, Szczecin 1991).

Album widoków historycznych Polski poświęcony rodakom. Zrysowany z natury przez Napoleona Ordę. Str. 138 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza JMJ, Gdańsk 1991).

PILIKOWSKI (Jerzy). *Historia Polski 1795–1864 i 1865–1918.* Str. odpowiednio 204 i 184. (Wyd. ARKA, Kraków 1992).

MIŁOSZ (Czesław). *Czas wyniesiony.* Wiersze. Str. 60. (Wyd. Suwalskie Towarzystwo Kultury, 1991).

Czesław Miłosz. Str. 28. (Wyd. Suwalskie Towarzystwo Kultury oraz Dom Nauczyciela i Muzeum Okręgowe w Suwałkach, 1991).

CZAJKOWSKI (Michał, ks.). *Lud Przymierza.* Str. 128. (Wyd. Więź, Warszawa 1992).

CYGAN (Wiktor Krzysztof). *Słownik biograficzny oficerów Legionów Polskich.* Tom 1. Str. 116. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).

KRASIŃSKI (Janusz). *Na stracenie.* Str. 313 i 3 nlb. (Wyd. Versus, Białystok 1992).

VENCLOVA (Tomas). *Sześć wierszy.* Str. nlb. (Wyd. FIS, Lublin 1992).

MITZNER (Piotr). *Zmiana czasu.* Wiersze. Str. 67 i 5 nlb. (Wyd. Spółka Poetów, Podkowa Leśna 1990).

WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Skończył się wiek XX.* Str. 86. (Wyd. Wydawnictwo Gdańskie, Gdańsk 1991).

SMOLEŃSKI (Paweł). *Gazeta Wyborcza. Miroir d'une démocratie naissante.* Przeł. z polskiego Eric Morin-Aguilar. Str. 182. 2 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).

La Tour de feu nr 150. Str. 128 i 4 nlb. (Wyd. Du Lérot, Tusson 1991, cena F. 90).

OWZAN (Tadeusz). *Hamlet ou le Miroir du Monde.* Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. Editions Universitaires, Paryż 1991).

DELAPIERRE (Maria), ZIEJKA (Franciszek). *Panorama de la littérature polonaise des origines à 1822.* Str. 480. (Wyd. PWN Warszawa i Institut d'études slaves, Paryż 1991).

WALLON (Emmanuel). *A continent ouvert. Les politiques culturelles en Europe Centrale et Orientale.* Str. 164. (Wyd. La Documentation Française, Paryż 1992).

GOURG (Marianne). *Mikhail Boulgakov, 1891–1940. Un maitre et son destin.* Str. 314. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1992, cena F. 149).

AUTISSIER (Anne-Marie), FEIGELSON (Kristian), LANGE (André), MATTELART (Tristan), RAZLOGOV (Kirill). *Guide du cinéma et de l'audiovisuel en Europe Centrale et Orientale.* Str. 392. (Wyd. Institut d'étude slaves, Paryż 1992).

ROTY (Martine). *Dictionnaire russe-français des termes en usage dans l'Eglise russe.* Str. 187 i 3 nlb. (Wyd. Institut d'études slaves, Paryż 1992).

TERLECKI (Władysław). *L'échelle de Jacob.* Przeł. z polskiego Maryla Laurent. Str. 310. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1992).

MROŻEK (Sławomir). *Théâtre I. Oeuvres completes II.* Str. 323 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).

KARPINSKI (Wojciech). *Ces livres de grand chemin.* Przeł. z polskiego Elisabeth Destrée-Van Wilder. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).

HANKE (Steve H.), SCHULER (Kurt). *Monetary Reform and the Development of a Yougoslav Market Economy.* Str. 46. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1991).

GARLIŃSKI (Józef). *The Survival of Love. Memoirs of a Resistance Officer.* Str. 230 i 2 nlb. (Wyd. Basil Blackwell, Oxford 1991).

PODGÓRECKI (Adam). *Si-Tien's Last Days.* Z polskiego przeł. Margaret Watson. Str. 93 i nlb. (Wyd. Poets and Painteres Press, Londyn 1991).

KIEŻUN (Witold). *Management in Socialist Countries. USSR and Central Europe.* Str. 375 i 5 nlb. (Wyd. de Gruyter, Berlin–Nowy Jork 1991).

Changes in Two Baltic Countries. Poland and Sweden in the XVIIIth Century. Opr. E. Cieślak i H. Olszewski. Eseje w językach angielskim, niemieckim i francuskim. Str. 179 i 1 nlb. (Wyd. UAM, Poznań 1990).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5.3.92
Bernard Nowak, właściciel wydawnictwa „Test", oskarżył wydawnictwo „Alfa" o niszczenie niezależnego obiegu wydawniczego i cały szereg nadużyć jeśli idzie o prawa autorskie. Wydawnictwo „Alfa" zaskarżyło B. Nowaka do sądu o zniesławienie. Sąd Rejonowy w Lublinie skazał Bernarda Nowaka na wpłacenie 3 milionów zł. na PCK i ogłoszenie przeprosin w *Życiu Warszawy* i w *Gazecie Wyborczej*. Nowakowi nie pomogło to, że *Kultura* w swoim czasie i w formie znacznie ostrzejszej oskarżyła p. Wysokińskiego z „Alfy" o naruszenie praw autorskich wydawnictw *Kultury*.

15.3.92
Nagrodę dla najlepszego mówcy ub. roku „Srebrne usta" otrzymali: Lech Wałęsa, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Janusz Korwin-Mikke. ■ W związku z wysłaniem przez ONZ *casques bleus* do Jugosławii, Polska zgłosiła chęć wysłania tam batalionu piechoty — około 900 żołnierzy. Narody Zjednoczone pokrywają wydatki związane z kontyngentem *casques bleus*. Dotychczas ponad 19 tys. polskich żołnierzy brało udział w misjach ONZ. Zaczęło się od Półwyspu Koreańskiego. Po podpisaniu rozejmu w 1953 r. weszliśmy w skład dwóch komisji międzynarodowych powołanych do przestrzegania i nadzorowania jego postanowień. Ponad tysiąc oficerów i podoficerów WP uczestniczyło w pracach Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych i Komisji Repatriacyjnej Państw Neutralnych. W 1954 r. po zawarciu układów genewskich w sprawie Indochin, przedstawiciele polskiego wojska zaproszeni zostali do udziału w Międzynarodowych Komisjach Nadzoru i Kontroli. Przez 21 lat, w czasie których pracowały w tym rejonie międzynarodowe komisje, uczestniczyło w nich 1400 naszych oficerów i podoficerów. W latach 1968–70 czterej polscy oficerowie byli członkami Międzynarodowej Grupy Obserwatorów w Nigerii. W 1973 roku WP rozpoczęło służbę w misjach na Bliskim Wschodzie. Najpierw na Synaju, a w rok później ograniczony kontyngent wszedł w skład UNDO w strefie rozdzielenia wojsk izraelskich i syryjskich, na Wzgórzach Golan. Do tej pory w Siłach Zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie pełniło służbę 16 tys. żołnierzy z Polski. W latach osiemdziesiątych grupa oficerów uczestniczyła w misji nadzorującej wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu. 15 polskich oficerów brało udział w 1988 r. w komisji nadzorującej przestrzeganie porozumień o przerwaniu działań zbrojnych między Irakiem a Iranem. W następnym roku polski kontyngent z 20 oficerami i 353 żołnierzami wszedł w skład sił ONZ w Namibii. Obecnie nasi przedstawiciele są w Syrii — 159, Kuwejcie — 7, Saharze Zachodniej — 2, Afganistanie — 1, Kambodży — 2, Iraku — 32 (policjanci).

20.3.92
Zmarł w Poznaniu w wieku 89 lat Kazimierz Studentowicz, ekonomista i publicysta, czynny działacz podziemia w czasie okupacji, więzień polityczny w latach 1948–1955. Bardzo blisko współpracował z tygodnikiem *Polityka*, wydawanym przez Jerzego Giedroycia przed wojną, gdzie prowadził dział ekonomiczny. W wydawnictwach *Polityki* ukazały się dwie książki Kazimierza Studentowicza: „Polityka gospodarcza państwa" i „Joan Robinson — wstęp do teorii zatrudnienia". ■ Zmarła w Warszawie Natalia Modzelewska, żona ministra Spraw Zagranicznych PRL i matka Karola Modzelewskiego. Żyła z pracy literackiej i tłumaczeń, m.in. przetłumaczyła na rosyjski „Lalkę" Bolesława Prusa, a na język polski szereg utworów Czechowa. Od początku lat 60-tych była związana z opozycją demokratyczną polską i rosyjską.

21.3.92
Prof. Ewa Łętowska jest jedną z trzech polskich kandydatek na stanowisko sędziego Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Rady Europy. Zgromadzenie parlamentarne Rady Europy dokona wyboru w czasie sesji majowej. P. Łętowska w plebiscycie miesięcznika *Twój styl* została wybrana „Kobietą roku".

26.3.92
Zostały przeprowadzone zmiany w organizacji hierarchicznej Kościoła polskiego. Erygowano trzynaście nowych diecezji: w Bielsku i Żywcu, Ełku, Gliwicach, Kaliszu, Legnicy, Łowiczu, Radomiu, Rzeszowie, Sosnowcu, Toruniu, Warszawie-Pradze oraz Zamościu i Lubaczowie. Obok istniejących dotychczas pięciu archidiecezji, których organizacja i podział terytorialny również ulegają zmianom, utworzono osiem nowych, a to w Przemyślu dla obrządku łacińskiego, w Szczecinie i Kamieniu, Gdańsku, na Warmii, w Białymstoku, Częstochowie, Katowicach i Lublinie. Diecezja łódzka została podniesiona do godności siedziby arcybiskupa bezpośrednio podporządkowanego Stolicy Świętej.

Zniesiona została unia personalna między archidiecezjami w Gnieźnie i Warszawie. Papież postanowił, że tytuł Prymasa Polski pozostanie związany z dziedzictwem świętego Wojciecha w archidiecezji gnieźnieńskiej, nadając jednocześnie kardynałowi Józefowi Glempowi, arcybiskupowi Warszawy, godność Strażnika Relikwii Świętego Wojciecha, czczonego w katedrze Gnieźnieńskiej. Pozostanie on więc nadal prymasem Polski.

Arcybiskupem gnieźnieńskim będzie natomiast ksiądz Henryk Muszyński, dotychczasowy biskup Włocławka.

27.3.92
Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat Józef Kuśmierek, wybitny publicysta.

1.4.92
Zofia Chądzyńska obchodziła w Warszawie 80-lecie. Jest ona znaną pisarką i tłumaczką, przez kilkanaście lat po wojnie przebywała w Argentynie, gdzie przed powrotem do Polski zadebiutowała powieścią „Ślepi bez lasek".

4.4.92
Konkurs na koncepcję zabudowy Placu Defilad w Warszawie został rozstrzygnięty. Ogółem wpłynęło 297 prac z całego świata. Jury nagrodziło równorzędnymi nagrodami (60 mln zł) pięć prac, ale tylko jedna, Wiesława Bartłomieja Białyszewa i Andrzeja Skopińskiego z Brukseli, uzyskała „wskazanie". Konkurs został ogłoszony przez Stowarzyszenie Architektów Plastyków w porozumieniu z Międzynarodową Unią Architektów.

8.4.92
Zmarł w Warszawie w wieku 66 lat Roman Zimand, pisarz i badacz literatury, wieloletni autor *Kultury*, gdzie pisywał pod własnym nazwiskiem i pseudonimem Leopolita.

10.4.92
Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku otworzył wystawę „W kręgu KULTURY". Wystawa ta, zorganizowana przez Muzeum Literatury im. Mickiewicza w Warszawie, została zamknięta 1-go kwietnia. Szereg miast zabiega by ta wystawa była również u nich. Pierwsza w kolejce jest Łódź oraz pięć do sześciu miast wojewódzkich.

22.4.92
W warszawskiej Zachęcie otwarta została retrospektywna wystawa malarstwa Jana Lebensteina.

ZACHÓD — EMIGRACJA

10.12.91
W Ambasadzie R.P. w Rzymie prezes PAN, prof. Aleksander Gieysztor, wręczył dyplomy członków zagranicznych PAN profesorom włoskim: Girolamo Arnaldi, Sante Graciotti, Michele Jamiolkowski, Riccardo Picchio i Armando Saitta (pośmiertnie).

13.2.92
Zmarł w Kalifornii w wieku 96 lat prof. Gustaw Andrzej Mokrzycki, wybitny uczony w dziedzinie aeronautyki, aerodynamiki i kosmogonii.

27.2.92
Zmarł w Antwerpii w wieku lat 80 Józef Zaniewski, inżynier mechanik i inż. budowy okrętów, więzień obozów w Oświęcimiu i w Sachsenhausen.

20.3.92
W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wernisaż obrazów Joachima Weingarta. Jednocześnie miał miejsce wernisaż fotografii Wojtka Korsaka „Des portes et des fenêtres". ■ W Nowym Jorku odbyło się posiedzenie Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego, na którym dokonano wyboru nowego zarządu: Stanisław Jordanowski — prezes (po raz dziesiąty), Magda Kapuścińska i Andrzej Beck — wiceprezesi, Władysław Jędrych — skarbnik, Halina Janiszewska — sekretarz, Janusz Cisek — dyrektor, Jerzy Świętochowski — wicedyrektor. Ponadto Rada dokooptowała do swojego grona Stanisława Blejwasa, profesora historii Central Connecticut State University.

23.3.92
W dniach 23–27 marca br. odbyło się w Sao Paulo II Krajowe Sympozjum Slawistyczne, zorganizowane przez Brazylijskie Towarzystwo Slawistyczne (na terenie Instytutu Metodystycznego w Sao Bernardo do Campo). W programie znalazły się następujące referaty na tematy polskie: studium o Chopinie (Marcelo N. da Câmara Torres), „Pieniądz w języku potocznym: studium porównawcze polsko-portugalskie" (Elżbieta Ribeiro) i „Oskar V. de L. Milosz i Czesław Miłosz. Próba porównania" (Henryk Siewierski).

27.3.92
W Bibliotece Polskiej w Paryżu poseł Bogdan Pilarski wygłosił odczyt pt. „Rolnictwo w Polsce dziś — problemy i perspektywy".

31.3.92
W Centre du Dialogue w Paryżu, staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego odbył się odczyt prof. Jerzego Kłoczowskiego na temat „L'Ukraine, dans le cadre de la création à Lublin de l'Institut de l'Europe Centrale et Orientale".

1.4.92
We Włoszech wyszła i cieszy się dużym powodzeniem powieść *Nostra Signora del KGB*. Autor powieści, Luigi Bisignani, opisał w niej (z niewątpliwym znawstwem przedmiotu) współczesną Polskę w latach opozycji, „Solidarności", stanu wojennego i upadku komunizmu. Bisignani często wspomina *Kulturę*. ■ W wydawnictwie mediolańskim Feltrinelli ukazał się wybór *Dziennika pisanego nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Przygotowali wybór autor i Francesco Cataluccio, przełożyła go na włoski Donatella Tozzetti. Ukazanie się książki poprzedziły dwie obszerne rozmowy z pisarzem na łamach *La Repubblica* i *La Stampa*. Pierwsza nosi tytuł *Herling, Polak neapolitański*. W *Giornale* wydrukowano fragmenty *Dziennika*, a w *Corriere della Sera* przedmowę Krzysztofa Pomiana do wydania francuskiego.

4.4.92
Zmarł w Madrycie w wieku 77 lat wybitny pisarz rumuński Vintila Horia. Jego pierwsza książka wydana na emigracji w 1960 roku, „Dieu est né en exil", otrzymała nagrodę Goncourtów, z której musiał zrezygnować na skutek gwałtownej kampanii prowadzonej przez *Humanité* i francuską partię komunistyczną. ■ Na Uniwersytecie Yale odbyła się konferencja międzynarodowa poświęcona zagadnieniu bezpieczeństwa w Europie środkowowschodniej w przeszłości i perspektywom na przyszłość. W pierwszej sesji dotyczącej okresu międzywojennego główny referat wygłosiła prof. Anna Cienciała z Uniw. Kansas, a referaty poświęcone Czechosłowacji i Bułgarii przedstawili prof. Milan Hauner, Uniw. Georgetown i prof. John Bell, Uniw. Maryland. Sesja druga na temat bezpieczeństwa w okresie zimnej wojny, „mity i realia", objęła główny referat prof. Bennetta Kovriga, Uniw. Toronto i referaty dotyczące Polski — prof. Norman Davies, Uniw. londyński; Węgier — prof. Ivan Berend (b. prezes Akademii Nauk Węgier), Uniw. kalifornijski w Los Angeles; i Rumunii — prof. Ken Jowitt, Uniw. Kalifornijski w Berkeley. Trzecia sesja poświęcona była problematyce bezpieczeństwa w „nowym systemie". Referat ogólny wygłosił prof. Joseph Rothschild z Uniw. Columbia, tematykę jugosłowiańską referowała prof. Sabrina Ramet z Uniw. Washington w Seattle, a grecką prof. S. Victor Papacosma z Uniw. Kent State. Czwarta sesja dotyczyła współpracy regionalnej w Europie środkowowschodniej, możliwości i problemów, skupiając się głównie na trójkącie wyszegradzkim. Przewodniczył prof. Piotr Wandycz, Uniw. Yale, trzy referaty wygłosili zastępcy szefów misji Czecho-Słowacji, Węgier i Polski w Waszyngtonie, m.in. Ladislav Mravec, Enikö Bollobás i Maciej Kozłowski. Komentował John Fox z Office of Policy Planning Departamentu Stanu.

10.4.92
Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się odczyt prof. Ewy Łętowskiej, która mówiła o swojej działalności jako Rzecznika Praw Obywatelskich.

14.4.92
W sekcji Polskiej Centre d'Etudes Slaves w Institut Catholique de Paris prof. Jan Myciński wygłosił odczyt pt. „Les Juifs, les Allemands, les Italiens

et les Français". Poprzednio prof. Myciński miał dwa odczyty: „Les quatre peuples baltes et l'Estonie" i „Les Ruthenes".

15.4.92
W ośrodku Polskiej Akademii Nauk w Paryżu miało miejsce zebranie dyskusyjne, prowadzone przez prof. Jean Ehrarda, na którym p. Andrzej Siemek wygłosił odczyt na temat „La langue et la civilisation françaises en Pologne: état actuel et perspectives". Poprzednio odbyły się zebrania dyskusyjne: 7.4. prof. Marka Pliszkiewicza „Emploi et chômage en Pologne. Aspects socio-juridiques" — pod przewodnictwem Antoine Lyon-Caen z Université Paris X Nanterre oraz 9.4. prof. Jean Kahane z Université Paris-Sud w Orsay na temat „Aperçu sur l'influence de l'Ecole mathématique polonaise de la période 1918–1939".

20.4.92
Andrzej Krzeczunowicz, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu, został mianowany ambasadorem RP w Brukseli.

24.4.92
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Krzeczunowicza, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, na temat „Przyszłość republik środkowo-azjatyckich dawnego Związku Sowieckiego". Poprzednio, w dniu 10.4. br., prof. Władysław Bartoszewski, ambasador R.P. w Wiedniu, mówił na temat „Pół wieku moich doświadczeń".

KRONIKA NORWESKA

30.11.91 minister spraw zagranicznych Estonii Lennart Meri otworzył konsulat honorowy w Oslo. Będzie on podlegać ambasadzie w Danii. ■ NATO zmienia swój system organizacyjny. Likwidacji ulega dotychczasowe dowództwo północne paktu, które obejmowało Schleswig-Holstein, Danię i Norwegię. Jego siedzibą było Kolsas pod Oslo. Schleswig-Holstein i Dania zostają włączone do centralnego dowództwa, obejmującego również całe Niemcy, Belgię i Holandię. Norwegia i Anglia utworzą nowe dowództwo północno-zachodnie. W jego skład wejdą także morza Północne i Bałtyckie oraz rejon cieśnin duńskich. Siedzibą nowego dowództwa będzie Anglia. Zdaniem ekspertów Norwegia traci nie tylko prestiżowo, ale i finansowo. Dowództwu północno-zachodniemu NATO podlegać będzie co prawda rejonowe dowództwo NATO, obejmujące Norwegię i kierowane przez Norwegów, ale jest to dowództwo niższego szczebla. ■ 16 grudnia Norwegia jako pierwsze państwo zachodnie uznała oficjalnie Rosję. 24 grudnia przyszła kolej na Białoruś i Ukrainę. ■ Sąsiedzka Akcja Pomoc. Na wsparcie dla rejonu Murmańska i okolic Archangielska wyasygnowano 20 milionów koron (ponad 3 miliony dolarów). 12 milionów przeznaczono na lekarstwa i żywność. 1 milion otrzymują rosyjscy Lapończycy. Pozostałe pieniądze to subsydia dla licznych inicjatyw współpracy. ■ Począwszy od 1 stycznia szalał przez blisko 10 dni na wybrzeżu Norwegii największy za ludzkiej pamięci orkan. Fale dochodziły do 25-30 metrów. W ciągu jednej tylko doby w Bergen spadło 29 cm deszczu. Na domiar nieszczęścia kilkadziesiąt tysięcy rodzin zostało pozbawionych na przeciąg wielu dni elektryczności, i to w pełni zimy. Straty szacuje się na około 200 milionów dolarów. Za cud można uznać fakt, że nikt nie zginął. ■ Na prośbę sekretarza generalnego NATO, Manfreda Wernera, Norwegia zgodziła się udzielić pomocy Litwie w tworzeniu armii. Jorgen Holst, norweski minister obrony, oświadczył, że Oslo wyśle do Wilna 2.000 mundurów i butów. Zaofiarowano również organizację szkoleń. ■ 15 stycznia Norwegia uznała Chorwację i Słowenię. Chwilowo rolę ambasady dla Chorwacji spełniać będzie placówka w Budapeszcie. Słowenia obsługiwana będzie z Wiednia. ■ W morzach Barentsa i Karskim spoczywa na dnie potężna bomba zegarowa. Wg organizacji Greenpeace tylko w rejonie wyspy Nowa Ziemia leży na dnie 13 wyeksploatowanych reaktorów z sowieckich podwodnych okrętów o napędzie atomowym, oraz trzy z lodołamacza „Lenin". W tym samym rejonie zatopiono również około 17 tysięcy kontenerów z płynnym lub stałym paliwem nuklearnym. Kontenery te po wrzuceniu do wody były ostrzeliwane z okrętów wojskowych, by szybciej tonęły. Według Norweskiej Dyrekcji Atomowej prawdopodobnie jest jeszcze trochę czasu, by podjąć kosztowne działania mające na celu wyłowienie radioaktywnych odpadów. ■ W czerwcu 1993 roku kończy się kadencja Manfreda Wernera jako sekretarza generalnego NATO. Norweskiego ministra obrony Johana Jorgena Holsta zapytano czy zgodzi się kandydować na to stanowisko. Kandydatura Holsta spotkała się z szerokim poparciem wśród polityków norweskich. Jego szanse wydają się dość poważne. ■ W dniach 7 i 8 marca przebywał z oficjalną wizytą w Oslo minister spraw zagranicznych Rosji, Andrzej Kosyrew. Spotkał się między innymi z premierem, panią Gro Harlem Bruntland i swym norweskim odpowiednikiem, Rholvardem Stoltenbergiem. Zgodnie z przewidywaniami najważniejszymi tematami rokowań były: granica morska między obu krajami, podział połowów, sprawa zanieczyszczeń Morza Barentsa i pomoc norweska dla północnych rejonów Rosji. Przypuszcza się, że strona norweska poruszyła również budzący tu zaniepokojenie wzrost potencjału militarnego w rejonie Murmańska. W rejon ten wycofywane są bowiem jednostki z Europy Środkowej, a ostatnio też okręty i samoloty z Ukrainy. Postanowiono na nowo otworzyć przejście drogowe między norweskim Kirkenes a Murmańskiem. Ostatnia informacja obrazuje płynność władzy w Rosji. Przejście to zostało oficjalnie otwarte tydzień wcześniej. Kilka dni później bez wiedzy czynników politycznych zamknęło je wojsko rosyjskie. ■ 21 marca w Oslo odbył się zjazd organizacji „Solidarność z Polską". Gościem honorowym był po raz pierwszy przedstawiciel władz Polski, ambasador RP w Norwegii Lech Sokół. Ustalony program działania ma koncentrować się na następujących zagadnieniach: 1. Pomoc dla szkolnictwa polskiego na Białorusi i Ukrainie oraz wsparcie innych żywotnych interesów polskiej diaspory. 2. Organizacja polsko-norweskiego seminarium poświęconego samorządom lokalnym. 3. Wsparcie dla inicjatyw mających na celu ochronę środowiska w Polsce. 4. Stworzenie banku specjalistów, mogących i chcących wesprzeć kraj swą wiedzą i doświadczeniem, zdobytym w pracy na Zachodzie. ■ Rząd Norwegii postanowił stworzyć wojska ochrony środowiska. Mogą one być używane zarówno w kraju jak i poza jego granicami, np. przy likwidacji zanieczyszczeń ropą itp. Sprawą niewyjaśnioną pozostaje np. użycie ich przy katastrofach nuklearnych. ■ 30.03. Przypadkowo odkryte w Oslo magazyny z czasów zimnej wojny mają być przekazane w darze do Wilna (miasto zaprzyjaźnione). Część tych zasobów otrzymali Norwegowie w ramach planu Marshalla.

Oslo, 31.03.92

Paweł GAJOWNICZEK

Listy do Redakcji

Kielce, 6.03.1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Smutny proces zabierania własności jest kontynuowany. Za oszczędnościowy bon lokacyjny wykupiony w 1986 r. po nominale 50 tys. zł i równowartości 2,075 średniej pracy miesięcznej, bank państwowy po 5-ciu latach oszczędzania w 1991 r. wypłacił 7% (siedem) wartości realnej. Istotna strata nastąpiła na przełomie 1989/90 r. za rządów T. Mazowieckiego. Pani Margaret Thatcher będąc w Polsce w październiku 1991 r. określiła taki stan jako oszustwo i szalbierstwo.

Własność traktowana jest jako kategoria ideologiczna i polityczna. Nie po to ludzkość dążyła przez całe tysiąclecia do ładu własności, aby teraz wrócić do punktu wyjścia.

Tadeusz CZECHOWSKI

●

Londyn, 25.03.1992

Szanowny Panie Redaktorze,

List Zbigniewa Byrskiego w marcowej *Kulturze* ma charakter ataku na Pana i dlatego został opublikowany, ale to nie jedyna jego cecha. Jest on także atakiem na ludzi, którzy kierują obecną Polską, i atak ten jest wysoce niesprawiedliwy. Zarzut niekompetencji czy amatorstwa, nawet karierowiczostwa, to sprawa subiektywnego osądu, zarzut złodziejstwa wymaga udowodnienia.

Wszyscy patrzymy z największą troską na to co dzieje się w Kraju, ale wyłączna krytyka, i to tak daleko idąca, stanu tego nie poprawi. Spowodowały go ponad 40-letnie rządy komunistów z mandatu Moskwy, miną lata zanim pozbędziemy się tego dziedzictwa. Jest nieskończenie gorsze niż 127 lat rozbiorów.

Z wyrazami szacunku i pamięci,

Józef GARLIŃSKI

Na tym zamykamy dyskusję nad listem p. Zbigniewa Byrskiego.

REDAKCJA

●

St. Hubert, P.Q, 12 kwietnia 1992

Szanowny Panie Redaktorze!

Właśnie przeczytałem artykuł, z którego wynika, że cały polski przemysł produkcji obrabiarek jest na sprzedaż („*„For Sale: Polish Machine Tool Industry"*).

Będąc absolwentem Politechniki Śląskiej w tej właśnie branży uważam, że powinien Pan bić na alarm i „pociągać wszelkie możliwe sznurki za sceną", aby do sprzedaży tej nie doszło.

Wydaje mi się, że polski przemysł obrabiarkowy ogólnie rzecz biorąc jest na raczej niezłym poziomie (patrz również wymieniony wyżej artykuł). Potrzebuje być może unowocześnienia w dziedzinie sterowania (CNC) ale to nie powód, aby sprzedać cały przemysł obrabiarkowy w obce ręce. Obcy właściciele wyciągną z tego co najlepsze, a resztę doprowadzą do ruiny po to, aby mieć mniej konkurentów. Z pewnością nie będą w Polsce, a to jest właśnie bardzo ważne.

Nie przejmowałbym się zbytnio, gdyby wystawiono na sprzedaż powiedzmy kopalnie czy też huty. Uważam jednak, że pewne gałęzie przemysłu, a do nich z pewnością należą przemysł obrabiarkowy i elektroniczny, powinny pozostać pod polską kontrolą za wszelką cenę!!

Bijmy na alarm, póki jeszcze nie jest za późno!!!

Wszystkiego najlepszego dla Całej Redakcji,

Jacek HEJNAR

●

Edmonton, 27.01.1992

Szanowny Panie Redaktorze,

w ramach wywiadów *Kultury* Krzysztof Pomian rozmawia z Panem w numerze za styczeń-luty 1992. Na stronie 85 odpowiada Pan na pierwszą część trzeciego pytania.

3. Jak określiłby Pan miejsce PRL-u w historii Polski: a) czy można mówić o „czarnej dziurze"? Czy uważa Pan za trafne określenie „Trzecia Rzeczpospolita"?...

— „Trzecia Rzeczpospolita", to jakby stwierdzenie, że bezpośrednio po prezydencie Mościckim był prezydentem Wałęsa. Jest to zwykła bzdura. PRL, mimo zwasalizowania przez Związek Sowiecki, był jednak w pewnym sensie państwem polskim i na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów polskich. Trzeba pamiętać, że nie tylko Stalin i KGB ale także sami Polacy brali udział w zniewoleniu Polski, we wszystkich zbrodniach i nadużyciach...

A może przecież nie „zwykła bzdura"? „Druga Rzeczpospolita" nastąpiła po „Pierwszej" z przerwą 123 lat (1795–1918). Naczelnik Państwa Piłsudski nie nastąpił „bezpośrednio" jak wymagałaby tego pańska definicja, po Stanisławie Auguście Poniatowskim.

Przez wiele lat ze 123 lat „niewoli" (zmusza mnie Pan do postawienia tego cudzysłowu) rząd warszawski, szczególnie Królestwa Kongresowego, „na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów polskich" używając Pańskiej definicji. Generał napoleoński był namiestnikiem cara, ciała ustawodawcze i administracja pracowały po polsku, także szkoły średnie i wyższe. Wtedy został skomponowany i przyjął się jeden z hymnów narodowych, a właściwie dwa. Nawet margrabia się zasłużył, jak wykazał Pański przyjaciel Ksawery Pruszyński. A praca organiczna po klęsce 1863? Bez niej niepodległość w 1918 byłaby o tyle trudniejsza. Wszystko na nic:

historiografia polska uznała 123 lat za lata niewoli (niektórzy pisarze z masochistyczną przesadą lubią mówić o półtorawiekowej niewoli); nawet lata Księstwa Warszawskiego, nawet dwa lata rządów Rady Regencyjnej, niewątpliwie polskiej i składającej się z ludzi uczciwych i honorowych, nie zostały uznane za lata wolne.

Nie ma danych, żeby przewidywać co polska historiografia postanowi w stosunku do 44 lat 1944–88. Za wcześnie wyrokować, że termin „Trzecia Rzeczpospolita", to „zwykła bzdura". Osobiście wydaje mi się, że zostaną te lata opisane jako lata niewoli; i to mimo tego, że ogromna większość pisujących na bieżąco będzie osobiście zainteresowana w tym, żeby uznać ten okres za wolny. Przecież jakoś nieswojo się przyznać, że się wysługiwano uciemiężającemu mocarstwu. Ale to potrwa lata, i Panu i mnie przyjdzie z zaświatów się dowiedzieć, co polska historiografia postanowi.

Z poważaniem

Karol J. KRÓTKI

●

Kraków, 8 grudnia 1991 r.

Szanowny Panie,

Z faktu aresztowania (nagłego zresztą), a nawet skazania Józefa K. nic specjalnego nie wynikło dla otaczającego go świata. Nikt tego nie spostrzegł, nie zauważył, nikt mu nie współczuł, ani pomagał. Była to jego osobista sprawa, a próby znalezienia wyjścia z sytuacji i próby szukania pomocy u innych ludzi spełzły na niczym.

Został aresztowany, skazany i ...wyrok wykonano. I byłoby to osobiste przeżycie p. F. Kafki, gdyby nie zbiegło się w czasie (trochę rozciągniętym) z poczuciem osamotnienia i alienacji u milionów ludzi, powodując wielką poczytność książki, liczne adaptacje teatralne, „strasząc" czytelników i widzów obezwładniającym poczuciem beznadziejności i pogłębieniem zwykłych u ludzi lęków egzystencjalnych. Książka nie przyczyniła się do ich rozwiązania, bowiem gdyby autor sam znał, lub znalazł u kogoś sposób na wyjście z wewnętrznej matni, z pewnością nie napisałby jej w tym kształcie.

Otóż pragnę Panu donieść, iż SYSTEM (terminem tym określam całość zjawiska zwanego socjalizmem lub inaczej systemem sprawiedliwości społecznej) ZAARESZTOWAŁ MYŚL INŻYNIERSKĄ!!

Areszt ten miał różne odmiany w poszczególnych krajach Obozu, zaś realny, a zarazem paranoiczny wymiar przybrał w „Kraju Przodującym", gdzie wymyślono „szaraszki", co genialnie opisał Sołżenicyn.

Areszt ten, co zrozumiałe, nie był specjalnie przeznaczony dla myśli inżynierskiej. Podlegała mu oczywiście każda niezależna i „niepraworządna" myśl, o czym wie Pan doskonale. Tyle tylko, że uniemożliwienie funkcjonowania właśnie niezależnej myśli inżynierskiej przyczyniło się do upadku całego SYSTEMU. To było najistotniejszą przyczyną, bowiem powiększająca się „luka technologiczna", czyli brak własnych wynalazków i usprawnień, oraz system nakazowo-rozdzielczy obezwładniły gospodarkę i doprowadziły do jej upadku. Wynalazki wprawdzie były, lecz mechanizmy SYSTEMU uniemożliwiały ich wdrożenie i realizację. Wytworzyła się warstwa „działaczy gospodarczych" spośród ludzi, którzy dość wcześnie zorientowali się, iż droga do kariery wiedzie poprzez uczestniczenie i działania w Partii. Ludzie ci od wczesnych lat podporządkowali swoje działania i ambicje życiowe służbie myślenia partyjnego. Stąd ich uczestnictwo w studiach sprowadzało się do opanowania poszczególnych przedmiotów i ich zdawania (różnie zresztą bywało) zaś absolutnie nie nabywali niezależnego myślenia inżynierskiego. Zresztą i kadra nauczająca podlegająca tym samym warunkom nie umiała (nie potrafiła) wpoić właściwych nawyków myślenia, gdyż była rezultatem „negatywnej systemowej" selekcji i rekrutowała się w wielkiej mierze z działaczy.

O problemie jakości naukowców w ostrych słowach mówił na zgromadzeniu ogólnym PAN w dniu 23.10.1980 r. śp. prof. Janusz Groszkowski (komunikat nr 8 Komisji Koordynacyjnej Kół NSZZ „Solidarność" przy placówkach PAN w Krakowie). Proponował utworzenie Sądu Dyscyplinarnego Uczonych, dla weryfikacji pod względem etycznym i zawodowym części kadr naukowych, która dopuściła się nadużyć lub nie posiada kwalifikacji.

I cóż dzieje się z tą sprawą obecnie, po zwycięstwie Solidarności? Nic! A sprawa huty Katowice? Toż to służalcze i z chęci zysku i kariery wykorzystywanie wiadomości technicznych dla niesłusznej sprawy. A kradzieże technologii przez KGB? To przecież wprost przyznanie się do indolencji SYSTEMU w myśleniu inżynierskim.

Koterie, zawiści „działaczy" i innych o podobnej mentalności pracowników naukowych, uniemożliwiły dr. Karpińskiemu skonstruowanie polskiego, oryginalnego mikrokomputera pod koniec lat 70-tych, w tym mniej więcej czasie, gdy Woznack i Jacobs stworzyli swoje „Jabłko" (Aple). Ci ostatni założyli własną firmę, stali się milionerami, a p. Karpiński musiał odejść z Instytutu Łączności, począł hodować świnie, wreszcie wyjechał gdzieś za granicę.

Natomiast w tym samym czasie miały się dobrze nauki ekonomiczne, gdzie działało „wiele szkół" i rodziło się szalenie dużo „ciekawych" pomysłów jak usprawnić to, co się do usprawnienia nie nadawało. W każdym bądź razie myślenie ekonomiczne, oczywiście w zakreślonych ustrojowo granicach, rozwijało się dobrze, a ekonomia przejęła status dawnego ekonoma. Status ten przejęło również liczne grono inżynierów, którzy zamiast majstrów i techników, pracowali w produkcji, organizując ją, co sprowadzało się do nakazu wykonania planu produkcji (bez względu na koszty), produkcji, która była przydzielona odgórnymi zarządzeniami.

Nastąpił całkowity zanik myślenia inżynierskiego, tego myślenia do którego inżynier powinien być wykształcony, by mógł wymyślać nowe maszyny, urządzenia, technologie. Inżynier przyzwyczaił się do wykonywania poleceń (jak w partii). Krzywdzącym byłoby, gdybym sprawę generalizował. Oczywiście były od tej reguły pozytywne wyjątki, jak choćby wspomniany już dr Karpiński i szereg innych wynalazców, którym „drogą przez mękę" udało się uzyskać patenty na swe wynalazki. Szereg młodych inżynierów znalazło się za granicą i w naturalnych warunkach potrafili wykazać swoje walory, często stając się wybitnymi w swoim zawodzie.

Mac Namara powiedział kiedyś, iż wierzy, że Pan Bóg daje ludziom jednakowe szanse wykorzystywania ich intelektualnych możliwości, nie stwarza jednak wszystkim warunków do ich wykorzystania.

Dwa lata temu przestał istnieć w Polsce SYSTEM. Wydawać by się mogło, że można liczyć na odrodzenie moralne i umysłowe warstw będących siłą motoryczną Narodu, na naprawienie błędów SYSTEMU przede wszystkim w sferze myślenia i działania.

Rzeczywistość, którą Pan zna, jest przerażająca. Pisząc w 1981 roku o stanie zatrutej świadomości nie przypuszczałem, że jest on tak głęboki. W ferworze niepotrzebnych i do nikąd nie prowadzących dyskusji o rzeczach dru-

gorzędnych zabrakło czasu na stworzenie spójnego systemu prawnego umożliwiającego funkcjonowanie gospodarki rynkowej, otwartej na wszystkie podmioty gospodarcze. Fetysz prywatyzacji, podobnie jak w SYSTEMIE upaństwowienia, przesłonił wszystkie logiczne i rozsądne rozwiązania.

Wyprzedaż majątku narodowego za bezcen, deficyt państwa w procesie prywatyzacji, zyski mniejsze niż honoraria za wycenę i konsultacje firm zachodnich, to drobny fragment tych działań. „Główny księgowy", p. Balcerowicz, niszczy przemysł państwowy podatkami, dywidendami, „popiwkami", spodziewając się i licząc w bilansie państwa wpływy od niepracujących i rozpadających się przedsiębiorstw. Ministrem Przemysłu i Handlu zostaje ekonomistka!

Śp. inżynier Kwiatkowski przewraca się pewnie w grobie na Rakowicach. Śp. Władysław Grabski pewnie też. Inżynierowie w produkcji łamią sobie głowy jak związać koniec z końcem by zapłacić robotnikom i aby firma jeszcze pracowała, więc kto ma czas, głowę i pieniądze (niemałe) na myślenie o unowocześnianiu produkcji, restrukturyzacji itp.?

Sądzę, że jest to najtragiczniejszy czas w historii narodu polskiego, bowiem nigdy dotąd (pomijając działania wojenne) w tak bezmyślny sposób nie był niszczony przemysł i rolnictwo. Rodzi się pytanie, jakim siłom zależy na tym niszczeniu.

O apelu śp. prof. Groszkowskiego wszyscy dokładnie zapomnieli, a całe tabuny starych i nowych profesorów, docentów i doktorów rwą się do władzy i „ważnych" pozycji. Przykładem może być p. Bożyk, szef doradców p. Gierka, który dalej działa i publikuje, lecz oczywiście już w nowym, „słusznym" aktualnie duchu.

Atrofia myślenia inżynierskiego ulega dalszemu pogłębieniu, wobec braku możliwości jego rozwoju, a świat nie stoi w miejscu, ani się nie cofa jak my, lecz ciągle idzie naprzód. Brak myśli o możliwości, albo choćby próbie wyjścia z impasu o własnych siłach. Ciągłe liczenie na Zachód, na „pomoc", na jałmużnę, na podarki. Jest to sytuacja bez wyjścia, czego dowiodły ostatnie wybory i spory między „partiami" o sprawy nie mające związku z gospodarką.

Idzie zima. Oby lekką była, bowiem ludności przyjdzie zapłacić wysoką cenę za niekompetencję i arogancję nowej władzy, która zupełnie zatraciła poczucie rzeczywistości. Brak węgla na składowiskach elektrowni i ciepłowni, brak zimowych zapasów warzyw i ziemniaków w dużych miastach, zapowiedź nieodśnieżania dróg z powodu braku pieniędzy.

Przypomina Pan sobie scenę z grabarzem kopiącym grób dla Ofelii. Do grobu podchodzi nie poznany przez niego Hamlet; rozpoczynają rozmowę. Książę pyta czy wie coś o Hamlecie. Grabarz odpowiada: powiadają że zwariował. Książę pyta: na gruncie? Grabarz odpowiada: na tutejszym, duńskim.

Otóż wytłumaczeniem tego co dzieje się w Polsce, niezrozumiałym dla ludzi z zewnątrz jest odpowiedź: zwariowali na gruncie tutejszym, polskim. Nie liczą się słowa ani intencje, lecz czyny. Ludzie rządzący obecnie Polską działają w oparciu o wyimaginowane wzorce. Stosują te same metody arogancji i ignorancji, zastraszania przeciwników, argumentacji, monopolu informacyjnego, jakie stosowali uprzedni władcy, szczególnie w początkowym okresie przejęcia władzy. Wróg czai się wszędzie! I tu paradoks. Wysocy działacze minionego okresu zrozumieli swoje błędy i np. Prezydent Jaruzelski jawi się dziś bardziej demokratyczny niż despotyczny, zadufany i upojony władzą neodyktator, prezydent L. Wałęsa.

I proszę nie spodziewać się, iż spełnią Pana żądanie. Zwycięzców nikt nie rozlicza ani nie sądzi. Można tylko i wolno naigrywać się i potępiać zwyciężonych.

Jedyna nadzieja, lecz tylko mistyczna, dla nas żyjących w Polsce, zawarta jest w wierszu J. Słowackiego, zaczynającego się od słów: „Kiedy prawdziwie Polacy powstaną..."

Serdecznie pozdrawiam Pana i gratuluję otrzymania Doktoratu Honoris Causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Krystian MIGOŃ

●

20.3.1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką satysfakcją przeczytałem w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych* artykuł historyka japońskiego K. Watanabe pt. „Historia Polski w badaniach japońskich w l. 80-tych" (*Zeszyty Historyczne* Nr 99/1992), który jest cennym przyczynkiem źródłowym do badań stosunków polsko-japońskich oraz kolejnym przypomnieniem niezwykłego renesansu zainteresowania się Polską w Japonii w l. 80-tych. Pragnę jednak zaznaczyć, iż ograniczając się tylko do prac historycznych, przegląd Watanabe nie oddaje pełnej skali publicystyki o Polsce w tym okresie, w dziedzinach polityczno-gospodarczych, literatury i kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Szkoda też, iż tak ważny przegląd zaprezentowany jest w dosłownie telegraficznym skrócie. Na więcej niż przelotną wzmiankę zasługuje np. „Najnowsza Historia Polski" (jap. *Porando Gendaishi*) T. Ito, którą autor, w nieco uproszczony sposób, zaliczył do rzędu prac „popularnonaukowych". Pragnę dodać i podkreślić, iż praca T. Ito jest pierwszą japońską próbą (moim zdaniem bardzo udaną) *politycznej historii* Polski, napisaną z głębokim znawstwem przedmiotu i erudycją. Jej dodatkowym walorem jest szczegółowy wykaz źródłowy oraz obszerny wypis publicystyki i książek o Polsce wydanych w Japonii.

Trudno mi również zrozumieć, dlaczego w (nawet selektywnie potraktowanym) przeglądzie Watanabe nie figuruje ani jedna z publikacji książkowych o „Solidarności", wydanych staraniem Ośrodka Badań Polski (*Porando Shiro Center*) w Tokio. Jest prawdą, iż wśród istnego zalewu prac dziennikarsko-reportażowych, brakuje jak dotąd w Japonii poważnych opracowań naukowo-historycznych okresu „Solidarności", niemniej istnieje kilka pozycji o szczególnej wartości dokumentalno-źródłowej. Do takich prac zapewne należą zbiory dokumentalne autorstwa Y. Kudo/T. Mizutani pt. *Porando Rentai no Choosen* (pol. Wyzwanie Polskiej Solidarności, Tokio 1981), oraz tychże autorów *Porando Fukutsu no Rentai* (pol. Solidarność Polskiego Oporu, Tokio, 1983).

W zakończeniu swego artykułu autor słusznie postuluje potrzebę większej współpracy historyków-polonistów japońskich ze specjalistami zagranicznymi, lecz niezupełnie podzielam jego pesymizm co do braku takich kontaktów. Przypomnę, iż znany historyk angielski Norman Davies napisał jedną ze swych historii Polski (*The Heart of Europe: A Short History of Poland*, 1984) podczas stażu naukowego na Slavic Research Center (Uniwersytetu Hokkaido w Sapporo) przy uczynnym wsparciu i współpracy (co z wdzięcznością odnotowuje we wstępie) ze strony prof. Takayuki Ito, jednego z najwybitniejszych japońskich historyków Polski.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Janusz MONDRY

Kielce, 21.02.1992

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem typowym Polakiem, bowiem pochodzę z rodziny polsko-żydowskiej i chłopsko-szlacheckiej. Jestem historykiem środkowej Europy (około 400 publikacji) i znam 8 języków. Dla mnie *Kultura* jest już legendą. Kiedy wyjeżdżałem niegdyś do Wiednia, przed południem siedziałem zwykle w archiwum, a po południu w Bibliotece Narodowej studiowałem właśnie ją, przy czym najbardziej podobały mi się artykuły Kisiela. Teraz udało mi się kupić w Warszawie Nr 1/2, 1992, wydanie krajowe i rozpropaguję je wśród kieleckich studentów. Wszystko prawie tu oczywiście świetne, zwłaszcza Giedroyc, Grudziński i Karnkowski (pisałem niegdyś życiorys jednego z szesnastowiecznych Karnkowskich do Polskiego Słownika Biograficznego). Miłosz jak zwykle zalitwiony (ja znów czuję się tylko na 70% Polakiem, 10% Rosjaninem, 10% Słowakiem, a 10% Węgrem), Unger zaś dzieli świat po prostu na białych, tj. filosemitów i czarnych, tj. antysemitów. Jako zachodni Polak zgłaszam jednak do treści zeszytu dwa veta: 1. największe niebezpieczeństwo zewnętrzne dla Polski stanowią dalej Niemcy (zwłaszcza w ewentualnym sojuszu z Ukrainą); 2. największe niebezpieczeństwo wewnętrzne stanowi nędza, z której w ciągu 2–3 lat może wyniknąć nowy Zamach Majowy i dyktatura, która prawdopodobnie niczego nie uleczy, a wiele zaogni.

19–20 lutego byłem na urządzonej przez Studium Problemów Narodowościowych ZSSR i Europy środkowo-wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego konferencji „Konflikty narodowościowe w Europie wschodniej". Była ona ciekawa, choć nie wydawało się, żeby uczestnicy mówili całą prawdę. Zwłaszcza płaczliwie wyglądała delegacja białoruska, którą stanowili mówiący po rosyjsku Żyd i Rosjanin. Zabierałem również głos w dyskusji, mówiąc m.in. o obawach, żeby kraje Międzymorza nie stały się satelitami Niemiec i o tym, że w Regionie Królewieckim najlepiej byłoby stworzyć litewsko-rosyjsko-polskie kondominium.

Mnogije lieta!

prof. Wacław URBAN

OŚWIADCZENIE

Na przełomie sierpnia i września 1991 r. dotarła do nas wiadomość, że władze emigracyjne w Londynie przyznały nam z datą 11 listopada 1990 r. złote krzyże zasługi za działalność niepodległościową w latach osiemdziesiątych.

Wszelkie odznaczenia mają charakter wyróżnienia moralnego i tym samym zakładają, że osoba odznaczona uznaje autorytet moralny osób czy instytucji, które odznaczenia nadają. Do chwili nieszczęsnego przekazania insygniów do kraju tak niewątpliwie było: „patrzyliśmy w ośrodek londyński jak w betlejemską gwiazdę" (Kazimierz Musztowit „Gasnąca gwiazda" *Zamek* nr 5). Jej zgaśnięcie przeżyliśmy jako dramat osobisty.

Decyzja ta spotkała się z dezaprobatą lub potępieniem wielu ośrodków niepodległościowych w kraju i na emigracji. Większość jednak z nich uznała prawo prezydenta do podjęcia takowej decyzji, ustosunkowała się jak do rozkazu, który wykonuje się niezależnie od oceny własnej. Istotnie Konstytucja

Kwietniowa orzeka, że prezydent jest odpowiedzialny jedynie przed Bogiem i Historią. Otóż naszym zdaniem sąd Historii winien potępić b. prezydenta Kaczorowskiego jak najostrzej, a w naszych oczach utracił on wszelki autorytet.

Przyznanych nam odznaczeń nie przyjęliśmy. Niezależnie od tego składamy gorące podziękowania p. dr. Januszowi Kamockiemu, koordynatorowi prac Ugrupowania Niepodległościowego Zamek, za starania wokół przyznania nam tych odznaczeń. Uznanie w jego oczach jest dla nas prawdziwą nagrodą.

Wyjaśniamy dodatkowo, że zwłoka w opublikowaniu niniejszego stanowiska wynikła stąd, że równocześnie z nami odznaczenie to przyznano innym osobom i przez dłuższy czas usiłowaliśmy z nimi nawiązać kontakt, co jednak nam się nie udało.

Wrocław, 12 marca 1992 r.

Aleksander LEBIEDZIŃSKI
Józef TALLAT

SPROSTOWANIA

Drogi Panie Redaktorze,

W moim artykule „Niesamowity rok 1991" opublikowanym w marcowym numerze *Kultury* tkwi błąd drukarski. Ostatnie zdanie pierwszego akapitu powinno brzmieć:

„Jeśli zaś idzie o wpływy tej skali, tempa i rodzaju zmian na życie jednostek i zbiorowości — to ich niewątpliwym *skutkiem* jest niepewność i jakieś, świadome lub podświadome, poczucie zagubienia".

Zamiast *skutkiem* wydrukowano błędnie *sukcesem*, a to przecież co innego.

Pozdrawiam

Jerzy BONIECKI

●

13.4.92

Drogi Panie Redaktorze,

dziękuję za egzemplarz autorski *Kultury* nr 535. Do mojego artykułu pt. „Pieniądz światowy" wkradł się dokuczliwy błąd który chciałbym sprostować. Na str. 25 poprawny fragment powinien brzmieć *„Koszty dolarowych fluktuacji ponosili inni, mniej zaradni i mniej winni Amerykanom"*. Wydrukowanie słowa w mianowniku — „Amerykanie" — zniekształca cały fragment i oczywiście nie odpowiada rzeczywistości.

Ściskam serdecznie dłoń, pozdrowienia dla wszystkich —

Robert KACZMAREK

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618 **tel. (312) 489-2554**

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

●

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e^ trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 344-1992

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1992		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 471 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Agata Tuszyńska: *Israel is a real thing;* Leon Antoni Sułek: *Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940–1945);* Andrzej Albrecht: *Noc generała;* Tadeusz Stanisław Piotrowski: *Studenci gdańscy w grudniu 1970;* Grzegorz Mazur: *Raport Jerzego Rutkowskiego; Komunikat prezydenta R.P. A. Zaleskiego z okazji zaprzysiężenia rządu gen. Bór-Komorowskiego 2 lipca 1947 r.; Uchwała LNP z 1 lipca 1947;* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. II.;* Piotr Wandycz: *Henri Rollet;* Gustaw Kerszman: *Książka o Marcu;* Katsuyoshi Watanabe: *Historia Polski w badaniach japońskich w latach 80-tych;* Krzysztof Adam Tochman: *Uzupełnienia do „Cichociemnych" J. Tucholskiego;* Tadeusz Wyrwa: *„Przegląd kawalerii i broni pancernej";* Tadeusz Wyrwa: *Początki internowania 2-ej Dywizji w Szwajcarii:* Józef Garliński: *Książka ciągle aktualna;* B. Dytrych: *Legia Oficerska na Środkowym Wschodzie (uzupełnienia); Statut „NIE"; Instrukcja „NIE"; Komunikat Centrum Badań Represji na Litwie* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240. Cena F. 90,00.

●

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach.* Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335. Cena F. 100,00.

I.N. 93400 St-Ouen - 344-1992

Cena 50 F